



W

W



DEOTYMA.



WYDAWCA: J. PIŁYKOWSKI.

BRANKI *
W JAŚYRZE.

O! BO LEPIEJ PÓJŚĆ NA MARY,
NIŻ W NIEWOLĘ NA TATARY.

(Piosenka ludowa).



WYDANIE DRUGIE.

TOM I.



WARSZAWA.

NAKŁADEM XIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

NOWY-ŚWIAT 41.



1904.

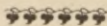
Дозволено Цензурою,
Варшава, 21 Октября 1990 года.



174100



DO
EUGENJI WOLFF.



W zaciszonój komnacie gdzie leżą me xięgi,
Przy stole unoszącym kałamarz i pióro,
Kazałam wykuć wnękę. Muszlowe jęj kręgi,
Pieściwie przyoblokłam złotem i purpurą,
I zarys drogich liców zwiesiłam u ściány.
Godna czci Eugenjo! Twój to wizerunek.
Tak, czy dumam czy piszę, obraz ukochany
Tkwi nademną, jak srebrny gwiazdy pocałunek.

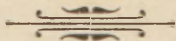
Co rano go w samotnój pozdrawiam świątyńce.
Jest i czarka na kwiaty u jego podnóża.
Nie ogrodnik tam wonne przynosi gościńce,
Kwiatek w niej tylko jeden: Jerychońska róża.
Dziwna róża! Pod rąbkiem surowym ukryta.
— Centyfolja w jaskrawsze stroi się przynęty,
Lecz jutro więdnie. Tamta, bez końca odkwita.
Prawdziwy kwiat przyjaźni, wytrwały i święty.

W ten to kwiat niewiędnący, w ten to wizerunek
Wpatrzona, malowałam tło mojej powieści.
Barwy jej, z trzynastego stulecia. Rysunek,
Ze wszystkich wieków: przykład przyjaźni niewieściej.
— Czyjeż imię w gotyckim jej szczycie wyślubię,
Jeśli nie Tój najdroższej, co mi jest i będzie
Przyjaciołką jedyną? Poświęcam ją Tobie.
Twém imieniem koronna, niech śpiewa je wszędzie.

Nie lękaj się, o skromna, aby przez odbicie,
Z tój xięgi nasze własne dzieje podpatrzono.
Tłumom je rzucać? Nigdy! Wszak niewieście życie,
Powinno stać, jak arka, za wieczną zasłoną.
Ciebie malować w xiędze? O to się nie kuszę.
Kto miłuje, ten widzi w bezchmurném przezroczu,
Skarby przepelniające miłowaną duszę,
Lecz nie zdoła w nie cudzych wtajemniczyć oczu.

Tak w górach, kiedy słońca zachód płomienisty,
Lodowce poprzestrzela żyłami z opalu,
Po kaskadach roztrzęsie drżące ametysty,
I w obłokach wyciosa pałace z koralu,
Malarz odrzuca pędzel, skarży się na czary:
„Jakże oddam ich blaski? Farby mam za blade.
„A chociażbym i oddał, nikt mi nie da wiary.“
Więc nie lękaj się skromna, i ja pędzel kładę.

Nie przejrysz się w tych kartach jako w szybiewody.
 Elżbieta ni Ludmiła, duszą ni obliczem,
 Nie są do nas podobne. Krwawe ich przygody,
 Z osnową naszych losów nie wiążą się niczém.
 Lecz serca? Ach, tu znajdziesz zwierciadło. Zwróć oczy
 W pęknięte, rubinowe serca ich rozłamy,
 Dojrzysz rys, co je z nami na zawsze jednoczy:
 One tak się kochały jak my się Kochamy.



Wiersz ten, pisany jednocześnie z *Brankami*, nie ukazał się jednak razem z niemi, bo Ta której był poświęcony, w zbytku skromności, nie zgodziła się na jego ogłoszenie. Tak więc, ku wielkiej mojej żalności, pierwsze wydanie *Branek w Jassyrze* wyszło bez *Dedykacji*.

Ale od tego czasu zmieniła się postać rzeczy. W roku 1897, rękopiśmienne ustępy z moich Pamiętników doszły do rąk sprawozdawców, którzy uwiadomili ogół o tym wierszu. Skoro więc tajemnica została już raz naruszona, przywracam *Dedykacji* należne jej miejsce.

PROLOG.

Jesień roku 1240-go była prześliczna, prawdziwie jak to mówią «polska jesień.» Już zbliżał się Święty Michał, a drzewa jeszcze nie żółkły, ani czerwieniały.

Spostrzeżenie to czynił pielgrzym idący z wolna brzegiem rzeki Iłżanki, a mógł je czynić na szeroka skale, bo jak oko daleko sięgło, obie strony wody szumiały ostro pachnącym, nieprzejrzanym borem. Nie była to jednak puszcza w najdzikszem znaczeniu tego słowa; pod samowładnemi rządami przyrody, która z niesforną rozrzutnością wszystko zalewała, można było gdzie nie gdzie dojrzeć już rękę człowieka, wywalczającą sobie bezpieczniejsze schronienie i nadsobniejszy krajobraz.

W porannych godzinach pielgrzym przechodził koło Iłży, i wtedy wydało mu się, że Cherubin wpuścił go na chwilę do Edenu. Pierścień pól wykarczowanych weselił tam duszę roztwartym widnokregiem, grędy warzywne i kwieciste bawiły oko przeróżnością kolorów, drzewa owocowe zgięte pod ciężarem plonu, przechylały

się po za parkany, tak że czasem i do stóp wędrowca upadła fjałkowa śliwka, lub o ziemię stuknęło kraśne jabłko. Powietrze było pełne kurzawy i beczenia od tłoczących się owiec, drewniane klekotki klaskały u szyi krów opasłych, długie rzędy ulów gwarzyły brzęczącym sejmem, wszystko się krzątało i pośpiéwywało, a wśród tych błogosławieństw, sam gród rozsiadł się na pochyłości góry, nad niebieskiem jeziorem, rad z siebie i spokojny, bo murami opasał się od złych ludzi, a wieżami kościoła wznosił się do Pana Boga, i świecił, zdaleka jakiś dziwny, niezrozumiały dla oczu podróżnika, który byłby przysiągł, że cały ten obraz niema końca, że po stopniach ze światła obsuwa się gdzieś w przepaścistą próżnię, a to owo zwierciadlane jezioro taką psotę oczom płałało.

Pielgrzym dziwował się tej zamożności, i łamał sobie głowę, kto umiał tak mądrze to wszystko urządzić? Ale kiedy strażnik bramy miejskiej, objaśnił go z niejaką dumą, że Iłża należy do Biskupów Krakowskich, pielgrzym od razu przestał się dziwować. Któż bo wówczas nie wiedział, że dostojnicy kościelni, oprócz różnych boskich tajemnic, posiadali także tajemnicę niepojętej pomyślności w gospodarstwie, i że tym którzy przy nich żyli, bywało dobrze nietylko w niebie ale i na ziemi?

Wprawdzie w podróży — jak i w życiu — wszystko co przyjemne zwykło trwać najkrócej.

Obszar pól skończył się bardzo prędko, ogródki i trzody znikły, i pielgrzym wszedł znowu między czarne bory, których wówczas było tak wiele, że nikt się już niemi nie zachwycał. Wyjawszy monarchów i wielkich panów, mogących tam używać bohaterskiej rozkoszy łowów, reszta podróżnych była znużona i znudzona jednostajną lesistością kraju, która zasłaniała niebiosa, i wiecznie się kłębiła wyziewami, roznoszącymi złośliwe drżączki i gorączki. A przytém, co tam legowisk drapieżnego zwierza, a co jeszcze gorszych, zasadzek zbójceckich!

To téż w owych czasach, karczowanie lasów było prawdziwą zasługą, było zwłaszcza najgwałtowniejszą potrzebą społecznego życia, które musiało przemocą rozpychać sobie drogę między żywiołami. Ile razy pień tysiącoletni runął pod siekierą, nikt nie miał ochoty nad nim się rozrzewniać; owszem, przyklaskiwano upadkowi starego szkodnika, który próżno kradł słońce i ziemię wysysał.

Co by téż byli powiedzieli owi karczownicy, gdyby jaki prorok ich ostrzegwał, że kiedyś przyjdą wieki, w których ludzie będą lasy umyślnie sieli i pielęgnowali, ze czcią i obawą, jakby gasnący jakiś ród królewiał? Byliby głową pokręcili, proroka wyszydzeni, i dalej cięli pnie tysiącoletnie. «Syty głodnego nie rozumie.»

W lasach, które przebywał nasz pielgrzym, już ich także padło niemało, a to dla utorowania

sobie dróg, biegnących na wszystkie strony. Jakie to były drogi, no, to żal się Boże! Nikomu nie przyszło nawet na myśl, aby można drogę wyrównywać lub czém wysypywać. Stan jój zależał od pory roku, pogody i gatunku gruntu. Była téż zwykle nadzwyczaj wązka, i nikt nie potrzebował szerszój; wasąg chłopski wszędzie się prześliznął, zimową porą saneczki się tam zmieściły, a zresztą co żyło, wszystko jeździło konno, świeccy i duchowni, giermki i królowie, damy nawet i dzieci. A kto nie miał konia, szedł sobie jak nasz pielgrzym, podpierając się kijem, i na krok nieodstępując od téj szpary wyciętej w gęstwinie, bo kto płocho zboczył, ginał w morzu puszczołem, a kto wiernie trzymał się dróżki, zawsze mógł być pewien że w końcu dojdzie do zwodzonych mostów jakiego zamczyska, albo, co jeszcze lepsze, do gościnnój furty jakiego klasztoru.

To tylko stanowiło istny kłopot, że te dróżki krzyżowały się jak nitki w pajęczynie; bo téż tu była okolica bogata i gęsto nasiadła. Nie uszedłeś sześciu, ba! i trzech godzin drogi, żebyś nie natrafił na jeden z owych zamków, z których każdy miał siedlisko przezornie i rozumnie obronne. Jedne wisiały na szczycie spiczastych pagórków, ostrokołami, rowami i samą stromością miejsca silnie obwarowane. Inne rozsiały się wprawdzie na nizinie, ale może jeszcze niedostępniej: za podstawę służyła im zwykle wyspa

umocowana w pośród grzązkich bagien; jedna tylko wążiuchna grobelka wiązała je ze światem, a i ta była koło bramy umyślnie przzerwana; takiej grobli kilku walecznych mogło bronić z łatwością, zdradne trzęsawiska mogły całe wojsko pochłonać; jeśli więc tylko pan zamku posiadał w obrębie murów źródło albo studnię, i był dość zapobiegliwy aby mieć zawsze dostatni zapas żywności, siedział sobie na swojej wyspie albo swoim pagórku, bezpieczny i straszny jak smok na Wawelu.

W pobliżu każdego z takich gniazd kamiennych, tuliły się wioski, splecione z niemi dziwną wikłaniną i strachu i miłości. Trzeba się było zamkowi opłacać i wysługiwać, to prawda, ale też na pierwsze hasło o nieprzyjacielu, mieszkańcy wsi chronili się za jego wały, odziewali się jego żelazem, karmili siebie i dzieci jego zapasami, a podobna obrona była wówczas tak częsta i ważna, że nigdy nie zdawała się za drogo kupioną.

Pielgrzym już minął kilka zamków. Przed każdym chwilę przystanął; głód i trud zawsze mu szeptały: «Może by tu wstąpić?» — Ale cóż? Każda z tych siedzib wydawała mu się jakaś groźna, jakaś złowrózeczna, i zawsze odchodził, mówiąc sobie: «Jeszcze dalej poszukam.»

Czegóż mógł się lękać biedny pielgrzym, nie posiadający oprócz kilku muszelek naszytych na płaszczu, i kilku medalików przypiętych

do kapelusza? Niktby się przecież nie ułakomił na jego krzywy kosztur, ani jego łatane sakwy, pełne suchych okrajców chleba? Pielgrzym był owszem osobą wszędzie pożądaną, tak w chacie jak na xiążęcym dworze; w czasach kiedy xiążki stanowiły istotną rzadkość, on był chodzącą xięgą, lepszą jeszcze od pisaniej, bo dla każdego dostępną; jedni z niej uczyli się polityki bieżącej, inni z niej wyciągali powieści i poezje. Pielgrzym bywał za górami — co ja mówię? Nawet za morzami! Widział Papieża, widział Saracenów, widział na własne oczy cuda dziejące się u grobu różnych Świętych, a przynajmniej znał takich którzy je widzieli; był na Turniejach Kastylskich, a może i na koronacji Cesarskiej, umiał nutę najnowszej ballady, i wiedział jak na obcych dworach ubierają się białogłowy. Każde przejście takiego wędrowca zostawiało w umysłach ogromny zapas wiadomości, które przeżuвано powoli, bo musiały na długo starczyć.

To też pielgrzym prawdziwie ubogi nikogo się nie lękał. Ludzie sprawiedliwi przyjmowali go wedle przysłowia: «gość w dom, Bóg w dom»; łupieżnicy także nie mieli zwyczaju odziierać pielgrzyma, nieraz owszem jeszcze obdarzyli go częścią swojej grabieży, byle się ubawić jego powiastkami, bo dobrze w świat się wpatrzywszy, łatwo poznać, że ludzie zawsze i wszędzie, najchciwsi są dwóch rzeczy: najprzód zysku, a potem zabawy.

Gdyby nasz pielgrzym był rzeczywiście tym ubogim jakim się z pozoru wydawał, o! byłby wszędzie wchodził z podniesionem czołem. Ale on posiadał skarb nieoceniony, i truchlał, jak truchleje każdy co się nosi ze skarbem, — w płaszczu miał zaszyte relikwie.

A wiedział że ludzie jego czasów, dla zdobycia relikwi, na wiele się ważyli. Chodząc po obczyźnie, słyszał jak to często xiążęta i «republiki» wypowiadały sobie wojnę krwawą, na to tylko aby zdobyć takie drogocенności; jak najdziwniejszych fortelów używano, aby je wykraść lub wyłudzić. I nietylko dobrzy ludzie ubiegali się o nie, ale i najgorsi. Zjawisko na pozór niepojęte: jakże może bezbożnik dobijać się o świętości? Cóż chcecie? Dobrzy, prawdziwie nabożni, szanowali w relikwiach pamiątki Świętych Pańskich, czcili w nich dotykalne objawy potęgi duchowej; źli ludzie używali ich zabobonnie, po prostu jak arabskich talizmanów; nic nie mogło wybić im z głowy przekonania, że to są przedmioty co «przynoszą szczęście». Słyszac o cudach działanych przez relikwie, mówili sobie:

— A więc, jak je będę nosił, przybędzie mi zdrowia, bogactwa i wszelkiej pomyślności.

Napróżno im tłumaczono, że skuteczność relikwi leży nietylko w nich samych, ale i w duszy posiadacza, że zresztą szczęście jakie przynoszą, nie jest koniecznie szczęściem z tego świata. Gadaj tu o kolorach ślepemu, a co gorzej zaśle-

panionemu! Jeśli świętość nie pomagała, twierdzili że jest «w złym gatunku», i gonili za skuteczniejszą,

Tak więc nasz pielgrzym nie bał się rabusiów przydrożnych, tych co to pytają gdzie kiesa, i łańcuchy z szyi zdzierają, ale bał się ludzi mądrych a przewrotnych, co pielgrzymą przyjmą z otwartemi rękoma, stół mu zastawią łakociami, spoją go jakimś podejrzanym trunkiem, a gdy biedak uśnie jak zabity, skarby mu wyprują z płaszcza, fałdy napowrót zaszyją, i rano zaprą się wszystkiego.

To też nim gdzie wstąpił, dobrze się wypytywał o zajęcia i obyczaje gospodarstwa, a wstąpić musiał czasem do pańskiego siedliska, bo chłopska strawa i chłopska rozmowa, przykrzyły się człowiekowi co znał zamorskie wykwinaty.

Po południu, doszedł do zameczku tak prześlicznego, takim wiejącego urokiem, że od razu powiedział sobie:

— Ej! Tu już chyba sami dobrzy ludzie muszą mieszkać.

Znużony, siadł w gęstym zarośnięciu, i zaczął się przyglądać obrazowi, z niewinną ale gorącą zazdrością.

Pierwszym powodem zazdrości — jakiej doznał już i na widok Iłży — jakiej doznawał

obec każdego grodu albo zamku, było poczucie *bezpieczeństwa*, takie wówczas rzadkie, tém żywiej żądane. W epoce nieustannych napadów, zdrad, odwetów i zasadzek, tylko ten co mieszkał w dobrej twierdzy, mógł iść spać spokojnie, i być *prawie* pewnym, że jutro będzie u siebie obiadował. Reszta ludzi żyła z dnia na dzień, gorączkowo, bez ładu, raz używając zanadto łakomie, drugi raz przymiérając z głodu. To téż dla biedaka, zwłaszcza dla wędrowca bez dachu, marzeniem najwyższego szczęścia było: mieszkać spokojnie za murami i to za własnymi, posiadać mocną załogę i to własną, żyć na łonie rodziny własnej, nakoniec gości przyjmować tylko z dobrej woli i z wyboru, a nie z gościńcowego postrachu. Nasz pielgrzym tém bardziej odczuwał to wszystko, że w dzieciństwie kosztował podobnych słodyczy, a zawistny los pozbawił ich go właśnie w porze, w której umiał już je oceniać.

Nie samém jednak tylko bezpieczeństwem ten zamek przynęcał; wiało zeń inne jeszcze wrażenie, którego podróżny nie umiał nazwać, ale które określił sobie temi wyrazami:

— Gdyby tędy przechodził jeden z tych Trubadurów jakich spotykałem w Prowancji, stanął by tu i zaśpiewał.

Zameczek o szarych, kamiennych ścianach,

i pięciu natłoczonych basztach, zdaleka już przy-
ciągał oczy, chciwe kształtów i barw odmien-
nych od niekończącej się nigdy zieleni. Zbudo-
wany był dziwnie hardo na wierzchołku wzgó-
rza, tak wysokiego, że lud okoliczny zwał je
«górá». Inne wyniosłości, lasami poszyte, zsu-
wały się za nim w jedno tło tajemnicze. W dole,
między zaroślem, przebłyskiwała jakaś rzeczka,
może jeszcze Iłzanka, którą podróżny już kilka
razy tracił z oczu i odnajdywał. Z jej biegiem
szła, starannie wysadzona dróżka, która dalej
nagłym skokiem przerzucała się na zamkową
góré, i żółtym wężykiem prowadziła do głównej
baszty. Ze wszystkich, ta była najgrubsza i naj-
wyższa; przez jej wnętrze biegła sklepiona bra-
ma z bronami i łańcuchami; na jej płaskim wierz-
chołku powiewała chorągiew, znak, że pan zam-
ku wrócił z wojny, lub jeszcze nie pojechał na
nią, znak wówczas dość rzadki. W koło chorąg-
wi krążył nieustannie strażnik wieżowy, jedyny
przedmiot ruchomy w tym obrazie, i zaciekawia-
cy oczy, bo jego broń i trąba, kolejno to zni-
kały, to migwały na słońcu, kiedy przesuwiał się
po za murkiem zębatym, jakim baszta była
u szczytu obrębiona.

Cztery inne wieże miały dachy strzeliste, nie-
równej wysokości; widać że zamek nie od razu
powstał; z początku może ograniczał się na głów-
nej baszcie? Z pokoleniami powoli przyrastał.

Ci co go dobudowywali, nie myśleli pewnie o jego piękności, i właśnie z téj przyczyny stworzyli dzieło piękne, bujne i nieskrępowane w rozroście jakby coś żywego. Każda baszta miała inny kształt i rozmiary; jedna szczególniej przyciągnęła uwagę pielgrzyma: była sześciokątna, prostopadle ze wzgórzem ścięta, a z jéj piętra, wysoko, wysuwała się jeszcze maleńka, okrągła wieżyczka, oparta na podstawce skręconej nakształt ślimaka, przykryta mszystym daszkiem nakształt dzwonka. Z wieżyczki wybiegał półkolisty ganeczek, misternie dziergany w kamieniu jakby brzeżek alby. Na ganeczek wyprowadzało wązkie, długie okno, głęboko w mur wkleśnięte, obramowane grubą rzeźbą, której obie taśmy w górze wiązały się łukiem. Tak, cała ta wieżyczka, na ciemniejszym tle murów bielejąca, wyglądała jakby kropielnica, którą chyba anioł tam zawiesił, bo pod nią była tylko przepaść, a nad nią tylko niebo.

Ale co podróznego jeszcze więcej zachwycało niż śmiałość kształtów i przejrzystość rzeźbień, to maleńki ogródek, co się rozciągał pod wieżyczką na spadzistości góry; woniały w nim różne ziółka, zapewne potrzebne do apteczki domowej, czerwieniły się i rózne krzaki. Podobna ozdoba, i to nie za murami, była wówczas istném zjawiskiem, świadczącym że mieszkańcy musieli od dawna używać dni spokojnych, kiedy bawili się w takie śliczności. Świadczyło za tym spokojem

i wysadzenie dróżki owocowemi drzewami, i gaje rozsypane po górze; wszystko to było bardzo jeszcze młode ale krzepkie; zamek chyba od lat całych nie doznał obłężenia, kiedy mógł się takiej drzewiny dochować.

Wszędzie znać było staranność ręki roztropnej i pieściwej, tak że pielgrzym sobie powiedział:

— Musi tu mieszkać piękna i cnotliwa niewiasta.

I jakby w odpowiedzi na to przypuszczenie, strażnik wieżowy uderzył w trąbę, oznajmiając nadjeżdżających gości, a po chwili drzwi wieżyczki się rozwarły, i na ganeczek wyszła niewiasta, jasno-włosa, niebiesko-oka, biała, przejrzysta i wiotka. Miała suknię lazurową jak niebo, przyszytą wyciętą w trójkąt ze złotym brzeżkiem, poniżej bioder przewiazaną błyszczącym pasem z klejnotami. Na piersiach wyszyte były dwa różnofarbne herby. U wierzchu głowy nosiła rodzaj płaskiego biretu ze złotój lamy, objętej perłowem futerkiem, z pod którego wysuwał się biały, mięsisty welonik, ułożony w kształt bramki, tak że czoło zakrywał do połowy, a z obu stron twarzy opadał swobodnie na ramiona, podczas kiedy drugi, pod spodem, obejmował lica i szyję obwiązką miękką jak obłoczek. Włos jednak nie był zupełnie schowany, i mimo przytulności obłonek, wydobywał się przy obu skroniach kilku złotemi kędziorami. Ów spodni rą-

bek, nazywany «podwijką», i dwoistość herbu na sukni, pokazywały że pani ta musi być zamężną.

Za nią wybiegło dziecię maleńkie, bieluchne, różowiuchne, w sukience także błękitnej, z włoskami także jasnemi, nawet jeszcze jaśniejszemi niżeli u niewiasty; bujność tych włosów przechodziła zwyczajną miarę, pukle starannie pozwijane, aż po pas wisiały dziecinie, tworząc w koło niej złoty, ciągle ruchomy płaszczyk.

Na ganeczku było dla dwojga ciasno, dziecię niebacznie czepiało się poręczy, więc niewiasta wzięła je na ręce, i tak stojąc prawie nadpowietrznie, oprawiona w rzeźbę wieżyczki, przypomniała pielgrzymowi te święte posągi, które ówczesni mistrzowie umieli tak lekko przystawiać do gotyckich filarów. Dziecię śmiało się i całowało niewiastę, ona jedną ręką je tuliła, drugą mu pokazywała stronę lasu, gdzie też i jój własne oczy słały wzrok pełen oczekiwania.

Z lasu wyjeżdżał orszak myśliwych, a na ich czele była także kobieta. Niósł ją koń kary, z białą strzałką na czole, z szyją o łabędzich ruchach, ognisty a pieściwy, jakby stworzony dla owój amazonki, bo i w jój urodzie, potęga z miękkością dziwnie się łączyła. Pomimo postawy siedzącej, znać że wysoka i majestatyczna. Suknia jakby ulana, ściśle rysowała pełne kształty. Była ta suknia barwy ciemno-karmazynowej, obłożona pysznemi sobolami. Pasy ją ścisnęły aż dwa:

jeden niezmiernie szeroki, z ciemnej skóry, nabijanej skówkami i guzami, zapinał się w samej kibici, jędrnie odznaczając jej wcięcie. Drugi węższy, niżej opuszczony, połyskał na szacie wygięciami srebrnej obręczy. Rękawy, szczelnie obcisłe, odmienne od całej sukni, mieniły się pstrątką jedwabną, która była naówczas przedmiotem rzadkim i kosztownym. Gęste brwi, długie rzęsy, grube warkocze łowczyni, zdawały się także sobolowe. Była jak nazywano «przetowłosa», to jest bez rąbków ani białych obwiązek; owe tylko warkocze, spuszczały się jak dwie wstęgi od skroni, i spadały na piersi, a w koło włosów biegł cienki, złotolistny wianuszek. Takie ubranie głowy oznaczało pannę. Nie łatwo było jednak te szczegóły dojrzeć, bo całą jej osobę osłaniał ogromny płaszcz zielony, z kapturem nasuniętym na głowę; z tyłu, od kaptura wywijał się sznur złoty, który zwykle przez ramię zwieszano ku przodowi; zwyczaj wygodny,— za jednym pociągnięciem sznura, kaptur sam opadał. Płaszcz spinał się pod szyją na dwie klamry, szeroko połączone taśmą, a że nie miał rękawów, jadąca odrzuciła go na obie strony, aby uzyskać wolność ruchów dla obu rąk potrzebną, bo w jednym jej ręku spoczywały cugle, na drugim, nieco podniesionem i obciążniętym grubą rękawicą, siedział najprześlicniejszy sokół, tak zakapturzony jak i jego pani.

Pomimo sokoła i nowoczesności stroju, cała

ta postać, dumna i bohaterska, a jednak na wskrós kobieca, przypomniała pielgrzymowi jakowąś boginię.

Mitologii nie uczył się on w żadnych szkołach, ale podróże stanęły mu za szkołę; w Italji widywał połamane szczątki rzymskich bożyszcz, między którymi chwycił go za serce pewien przeduczny posąg Djanny, i choć sobie wymawiał cześć dla pogańskiego bałwana, długo nie mógł zapomnieć «olimpijskiej panny», a teraz kiedy zobaczył pędzącą łowczynię, tamta stanęła mu na oczach.

Nasz pielgrzym był jeszcze młody. (Bo wówczas, pielgrzym nie koniecznie musiał mieć białą brodę; w owych wiekach pielgrzymowali wszyscy, od starców do dzieci.) Więc jako młody, chciwie przyglądał się obu obrazom, czy jego biegały od ganku wieżyczki do karego konia i napowrót. Namyslał się która piękniejsza: święta czy bogini? Namyslał się i nie mógł rozstrząść, tylko zakończył słowami:

— Gdyby mi tu kazano zawyrokować której oddać palmę, poprosiłbym o dwie palmy.

Tuż za piękną łowczynią, o jakie półtora kroku, jechał człowiek cały czarno ubrany, z szarą drucianą koszulką na wierzchu, z grubym pękiem broni u pasa, z twarzą zawiedłą i posepną. Za nim kilku myśliwych, odzianych brunatno, jak przystoi ludziom pośledniejszego stanowiska. Uwi-

jało się téż i dwóch paziów, opiętych w jaskrawe ubiorki.

Wszyscy długim węzem zaczęli po górze wspinać się ku zamkowi, a pielgrzym w gąszczu siedział niewidzialny. Ale cóż się ustrzeże paziowskiego oka? Dostrzegł go pazik z figlarne mi oczami i czupurném piórkiem u czapki, skreślił konia, stanął, i zaczął się przyglądać z rodzajem niedowierzania, bo pielgrzym siedząc, nogi «na krzyż» założył, a trzeba wiedzieć, że téj postawy, nazbyt wygodnéj wedle ówczesnych wyobrażeń, pozwalali sobie tylko pielgrzymi i krzyżownicy powracający z Ziemi Świętej. Był to przywilej szanowny i wymowny.

Pielgrzym widząc niepewność pazia, kiwnął głową i odezwał się:

— Tak, tak, — idę z Jerozolimy, prosto od Grobu Pańskiego.

Na te słowa, paź zeskoczył z konia, zaczął całować płaszcz pielgrzyma, i dopytywać się:

— Jak to tam jest w Jerozolimie?

Ale pielgrzym ani myślał, dla jednego słuchacza, szafować skarbami swoich wspomnień; wolał owszem sam się czegoś dowiedzieć, aby te skarby jeszcze zwiększyć. W tym celu zapytał, jak się nazywa ten zamek? Kto go zbudował? Do kogo dziś należy? I co to za jedne, te piękne białogłowy?

— Miejsce które widzicie, jest-to «Żegnana góra», albo jeszcze prościej: «Żegnaniec». Od czego poszło to przezwisko, różnie ludzie mówią. Wedle jednych, w czasach bardzo starych, jeszcze za pogaństwa, stała tu okrutna świątница, gdzie czarci mieli swoje gniazdo. Ale kiedy król Chrobry sprowadził Benedyktynów na Łysą górę, trafiło się, że jeden z tych zakonników przechodził tędy nocą, i bardzo się zadziwił, widząc na górze gmach cały ognisty, od którego łuna biła jakby od siedmiu xiężyców, a w gmachu czarci z wiedźmami wyprawiali skoki i śpiewy tak, że od huku, człowiek człowieka nie słyszał. Benedyktyn widząc iż wołaniem licha nie wypłoszy, znakiem krzyża świętego przeżegnał oną górę, i wnet się cały gmach z trzaskiem zapadł, a miejsce nazwano: «Zażegnańcem». Inni znowu mówią, że sto lat temu, xiażę Henryk Sendomiérski jadąc tędy na łowy, usnął na tój górze, a we śnie zobaczył Świętego Piotra, który go tak ogniście przeżegnał, że mu na piersiach krwawy krzyż zostawił. Jak tylko się xiażę obudził, zaraz wyrozumiał co taki sen znaczy; ze szkarłatnego sukna krzyż sobie wykroił, przypiął go na piersiach, i zebrawszy towarzyszy, wyprawił się na Krucjatę, gdzie wiele czynów chwalebnych dokonał. Jeden z owych towarzyszy, powróciwszy tutaj, na pamiątkę owój sennój przepowiedni, zbudował sobie zamek, i dał mu nazwę: «Przeżegnaniec.» Dziś tu mieszka jego wnuk rodzoniu-

sieńki, Sulisław na Żegnańcu, rycerz waleczny, pan możny i sprawiedliwy. To téż Pan Bóg mu błogosławi na wszystkiém; nieprzyjaciele drżą przed nim, xiążę Bolesław tak go ceni, że kiedyś jadąc z Sandomierza, cały tydzień gościł tu na zamku. Dobytek wszelki zakwita, jedynak zdrowo się chowa, a w domu rządzi zacna żona, pani Elżbieta Sulisławowa, ta właśnie nadobna niewiasta, co przed chwilą wyszła na ganek. Sądziła pewnie że już powraca jej małżonek, ale on jeszcze zabawił się w lasach, a wróciliśmy tylko my, co należymy do orszaku panny Ludmiły, dziedziczki na Srebrnym Potoku, Białej górze, Czarnolesiu i wielu innych włościach. Sławna to bogaczka, może najbogatsza w całym Krakowskiém i Sandomierskiém xięstwie. Dwa rody się na niój kończą. Sierota z ojca i z matki, chowała się u Panien Norbertanek, a teraz ją stryjcowie oddali pod opiekę pani Elżbiety. Już blisko rok tu bawimy, i od tego czasu, rzadki tydzień aby jaki rycerz albo panicz nie odwiedził zamku, w którym jest do zdobycia taka pożądana i urodziwa dziewczka. Już téż i czas aby sobie wybrała małżonka, już idzie jej na rok szesnasty, ale ona jakoś nie może się namyślić, a prawdę mówiąc, i całemu jej dworowi nie zbyt pilno do téj godziny, bo przy naszej pani nam dobrze, a jaki będzie pan, nie wiemy.

Paż byłby jeszcze długo rozpowiadał, podróż-

ny pierwszy mu przerwał. Dowiedziawszy się że w zamku bawią same niewiasty, na których miłosierdzie każdy ubogi zwykł najwięcej liczyć, śmiejelęj poprosił o gościnność. Paź widocznie się zawahał, oświadczył, że potrzebuje pierwéj otrzymać pozwolenie od naczelnika załogi zamkowej Ruperta, który w nieobecności pana musi o wszystkim wiedzieć, i co żywo puścił się ku bramie.

Pielgrzym sam zostawszy, ukrył twarz w dłoniach i pomyślał:

— Mój Boże! Jaki to jednak niesprawiedliwy podział losów na świecie! Jednym wszystko idzie jak z kamienia, wszystko im się z rąk wymyka, ziemia prawie z pod nóg im ucieka, a drugim wszystko się wiedzie jakby przez jakie czary. Oto naprzykład te dwie białogłowy? Jedna sobie pysznie mieszka w swoim zamku, chlubna małżonka i matka, otoczona czcią poddanych i uśmiechami dworzan, tłumom rozkazuje i monarchów przyjmuje. Druga, zepsute dziecko szczęścia, ręką co nie zaznała trudu, zgarnia dostatki ciężko zapracowane przez wiele pokoleń, promienna przodownica na łowach i płasach, królowa turniejów, cel miłosnych westchnień i pieśni, widzi u stóp swoich najśliczniejszych młodzieńców i najdumniejszych mężów, czekających z jéj ust wyroku. Obie młode, obie piękne, kwitnące zdrowiem i swobodą, nie znają co to troska o jutro

co to nieżyczliwe spojrzenie, i jeszcze ludzie unoszą się nad ich dobrocią! Nie sztuka to być dobrym, kiedy wszystko idzie wedle woli. Czém te białogłowy zasłużyły się Bogu, że je tak bez miary obsypuje, a cóżem ja biédak zawinił, ja który nigdy nikomu wody nie zamąciłem, aby mię los od maleńkości prześladował?

Z tych gorzkich rozmyślań, zbudziły pielgrzyma obce głosy. Paź wracał podskakując, za nim szedł Rupert, w którym podróżny poznał owego posepnego jeźdźca o czarnych sukniach i drucianej koszulce. Dowódca załogi, nachmurywszy wzrok przenikliwy, zmierzył wędrowca od stóp do głowy, chcąc zapewne zmiarkować, czy to nie jaki niebezpieczny włóczęga, kto wie czy nie szpieg nieprzyjacielski? Gdyby mógł był odgadnąć jego młode lata, byłby się może i tą młodością zraził; ale niesłychane trudy zamorskich pielgrzymek, nadały podróżnemu jakiś wiek nieokreślony, a niczém nie zatarta pańskość, przebijająca się z pod tych szat biédnych i znękanych rysów, onieśmiałała zbyt ciekawych badaczy. To téż jeden błysk oka wystarczył biegłemu znawcy na ocenienie gościa; zaprosił go z uszanowaniem, i prowadził pod górę.

Weszli na most, którego po przejeździe my-

śliwców jeszcze nie podniesiono, dalej na dziedzińcu, zapchany mnóstwem przybudowań i przystawek drewnianych. Czego tam nie było? Koszarowe cele dla załogi, łaźnie, kuchnie, piekarnie, pełno przeróżnych składów; z innej strony łomocące stajnie, pełne kwiku chłewy, piskliwe zagrody dla drobiu. Na środku dziedzińca zaokrąglała się kamienna obwódka studni, z kądem śmiejące się pacholeta, wyciągały wiadro z wodą dla pomęczonych koni. Przy głównym gmachu, w narożniku, zgrabna dzwonniczka strzelała nad drzwiami kaplicy, z której właśnie wychodził Kapelan zamkowy.

Pielgrzym patrzył, podziwiał, i wciąż powtarzał w duszy:

— Wszystko mają, wszystko! Nawet Pana Boga mogą przyjmować w domu!

Przeszedłszy sień sklepioną, podpartą pękającymi słupami, i próg wysoki jako przystało na drzwi pańskie, stanęli u wejścia dłuższej a wąskiej sali, gdzie wędrowiec nie prędko potrafił się rozpatrzeć; gęsty mrok tam panował. Wprawdzie w jednym z jej końców, świeciło okno wysoko strzeliste, podobne do kościelnego, w drugim końcu roztwierał się komin ogromny, tak ogromny że zajmował prawie całą tę ścianę, a z jego huczącej gardzieli, nastroszonej cała furą drzewa, buchał płomień jakby z kuźnicy, ale zbieg owych dwóch jasności, niebieskawej od okna, czerwonej od ogniska, tworzył oświetlenie fałszywe, do któ-

rego oko musiało długo przywykać. Miłym był jednak niezmiernie widok owego ognia; przy niesłychanej grubości ówczesnych ścian kamiennych, które nigdy nie mogły ogrzać się do rdzenia, przy wąkości okien, przepuszczających ledwie jedną smugę słońca, w gmachach panował chłód piwniczny. Cały też rok chodzono w futrach, które na wolnym powietrzu czasem stawały się zbyteczne, ale w mieszkaniach były zawsze pożądane.

O bajecznej tej grubości murów, najlepiej świadczyła sama framuga okna, istny pokoik w pokoju; choć tylko w ścianie wykrojona, zawierała pod oknem stolik i dwa ogromne krzesła.

Siedziba ta mogła się pochlubić bardzo cennym przymiotem, była stosunkowo dosyć jasna. Wprawdzie okno, mało co szersze od porządnej strzelnicy, nie przeświecało szybami, które ledwie na królewskich dworach wtedy znano; miało tylko mocną kratę i grubą na zewnątrz okiennicę; ta była poprzekłuwana w rozmaite gwiazdy i serduszka, naciągnięte pół-przejrzystą błoną, tak że nawet w zimie, kiedy musiano wszystko szczelnie zamykać, przepuszczała odrobinę światła. Ale teraz, przy cieplej porze, okiennica była otwarta, i promień światła żółtego, pociętego czarnym cieniem kraty, padał prosto na stolik, przykryty wesołym pasiastym kilimkiem. Stół był założony mnóstwem rzeczy: leżały na nim krośna z jakąś cudną robotą; przy nich wrzecio-

no misternie wycinane; stał i zielony dzbanuszek z kwiatami; leżała nawet xięga, oprawna w par-gamin biały jakby mléko, na świeciste klam-ry zamknięta. Krzesła przypominały kształt bi-skupich tronów, a chociaż twarde i kańczaste, nęciły doborem przeróżnych poduszek. Naprze-ciw tych siedzeń, na ścianie szarzejacéj nad sto-łem, roztwierał się tryptyczek jaskrawo malowany z Męką Pańską na środku, ze świętymi figura-mi na bocznych skrzydełkach. Nad nim wisiał wiecznie gorejący kagańczyk, pod nim zaokrą-głał się rodzaj muszli kamiennéj z wodą świę-coną, i zatkniętą na ukos palmą. Według tych szczegółów, łatwo było zgadnąć, że to jest miej-sce gdzie pani domu najlepiej lubi przesiadywać, «boudoir» trzynastego wieku.

Środkiem sali biegł stół długi a wązki, na kozłach układany, w koło niego zydle dębowe, po ścianach rogi różnych leśnych bestji, a gdzie nie gdzie pęki rynsztunku.

Z obu stron komina, wysuwały się dwie ła-wy o wysokich oparciach, z gruba narzynane we wzory, podobne do stalli. Między niemi, przed samém ogniskiem, siedział na niedźwiedziej skó-rze ów śliczny chłopczyk o błękitnéj sukience, teraz bawiący się z ogromnym psem czarnym.

W środku sali, przy stole, pielgrzym spo-strzegł owe dwie białogłowy, które teraz, na tle czarodziejskiego oświetlenia, wydały mu się jesz-cze dziwniej piękne, tem piękniejsze, że go przy-

jęły ze czcią, należną człowiekowi co własnymi stopami dotknął się Golgoty.

I on téż, jako doświadczony bywalec, umiał sobie od razu ująć serca niewieście. Przed chłopczykiem stanął w osłupieniu, oświadczając że jak żyje nie widział takich cudownych włosów, którym podobne chyba Święty Jan Ewangelista nosił, czém wielce pogłaskał macierzyńską dumę Elżbiety; porównanie wypadło tém szczęśliwiej, że chłopczyk jakby naumyślnie nazywał się Jasiem. — Ludmile przypatrywał się z uporczywością, która ją w końcu aż zmieszała, a wtedy zaczął ją przeproszać, wyznając na swoje uniewinnienie, że mu jój osoba dziwnie przypomina Rejentkę Francji, sławną Blankę Kastylską, którą przed rokiem w Paryżu miał szczęście oglądać; a że cały świat wiedział, jakim Blanka była cudem urody i rozumu, piękna łowczyni zarumieniła się i skinęła głową dziękczynnie.

Po takim wstępie wszystko już poszło gładko. Wprawdzie Rupert stał ciągle przy drzwiach i swoją milczącą posepnością ziębił zgromadzenie, ale stało i kilku innych domowników, z białymi wąsami, z poczciwemi twarzami, a poufałe, czasem nawet i krotochwilne słówka, wtrącane przez nich do rozmowy, dowodziły że to dom, którego sługi trzymają się nietylko chlebem lecz i sercem. Przyszła téż i stara, ze wszystkich najstarsza, ochmistrzyni, w siwym kożuszku, cała obwiązana białymi chustami; siadła w kątku, trzy-

mając kądziel, i zdaje się że przez cały czas trzymała ją nieruchomie, tak była nabożnie zapatrzona w pielgrzyma.

Wkrótce weszła dziewczeczka ze srebrną miednicą i nalewką pełną wody pachnącej, zaprawnej lawendą, gdzie pielgrzym z rozkoszą obmył ręce; do ich otarcia przyniesiono mu ręcznik lniany, bielusienki, z brzegiem prześlicznie wyszywany. Poczém, sama pani zamku podała mu czaszę złocistą, nalaną Cypryjskiém winem, i wnet inne dziewczki zaczęły wchodzić, niosąc pełne misy i dzbany.

Zaproszono pielgrzyma do stołu; miejsce miał zaszczytne, w samym najwyższym rogu; obie panie usiadły po dwóch stronach, nic same nie jedząc, ale częstując jak należy, to jest aż do przy musu.

Zacząto od pytania, czy gościowi dozwolone mięso i różne łakocie? Na wielką radość gospodyni, odpowiedział że nie jest związany żadnym nadzwyczajnym postem, bo jego pielgrzymka nie była pokutą, ale ślubem uczynionym w nieszczęściu. I powoli, zaczął opowiadać swoje losy, jako w niemowlęctwie stracił matkę, jako rósł przy ojcu bogatym i potężnym, w zamku co miał także baszty i wielkie sale. Aż tu jednej nocy, zły sąsiad, odwieczny wróg jego rodu, uciekał zamek, ojca okrutnie zamordował i włości zagrabił. Dziecię od sług uratowane, tułało się po kryjówkach, ale że to było na Mazowszu,

pod rządami xięcia Konrada, u którego nikt nie mógł dostąpić sprawiedliwości, odepchnięto zabiegi pacholecia, co nie miało czém opłacić się ani odsłużyć.

Na wzmiankę o xięciu Konradzie, obie panie smutnie potrząsnęły głową i zamieniły znaczące spojrzenie.

— Otóż — ciągnął dalej pielgrzym — wiedząc że u ludzi nic nie wskóram, obróciłem się ku Ojcu Niebieskiemu, ślubowałem że pójdę aż do Jeruzalem, na intencję, aby mi kiedyś wrócił ojcowiznę. I poszedłem, i oto już jestem z powrotem. Ja swoje zrobiłem, a teraz — dodał — zobaczymy, czy Pan Bóg zrobi swoje?

Słowa te wyglądały hardo, ale tchnęły ślepem zaufaniem w Opatrzność, co musiało ją więcej wzruszać niż obrażać. Ludzie ówczesni naprzykrzali się niebu nieustannemi ślubami, za które wielu z nich wymagało natychmiastowej, doczesnej nagrody. Był to rodzaj targu z niebem, to prawda, jednak czyż możemy go potępiać, kiedy często, bardzo często pomagał? I nie powinien dziwić nas jego pomyślny skutek: dziecko zepsute ale gorąco kochające, nieraz więcej od ojca wyprosi i wynudzi, niż dziecko roztropne ale zimnego serca.

Pani Elżbieta naląła gościowi nową czarę, i z westchnieniem rzekła:

— Ach, na ludzi zawsze trudno rachować. Xiążę Konrad w najlepsze jeszcze gospodarzy,

i podobno coraz większe zgorszenia się tam dzieją. Ale Bogu Wszechmocnemu wszystko łatwe, On i ze skały żywy zdrój wyprowadza.

To powiedziawszy, zawahała się przez chwilę i zamilkła, widocznie wstrzymując na ustach gotowe jakieś pytanie. Była ona wielce ciekawa, (i nie ona jedna, ale wszyscy byli ciekawi), z jakiego rodu pochodził podróżny? Według owych dziecinnych wspomnień, musiał ród jego być świetny i szlachetny, cóż kiedy go nie wymienił ani razu? Czemu? Czy z chrześcijańskiej pokory? Czy owszem z dumy, wstydzącej się terazniejszego poniżenia? W każdym razie, gościnność i poszanowanie dla nieszczęścia, nie pozwalały zapytywać.

Tymczasem gość używał posiłku sownie, chociaż bardzo powoli; nie mógł się napiścić niezwykłemi dla siebie przysmakami; po jagłach i rzepie, jakimi go najczęściej karmiono w chałupach, dziwnie mu smakowały bieluchne, rozpluwające się w ustach kuraki, dziczyzna suto pławiona w korzeniach, a nadewszystko ten prześliczny placek, miodem przekładany, jagodami upstrzony, do którego roboty sama pani zamku się przyznała.

Po krótkiej modlitewce dziękczynnej, panie przeprowadziły gościa w pobliże ogniska, ławę mu wysłały kobiercem, niedźwiedzią skórę podsunęły pod nogi, a same siadły na drugiej ławie naprzeciwko. Przyszedł i Kapelan zamko-

wy, ciekawy wieści z Ziemi Świętej, i przy gościu zajął miejsce na ławie z kobiercem. Nawet mały Jaś, ośmielony pochwałami wędrowca, a jeszcze bardziej ustąpionym sobie słodkim kawałkiem placka, porzucił czarnego Burka, ażeby się bawić z pielgrzymim kapeluszem, dziwo-wiskiem wówczas nie często widywanem. Nie tylko u nas, ale w całej Europie, obywano się czapkami, a jeszcze więcej kapturami, które, dla zimniejszych zwłaszcza krajów, niezaprzeczenie były bardzo wygodne. Dopiero pielgrzymi zachodzący aż do Hiszpanji, zaczęli ztamtąd przynosić osobliwsze owo nakrycie, wynalezione tam przeciw upałom od Afryki wiejącym. Długo jednak ludzie innych krajów nie mogli się z niem oswoić. Złośliwi przyrównywali je do przewróconej miski, i nikt nieśmiało tak ubrać głowy, chyba kiedy wychodził na pielgrzymkę; wtedy kapelusz o płaskiej główce a szerokiem oskrzydleniu, stawał się niejako godłem pobożnego wędrowca, i już zdaleka zwiastował go ludzkim oczom, razem z okrągłym, fałdzistym płaszczem bez rękawów, czyli «peleryną», której sama nazwa już dostatecznie tłumaczy początek.

Nieznacznie, w sali przybywało słuchaczy. Wszystkie panienki służebne cichutko się wsunęły, wszyscy domownicy powoli pod ścianami się uszykowali, nawet kilku żołnierzy i kuchci-

ków, ze drzwi otwartych wytknęło ciekawe głowy. Przy mroku zapelniającym salę, całe to zgromadzenie byłoby pozostało prawie niewidzialnym, gdyby nie odbłyски ognia, które się czasem różowo zaiskrzyły, to na jakim pancerzu, to na białym fartuszk, i gdyby nie szmery uwielbienia, podziwu lub strachu, któremi tłum się zdradzał słuchając pielgrzyma.

Bo też pyszne i straszne opowiadał on rzeczy.

O sławnym sultanie Saladynie, co tak był po swojemu nabożny, że i w podróży siedząc na wielbłądzie, ba! nawet konno jadąc już na bitwę, zawsze czytał i czytał Koran. Wielki przykład dla chrześcijan!

Daléj opowiadał o straszliwéj sekcie Assasynów, czy Haszyszynów, (czart ich tam wie jak to wymawiać?) nad któremi już od trzech wieków króluje czarownik ze szczerozłotą brodą, mieszkający na górze tak wysokiej... no, jak sto razy Świętokrzyżka. Na jéj wierzchu, pomimo wiecznych śniegów, kwitnie ciągle ogród zaklęty, gdzie ów stary obłudnik zgromadza djably w kształcie cudnych boginiek, i za ich pomocą, tak czaruje swoich wyznawców, że zszedłszy z onéj góry słuchają go na oślep. Każe im w ogień wskoczyć? Dobrze. Zabić kogo? Jeszcze lepiej. O, tego zabijania najwięcéj, po-

dobno już się nawet zakradli do krajów chrześcijańskich i we Francji ludzi sprzątają. To tylko szczęście, że ów czarownik nienawidzi wszystkich bez wyjątku, i każe mordować nie tylko Franków, ale i Egipcjan, i Arabów, i Saracenów, — i tak, z przejrzenia boskiego, całe to plugastwo samo się pożera».

Mówił także jak to teraz na Wschodzie łatwo sobie zdobyć królestwo. Korony rosną tam jak grzyby. Trafiła się że prosty rycerz pojechał na Krucjatę, i nie wraca, nie wraca. Żona w głowę zachodzi, chce już za jego duszę sprawić nabożeństwo, niema czém dzieci żywić, bo jako wdowę już wszyscy ją rabują, a tu zjawia się od męża poseł: «Żono kochana, zabiéraj się z dziećmi i przyjeżdżaj co żywo, zostałem cesarzem Trebizondy».

Na takie słowa pielgrzyma, słuchacze otwierali usta, a z oczu błyskała im gorąca zazdrość, ale kiedy znów zaczął opowiadać, jakie to znęcania się i męki muszą nieszczęśliwi pielgrzymi znosić od synów piekielnego Mahometa, — jakie to w Palestynie są trzęsienia ziemi, która widocznie aż się wzdryga na tyle okropności, — jakie to nad Martwém morzem rosną dziwne owoce, które z wierzchu wyglądają nakształt soczystej gruszki, a gdy je nadgryziesz to ci usta zasypią popiołem, — jakie to na końcu świata siedzą dzikie narody, jakoweś Tatary i Mongoły, co jadają dzieci pieczone, i myślą

całą ziemię zawojować, — wtedy wszyscy jęczeli jak w kościele, i nawet Jaś, wypuściwszy z ręki kapelusz, wlepiął w pielgrzyma osłupiałe oczęta.

Byłoby to rzeczą niezmiernie ciekawą, gdyby można spisać wszystko co opowiadał, ale cóż? zrobiła-by się powieść w powieści, jak ów pokoik w pokoju, a wtedy nasza xięga dorosłaby do grubości owoczesnych murów, dzisiaj zaś to już nie popłaca; dziś i ściany i xięgi wiotsze, i cierpliwość słuchaczy mniej hartowna.

Mieszkańcy zamkowi byliby słuchali do nocy, ba i całą noc do świtania, ale pielgrzym zobaczywszy czerwoność zachodzącego słońca, zerwał się ku wyjściu, bo mu jeszcze porządny kawałek drogi zostawał do wiadomego klasztoru, gdzie miał noc przepędzić, i z Przeorem radzić o swoich przyszłych losach.

Ruszyło się wszystko w sali; a pierwsza ruszyła się pani zamku, aby nagromadzić pożegnalne dary dla pielgrzyma. Kazała przynieść zimnego mięsiwa, dodała i dwa złociste chleby żytnie, i pozostałą całą połowę placka, a kiedy to wszystko zaczęto pakować do sakiew, to strach brał aby nie popękały. Kazała też przynieść miękkie, nowiutkie obuwie, które pielgrzym zaraz przymierzył i nadział, stare zawiesiwszy na

kiju; dała mu i kawał domowego płótna, i pas szeroki z czarnej skóry, spinany mosiężną sprzączką, który miał wewnątrz misterną kryjówkę na pieniądze; a piękna Ludmiła sięgnęła do płaskiego woreczka, co jęj wisiał u boku na łańcuszkach, dobyła zeń dwie sztuki złota i wsunęła je do kryjówki.

Pielgrzym rozczulony, nie wiedział jak dziękować i czém się odplacić? Zdarł ze swego ubrania muszelkę dla Jasia, pomiędzy domowych rozdał kilka poświęconych krzyżyków, ale cóż samym paniom ofiarować?

Szczerze mówiąc, nie chciało mu się rozpruć płaszcza, i po drodze rozdawać kosztownych relikwi, któremi kiedyś miał nadzieję okupić sobie zbrojną pomoc przyjaciół ojcowskich, albo przynajmniej schronienie na starość przy jakim klasztorze.

Szczęściem, przyszła mu w porę myśl wyborna: sięgnął do zanadrza i wydobył małą, maleńką paczuszkę. Wszyscy zaglądali ciekawie. On powoli, ostrożnie odwijał płatek po płatku, aż wyjął drobną gałązeczkę o kilku ramionach, zupełnie martwą, szarą jak ziemia, zwiniętą w twarde, pokręcony kłębuszek.

Podniósł ją wysoko, pokazał zgromadzonym i odezwał się uroczyście.

— Czémże można was obdarzyć, moje zacne i urodziwe dobrodziejki? Czegóż wam na świecie

brakuje? Macie wszystko czego łaknie ciało, czego pragnie dusza. Wasze życie usłane różami...

Tu chwilę się zatrzymał, jakby czekał na słówko potwierdzenia ze strony dobrodziejek.

Któżby uwierzył? Te nie wyrzekły ani słówka, owszem, podniosły ku niemu wzrok żaloszny, wyraźnie przeczący.

Ale pielgrzym nie chciał zważać na to przeczenie, które mu psuło piękny zwrot przemowy, i kłaniając się, ciągnął dalej:

— Życie wasze usłane różami. Otóż ja do róż tych dodam jeszcze jedną, ale taką, jakiej w naszym kraju nikt jeszcze nie widział. Słyszeliście wy też kiedy o róży Jerychońskiej?

Kilka głosów odezwało się z nieśmiałością.

— A juści, słyszeliśmy. To podobno kwiat Matki Boskiej.

— Dobrze mówicie, kwiat Matki Boskiej, kwiat niebiański. Otóż to jest właśnie róża Jerychońska, taka jaka rośnie na ziemi, ale tylko na ziemi Świętej, pod miastem Jerycho, którego to mury porozpadały się na zatrąbienie Jozuego. Byłem tam. Na własne oczy widziałem kamienie z owych murów, leżące jeszcze w poczerniałych kupach. Wokoło miasta pustynia. Gdzie-gdzie kępami rosną precudowne palmy, zresztą wszędzie szczyry piasek, żółty jakby złoto, a na piasku takie oto różyczki leżą porozrzucane; nie wiedzieć zkad się tam biorą, jakby je kto z nieba wysypał. Tę którą widzicie, własnymi rę-

kami wyjąłem, a nie trudno wyjąć, bo — rzecz dziwna — ten kwiatusek wcale nie wrasta w ziemię, ale tylko po wierzchu trochę się piasku trzyma, zaczepiony tą łodyżką jak gdyby haczykiem. To też lada wiatr go wyrывa, i roznosi po całej Ziemi Świątej, tak, że tam naprawdę padają deszcze z róż.

Tu ruch rosnący przerwał mowę pielgrzyma. Słuchacze zaciekawieni, coraz ciałniej go napierali, musiał każdemu z osobna pokazywać osobliwszą roślinkę. Nakoniec wszyscy przyjrzeni się do syta.

— No, — rzekł — już tedy wiecie, jak to wygląda i gdzie rośnie. Ale czemu jest poświęcone Matce Boskiej, a! tego nie wiecie. I nie zawsze też to nosiło taką świętą nazwę, dawniej to był kwiat Ewy, kwiat «matki człowieczej». Powiadają, że kiedy Cherubin, uzbrojony mieczem gorejącym, wypędzał naszych rodziców z rajskiego ogrojca, biedny ojciec Adam był taki zgryziony, że już na nic nie patrzył i na nic nie pomniał: szedł z oczami wlepionemi w ziemię, więcej podobno żałując straconej łaski Pana Boga, niżeli wszystkich przesłiczności Edenu. Ale Ewa, zapobiegliwsza, troszczyła się już w sercu, jak to tam będzie dalej z niemi, i koniecznie chciała z tej dawniej siedziby wynieść sobie coś, choćby najmniejszego, na nowe gospodarstwo. A tu strach, niełatwo ręką sięgnąć, bo Cherubin patrzy ognistemi oczami. Jednak, już przy samej bramie raj-

skiej, uchwyciła chwilę kiedy się zapędził za mężem, i uszczknęła różę, jedną małą różyczkę, taką malusią, że ją schowała w dłoni. Użytek z takiego kwiatka nie wielki, zawsze jednak — myślała sobie — jak się te róże rozrodzą, będzie czém ozdobić nasze nowe gniazdo, będzie co wpleść we włosy, jak za dni szczęśliwości! (Bo to za przeproszeniem, dobrodziejek, białogłowie zawsze strój na myśli). Sądziła biedna matka nasza, że z téj różyczki wyrosną po dawnemu cuda. Ach, jakże się strasznie oszukała! Róża, przesadzona z ziemi Edeńskiej na ziemię wygnania, straciła całą krasę, pokurczyła się i uschła zupełnie. Jednak, jako z rajy pochodząca, nie mogła się pozbyć swego nieśmiertelnego przyrodzenia, rosła więc dalej bo nie mogła nie rosnąć, ale szara, karłowata i suchuteńka. Pamiątka z rajy, ale utraconego. Aż po wielu tysiącach lat, kiedy Panna Marja i Józef Święty powracali z Egiptu, Pan Jezus, który już miał kilka latek, biegnąc po złotej pustyni, ulitował się nad losem wygnańczego kwiatka, zerwał kilka takich martwych gałązek, i siadł sobie przy drodze, ażeby dla Matki upleść z nich koronę. A gdy plotąc zaczął rozmyślać, jaki to grzech ciężki sprowadził śmierć owego kwiatka, i w ile złości ów grzech się rozrodził, i jak przyjdzie to wszystko na krzyżu okupić, tak się Najdroższemu Dzieciątku i na płacz zebrało. Boskie łzy upadły na gałązkę, i wtedy stał się cud: róża odżyła, w mgnie-

niu oka. wydała listki i kwiateczki, i kiedy Jezus włożył Matce na głowę koronę, to już zieloniuteńką i kwitnącą. I niedość na tém; odtąd cud się powtarza, bo w rękach Pana Jezusa klątwa grzechu pierwородnego ustała nad kwiatkiem, jak ustała nad rodem ludzkim. I już nawet nie potrzeba łez, ale dość jest kilku kropel wody, ażeby róża odżyła.

Tu powstał między zgromadzonemi jeden okrzyk:

— Jakto, wody? Zwyczajnej wody? Czy to być może?

— A tak. Naprzykład oto, patrzcie: tę gałązkę zerwałem przed laty dwoma, wszak zeschnięta jak wiór, niaprawdaż? A jednak włożcie ją w miseczkę albo w dzbanuszek z wodą, a zobaczycie co się stanie.

— No cóż? Cóż? — Pytano do koła.

— Nie upłynie połowy, ba! i ćwierci dnia, ale gdzież tam! i to za wiele, — dosyć tyle czasu ile trzeba ażeby odśpiewać Nieszpory, a ten wiórek zmięknie, pokurczone gałązki wyprostuje do góry, i rozwinie się w taki szeroki krzaczek, że kiedy teraz można go schować w dłoni, to potem dwiema rękami ledwie się zakryje. Wyjmijcie go z wody, a napowrót uschnie; włożcie po raz drugi, znowu się rozwinie; i tak samo będzie za rok, za lat dziesięć, za sto, i zawsze.

— A to dziwnie! A to niepojęte! — Wołali słuchacze.

— Proszę dobrodzieja, — wtrąciła ochmistrzy-
ni — czy by to nie lepiej było tę różę zasadzić
na grządce, albo włożyć w doniczkę?

— A! moja matulu, — odparł pielgrzym
z uśmiechem — to nie byłaby sztuka. Na grząd-
ce lub w donicy lada ziele wyrośnie. Ale tu
właśnie chodzi o rzecz cudowną. Ta róża nie
jest kwiatem ziemskim, więc jęj nie trzeba zie-
mi, dość aby kilka kropel przypomniało jęj łez-
ki Jezusowe, a budzi się jakby wskrzeszona.
O! w tym kwiatku jest wielka dla nas nauka
i pociecha: umiiera i zmartwychwstaje, pokazuje
nam częm jesteśmy i częm zostaniemy. Dawnięj
kwiat Ewy — a dzisiaj kwiat Marji.

Nastało milczenie.

Przerwała je piękna łowczyni:

— Ja bo jeszcze chciałabym cós wiedzięć.
Mówiliście że róża, włożona w wodę, robi się jak
żywa i podnosi gałazki. Ale czy wypuszcza
święże listki, czy wydaje kwiaty?

— O... to cud rzadszy. — Odpowiedział piel-
grzym z niejakięm wahaniem. — Jednak słysza-
łem że i to się trafia. Kiedy Matka Boska chce
komuś okazać wielką łaskę, pozwala aby róża
wypuściła zieloniuteńkie listki i bieluteńkie kwiat-
ki. Ale taka łaska bardzo rzadka. Błogosławio-
ny to już dom, w którym róża Jerychońska za-
kwitnie!

Wymawiając te słowa, pielgrzym przystąpił do Elżbiety, i wręczył jej gałązeczkę.

— Trzy takie róże — dodał — wyniosłem z Palestyny. Jedną dałem pewnej Maurytańskiej dziewczeczce, którą chciałem nawrócić na wiarę naszą świętą; drugą dałem królowej Blance, kiedy nas dwunastu pielgrzymów zaprosiła do swego stołu w Wielki Czwartek; trzecia, ostatnia jaką posiadam, niechże tu zostanie. Oby zakwitła i szczęście wam niosła!

Jaś uczepił się sukni matczynej, wyciągnął rączki, i wołał:

— Daj matuniu, daj!

Ale matka wysoko podniosła gałązkę, łagodnie odmawiając:

— Nie Jasiu, tego psuć nie można, to kwiat święty.

Pielgrzym tymczasem wychodził, odprowadzany przez wszystkich domowników, żegnany chórem dziękczynień i życzeń.

Kiedy przeszedł napowrót bramę, i znalazł się za mostem, gdzie go ów pazik ostatni odstąpił, — znowu nad głową posłyszał trąbę z wieży; obejrzał się na wszystkie strony, aby znaleźć powód owego trąbienia, i poniżej góry dostrzegł poczet myśliwych, tłumnie i szumnie wysuwający się z lasu.

Na czele jechało dwóch mężów, ogromnych, wspaniałych, jeden w czerwonym, drugi w białym płaszczu; kaptury od nich, nasunięte na głowę, zaokrąglały się z tyłu swoim nieodzownym sznurem, jakby jakiéś uchem od dzbana. Wiatr czasem igrał z połami płaszczów, a wtedy można było rozeznąć uzbrojenie jeźdźców; u lewego ich boku świeciły miecze długie, szerokie, z rękojeścią w krzyż, — u prawego wisały kołczany, złocistemi ćwiekami nabijane, głębokie i pakowne, ale w tej chwili próżne; polowanie musiało być obfite, kiedy je ze wszystkich strzał ogołociło.

Widocznie to sam pan zamku, powracał z jakimś znacznym gościem.

Za niemi jechali dwaj giermkowie, trzymający pańskie włócznie i łuki, dalej niezliczeni strzelcy i obławnicy, w kozuszkach i włochatych skórach różnych zwierząt; jedni mieli proce, topory, długie noże, inni proste oszczepy w ogniu osmalone. A co psiarczyków, prowadzących pstre, zziajane sfory! A co ptaszników z sokołami! Było ich tak wielu, że pierwsi już zaczęli wstępować pod górę, kiedy ostatni dopiero wyjeżdżali z kniei.

Pielgrzym nie miał wielkiej ochoty spotykać się na wązkiej drożynie z tyłoma konnemi, co mogli go stratować albo stracić, tém bardziej że ciężko był obładowany. Postanowił zejść z gó-

ry inną stroną, i szukając jakiegokolwiek steczki, zaczął krażyć w około zamku.

Znagła dosłyszał jakieś łkanie, jakby gwałtowny płacz niewieści. Przystanął, nadśluchując z kąd ów głos pochodzi? Wyraźnie szedł z głębi zamku.

Ciekawość go tknęła; wstąpił na wierzch wału, i przyczajony pod krzakami, zaczął wzrokiem wodzić po murach, które tuż za rowem sterczały. Teraz poznał: głos płaczliwy pochodził z okna wąskiego, wysokiego, co się rysowało w najgrubszej części murów. Okiennica była otwarta, pielgrzym dobrze wpatrzywszy się w kratę, mógł z łatwością rozeznąć wnętrze. Co zobaczył? Temu zrazu prawie nie mógł uwierzyć. Było to właśnie okno od tej samej sali w której go przyjęto, z której przed chwilą wyszedł; jeszcze w głębi na kominie ogień dogoréwał. Pod oknem, we framudze, obie «dobrodziejki» siedziały na owych krzesłach podobnych do tronów biskupich, ale jak siedziały? A mój Boże! Ludmiła oparła głowę na piersiach Elżbiety, i zanosila się od płaczu; tamta starała się ją uspokoić, jednak ciężko jej to przychodziło, bo i z jej oczów łzy perliste spadały, i u niej piersi były jak u wylęknionego ptaka. Ich rozmowa, pełna wzdychań i przytłumionych wykrzykników, co chwila, to rwała się, to wybuchała, aż oto z głębi komnaty huknęło jakieś trzaśnięcie, jakby kto nagle drzwi roztworzył, poczem rozslochane panie zerwały

się, i znikły w głębi sali, z której odtąd już tylko gwar niezrozumiały dochodził.

Pielgrzym poczekawszy jeszcze chwilę, odalił się z wielkiem podziwieniem.

— Co to wszystko znaczy? — Myślał sobie. — Czém te białogłowy mogą się tak okrutnie martwić? Bo gdyby to jeszcze pan zamku się troskał, mniejsza byłaby dziwota; on ma wiele na głowie, tu król woła, tam nieprzyjaciel grozi. Ależ one? Wszyscy myślą o ich obronie, o ich wyżywieniu, o ich zabawie. Czegóż w świecie może im brakować? Oto pewnie pan małżonek odmówił jakiego klejnotu, albo rycerz zgubił wstęgę panny, a te zaraz, jak to białogłowy, w płacz. Uważałem ja już bawiac między nimi, że nie umieją cenić darów bożych. Zadne, hojne, śliczne, to prawda — ale cóż po wszystkiém, kiedy smutne? Już mi się to zaraz niepodobało, że mnie częstowały, a same nic nie jadły; ludzie prawdziwie gościnni tak nie robią. A przytém, i słuchać nie umieją tak dobrze, jak to zwykle słuchają białogłowy. Nieraz w najciekawszych miejscach, kiedy innym ledwie oczy z głowy nie wylazły, one patrzyły w ziemię, jakby mnie tam niebyło. A przecież mi się udało kilka takich wybornych, krotochwilnych słówek! Owa stara niewiasta, i sam Kapelan, i wszyscy, aż brali się

za boki, a one? Żeby się téż choć raz jeden szczerze roześmiały! To źle. Smutek w takiej pomyślności, to grzech, to niewdzięczność względem Pana Boga: Oho! Żeby spróbowwały jeden dzień przeżyć w mojej skórze, nie brałyby do serca lada fraszki. Szczęście je popsuło, oto cała rzecz.

Tak mądrze sobie wytłumaczywszy sprawę, pielgrzym ruszył ramionami i chciał o niej zapomnieć, ale nie mógł. Już napowrót wszedł w ciemne lasy, już dzwonił do furty klasztornej, a jeszcze sobie powtarzał:

— Jak mi Bóg miły, nierozumiem czego te białogłowy płaczą?

CZEŚĆ PIERWSZA.

Kolce pod różami.

A jednak miały czego płakać.

Ach, gdyby pielgrzym był wiedział, że w chwili kiedy schodził z góry, Ludmiła przystąpiwszy do okna, wskazała go Elżbiecie i rzekła:

— Oto szczęśliwy człowiek! Idzie gdzie chce, robi co chce, a ja?

Wracający w téj chwili do zamku, pan jego, Sulisław na Żegnańcu, był to wedle współczesnych, człowiek bez zarzutu. Nie rozbijał na drogach, nie katował swoich dłużników, nie oszukiwał wierzycieli, a co dziwniejsze, nie miał wierzycieli. W czasach kiedy wszyscy ludzie rycerscy, (nie tylko u nas, ale i w Europie całej), od giermków aż do książąt, żyli bez rachuby, i tonęli w nieprzebrniętych długach, człowiek, co nie miał długów, budził powszechny podziw. Łamali sobie głowę sąsiedzi i przyjaciele, jak on robił, aby

zawsze związywać dwa końce? Bo że to umieli klerycy i kupcy, nie dziwota; ci zawsze nosili się z xięgami i pisaniami, co uczą takich mądrości, kiedy tymczasem Sulisław i czytać nie umiał?

To prawda, ale jako nieodrodny Polak, posiadał w wysokim stopniu zmysł do gospodarki, zmysł prosty, nie wyszukany, za pomocą którego rządził się trochę na oślep, a wybornie.

Miał też i drugą żyłkę co w sercu polskiem zwykle się razem z tamtą trzyma, żyłkę do wojaczki. Nikt go w bitwie nie widział zmieszany, ani ostatnim; w niebezpieczeństwo szedł także na oślep, gardząc wszelkimi sztukami i fortelami rycerskiego rzemiosła.

I wiara jego była ślepa. Nielubił słuchać dysput teologicznych, żywo zajmujących świat ówczesny; mawiał, że „to podkopuje karność“, którą nazywał „wszystkich cnót rodzicielką.“ Co wieczór, modląc się głośno, zanosił do Boga jedną tylko prośbę, ażeby mu pozwolił umrzeć nie na łóżku, nie na gnuśną chorobę, ale w szczerém polu, za kraj albo wiarę.

Miał więc pan na Żegnańcu piękne i rzadkie przymioty; było w nim przecież i niejedno «ale». I tak, owa nieszczęsna miłość karności, czyniła go w stosunkach z ludźmi twardym, a w bliższém pożyciu bardzo trudnym. Rozkazy swoich zwierzchników spełniał święcie, ale i swoje własne chciał widzieć podobnie spełnianemi; a że

sam bardzo rzadko miał pole do posłuszeństwa, (chyba tylko w obozie), od innych zaś ciągle go wymagał, lepiej zatém umiał rozkazywać niż słuchać, nie znosił ani chwili opóźnienia, ani słówka uwagi, Drżała przed nim żona, drżeli domownicy, drżeli żołnierze i włościanie. W skrytości serca, Sulisław sam się nieraz dziwował, dla czego wszyscy go się tak boją, kiedy on przecież tylko ścisłą sprawiedliwość wymierza? Zapominał, że szale sprawiedliwości są niezmiernie czułe; w jedném chyba tylko Boskiem ręką mogą zachować zupełną równowagę; w drżącym ręką ludzkim, najczęściej pokazują omylnie; to też choć mniej ścisła, przecież zawsze bezpieczniejsza jest miara miłości.

Ale Sulisław, porównywając się z wielu gorszemi od siebie, sądził, że i tak jest aż nadto łaskawym dla tego «nędznego świata», co tyle dobrodziejstw doznał od jego rodu, a tak mało umiał je ocenić. Chlubny dziadem, co z Henrykiem Sandomińskim jeździł na Krucjatę, chlubny ojcem, który mężnie walczył z Jaćwieżą i Prusakami, zamknięty w ciasnym kółku wiadomości, ograniczających się prawie wyłącznie na wspomnieniach rodzinnych, wyrobił sobie przesadzone pojęcie o znaczeniu i ważności swego domu; chyba jednym Piastom ustępował pierwszeństwa, a i to czynił z daleka. Nielubił życia dworskiego, gdzie potężniejsze rody zabierały mu pierwsze miejsce. Wolał siedzieć na swoim zamku,

gdzie nikt się nie ważył przeczyć jego wielkości, ani jej przyćmiwać.

Kiedy się ożenił z Elżbietą, zaczął nieznacznie opuszczać cugle owęj grozy, rozweselał się i łagodniał! Sam nie dostrzegał tej zmiany, i nikt nieśmiało głośno się z nią cieszyć, w obawie aby wszystkiego nie popsuć, bo czyżby nie było ujmą i obrazą, samo przypuszczenie, że on, mąż rycerski, głowa rodu, ulega wpływom czyimkolwiek, a jeszcze też niewieścim?

Jednakże ulegał. Jak się to działo? Trudno było zrozumieć, bo Elżbieta wydawała się istotą lękliwą, zahukaną, zajęta jedynie pełnieniem woli mężowskiej. Usta jej nigdy nie wymówiły słowa: «Chcę». Była w niej słodycz nie z tej ziemi, słodycz ducha czystego, co czuje się wyższy nad ludzkie gniewy i groźby. To też wkrótce otoczyła się jakąś atmosferą anielską, w której bezwiednie wszystkie serca miękły. A przytém, powoli, mąż odkrywał w niej coraz szacowniejsze zalety: rządność niewiasty Biblijnej, co domowi niemało przyczyniała dobytku i ozdoby; wykształcenie godne królowny, bo nie tylko słynęła z biegłości w najcudniejszych kobiecych robotach, ale umiała czytać z książki; kto wie nawet, czyby się i wypisać nie umiała? Nakoniec, odkrył w niej dziwną trafność sądu, nawet w sprawach obcych niewieście. Nikt się nie domyślał, że ta niema istota może mieć własne zdanie, ale zapytana, zawsze odpowiedziała jakby

król Salomon, tak, że mąż już nieraz potajemnie zasięgał jej rady, i zawsze na niej dobrze wyszedł.

Nie dziwno zatem, że coraz więcej żonie okazywał szacunku, a kiedy jeszcze Bóg zesłał im syna, dumny ojciec mało nie oszalał z radości. W tym dziecku widział przyszłe słońce swego rodu, roił dla niego jakąś bajeczną chwałę, dopatrywał w nim wszelkie doskonałości, i pod wpływem tego rozserdecznienia, zupełnie się — jak to mówią — obłąkawił.

O przywiązaniu Elżbiety do dziecięcia, trudno ludzkiemi słowy pisać. Taka dusza, kiedy na nią padnie promień miłości macierzyńskiej, rozwija się w kwiat, dla którego jeszcze nie ma nazwy. Ta Elżbieta, zwykle taka spokojna, tak ściśle mierząca wyrazy i wrażenia, w obec dziecięcia traciła miarę, traciła spokojność. I ona poddawała się marzeniom: Jaś miał być wielkim człowiekiem, Jaś miał być najpiękniejszym, najlepszym i najszcześniejszym z ludzi. Aż oto nagle, wspomniawszy na jakim świecie się urodził, truchlała, i czuła nieznane dawniej smutki, z których tylko modlitwą mogła się otrząsnąć.

I tak, w zamku Żegnanieckim dni płynęły dosyć pogodnie, aż do przyjazdu Ludmiły. Od chwili tego przyjazdu, widnokrąg się zachmurzył.

Czytelnik może sądzi, że piękność Ludmiły rzuciła w dom żarzewie wzbronionych uczuć

i zazdrości? Bynajmniej. Sulisław, do innych cnót surowych, łączył i wierność małżeńską nieposzlakowaną; nie miał oczu dla żadnej białogłowy prócz dla żony, i pod tym względem, Elżbieta mogła się mianować wyjątkowo szczęśliwą. Jednak było w losach napisano, że sierota rzuci tutaj żarzewie niezgody.

Nie próżno stryjcowie przysłali Ludmiłę do Żegnańca. Miała dwóch stryjów, podstarzałych, bezzennych bywalców, którzy na Mazowszu słynęli z odwagi i hulaszczego życia. Liczeni do najpoufalszych przyjaciół xięcia Konrada, od młodości wszystko z nim dzielili, złe i dobre; to ścinając łby pogańskim Prusakom,—to szamocąc się z innemi Piastowicami, co nie chcieli kochanego ich Konrada uznać najwyższym panem,—to uganiając się za żubrami i niedźwiedziami, w nieprzebytej puszczy Wiskickiej,—to na zamku Płockim dworując żonie Konrada, sławnej xiężnie Agazji, co była przepyszna, przynętna i okrutna, jak niegdyś imperatorowe Rzymskie.

W nieustanném oszołomieniu bitew, obław, i biesiad, życie schodziło im rześście, wesoło, bez pamięci, i byliby zupełnie z tego świata zadowoleni, gdyby nie jedna troska, co ich się z dziwnym uporem trzymała: wiecznie im brakowało pieniędzy.

Każdy wiek skarży się na zbytek i mate-

realizm, jakie w nim panują. Każdemu pokoleniu wydaje się, że ono pierwsze dopiero doświadcza pradziwych kłopotów finansowych, że dawniej obywano się niczém, a przynajmniej małém. Tymczasem, ci co dobrze wejrzeni w xięgę historii, widzą, że tło *wszystkich* jój obrazków jest malowane złotem, cieniiej albo grubiej, ale zawsze złotem. Ślicznie zdaleka wygląda cała ta rycerska poezja, zamki, szarfy, turnieje, — ale co w tych murach było zabiegów o byt codzienny, co w tych głowach pod hełmem snuło się rachunków, tego nie mówią poematy ani romanse. A jednak nie mogło być inaczej; przecież ludzie i wtedy nie żyli powietrzem ani rosą, a pyszne zamki, i klejnotami wysadzone tarcze, nie wyrastały nigdzie darmo? Wprawdzie wszystkie ceny nierównie były niższe od dzisiejszych, ale też i nierównie mniejsza ilość monety krążyła po świecie. Stosunkowo zatem, ludzie ówcześni mieli tyleż co i my wydatków, a kto wie, czy nie więcej? Im wiek wspanialszy, im teatralniejszy, tém drożej kosztuje. W takich właśnie wiekach jak dwunasty i trzynasty, kiedy oświata nagłym wystrzeżiła rozkwitem, kiedy Europa zaczęła się okrywać lasem katedr, uniwersytetów i ratuszów, kiedy mieszczaństwo rosło w pierze i szpony, ludzie poczuli mnóstwo potrzeb nowych, mnóstwo — nieznanych dawniej — żądź dobrobytu i ozdoby życia. Dla dogodzenia tym potrzebom, dla dorównania możniejszym, wielu zaczęło żyć nad stan, wie-

lu nie przebierało w środkach z bogacenia się, byle jak najszybszego. Po cóż drapieźni baronowie spadali z gór swoich, i rabowali kupców? Dla czego właśnie kupców? Chciało im się axamitów na ustrojenie żony albo córek, zamorskich korzeni do poczęstowania gości; więcej tam było chęci zysku, niżeli okrucieństwa. A po co trzymali nieprzyjacioł w kamiennych skrzyniach, i żelaznych klatkach? Rzadko który pastwił się z saméj zemsty; najczęściej chodziło im o wymożenie okupu, a bogactwo tak sobie ceniono, że więzień wolał nieraz całe lata przesiedzieć w lochu, niżeli wyrzec się majątku. Nawet i większe wypadki ówczesne, możnaby najczęściej cyframi wytłumaczyć; ileż razy Krucjata zahaczyła się o trudności piędźne! Ileż razy Genua lub Wenecja, mężniejszych współzawodników zmogła kupionem zwycięstwem! A wié Opatrzność co robi. Ta ogólna chciwość, mimo szkód chwilowych, przyniosła dla następnych pokoleń, wielkie, nieobrachowane korzyści. Wszystko stawało się towarem, prawodawstwo miękło. Kiedy pierwéj żądano «zab za zab, i oko za oko», teraz krzywdzący, mógł pokrzywdzonemu lub jego rodzinie, okupić się piędzmi i pokutą kościelną. Swobody, przywileje, wszystko można było wytargować, byle za gotówkę. Z takich targów ci-chutko wznosiły się komuny. Włości i miasta kupowały sobie wolność, od wiecznie głodnych monarchów i feudalnych panów; kupowały ją

wprawdzie za grube pieniądze, ale pieniądze raz dawano, a wolność zostawała na czas nieograniczony. Wszak i sławna «Szarta» angielska, podstawa tyłowiekowej pomyślności, została wymuszona takim targiem na przewrotnym Edwardzie, co wcale nie myślał o jakiejś chwale prawodawcy, ani o szczęściu ludów, ale z bólem serca sprzedawał narodowi jego prawa, byle ratować pustki skarbcza?

— «Łaskawa antorko, mieliśmy obiecaną powieść, a dostajemy rozprawę ekonomiczno-polityczną. Wolelibyśmy wrócić do Ludmiły...»

Takie wyrazy słyszę wychodzące, jeśli nie z ust, no, to przynajmniej z myśli czytelników. Nieprawdaż?

Macie słusność. Wracam do Ludmiły i jej stryjców, którzy zupełnie jak dzisiejsi utracjusze, całe życie gonili resztkami. Wszystko jeszcze szło nieźle dopóki żył ich brat najstarszy, ojciec Ludmiły, człowiek nadzwyczaj bogaty, a przytém taki rozumny i rządny, że mu tych bogactw ciągle przybywało. W każdej złej przygodzie, on był dla naszych szaleńców ostateczną ucieczką; wprawdzie zawsze nagadał i nałajał, ale cierpliwie słuchali, bo wiedzieli, że po nauczce, da i odczepnego. Mogli nawet przypuścić, że się w ich losach zanosi na jeszcze łatwiejszą przyszłość; ojciec Ludmiły miał kilku synów, a wszyscy kolejno w dzieciństwie pomarli, tak że nieszczę-

snemu ojcu jedna już tylko ta córka została. Stryjcowie nie byli dosyć złemi, aby wyraźnie życzyć komu śmierci, albo się cieszyć z czyjej straty, dobrze to jednak wiedzieli, i szeroko między sobą ogadali, że gdyby, -- po najdłuższem życiu — «kochany bratunio» na tamten świat ich wyprzedził, mogliby, zgodnie z prawem, jego jedynaczkę wyposażyć ruchomościami i gotówką, a sami wziąć wszystkie wsie, zamki i puścizny. Ale rachuby gorzko ich zawiodły.

Prawa spadkowe tamtych wieków, jeszcze nie były z ostateczną jasnością określone; zawierały kilka stopni rozwoju dziejowego, istniejących współcześnie, i wikłających się coraz to nowemi potrzebami czasu. W jednych rodach, trzymano się starych pojęć, i tylko po mieczu oddawano ziemię, nie bez pewnej politycznej słuszności, bo posiadanie ziemi, zobowiązywało do służenia krajowi «mieczem». Inne rodziny, postępowwsze, bardziej trzymające się sprawiedliwości Bożej niż polityki ludzkiej, przypuszczały już córki do równego działu, przelewając na zięciów obowiązki synowskie.

Tęj ostatniej drogi chwycił się ojciec Ludmiły. Tak wielu dostatków i tak skrętnie zbieranych, nie miał ochoty oddawać w ręce braci marnotrawców, a przytém, po stracie kilkorga dzieci, całą miłość, dumę i marzenia, złożył na głowie jedynaczki. Sporządził obszerny testament, gdzie za wiedzą i zgodą Xięcia Leszka Białego,

wszystkie swoje ogromne włości zapisał na ukochaną córkę, poczem zaczął dla niej upatrywać jak najchlubniejszego małżonka, co mógł czynić długo i z rozmysłem, bo Ludmiła była jeszcze dzieckiem.

Ale i tu najczulsze przewidywania omyliły. Nim oblubienica dorosła, nim nad wyborem oblubieńca rozmyślił się rodzic, śmierć przyszła po niego, i dziewczeczka bez ojca ani matki, została pod opieką stryjców, którzy sierotę umieścili u Panien Norbertanek w Witowie, a sami zajęły się gorliwie zarządem jej majątku.

Woli ojcowskiej, głośniejszej wszędzie, i przez dwór xiążęcy uznaniej, nie mogli wręcz zaprzeczyć; postanowili przynajmniej obszernie korzystać z lat opieki, i zaraz też wróciły się dla nich błogie dni obfitości. Jednak pomimo nowych dróg do bogactwa, pomimo nieprzebierania w tych drogach, jeszcze nie mogli i nie mogli oczyścić własnych rachunków. Jak wszyscy ludzie żyjący bez ładu, mieli zawsze fundusz na dzisiejsze użycie, a nigdy go nie mieli na opłacenie dawnych długów. Jeden zwłaszcza dług, doskwierał im okropnie; zaciągnęli go niegdyś u człowieka strasznego, u Zyndrama z «Czerwonej Rudy», który był rodzonym bratem Sulisława z Żegnańca, bo Sulisław miał brata, wprawdzie tak niepodobnego do siebie jak niebo do ziemi, ależ brak podobieństwa między braćmi to w dziejach nie nowina, Abel i Kain dali pierwszy przykład.

Zyndram szedł z rodu Kainitów. Nie zadowolniał się jak stryjowie Ludmiły, hulankami i popisami częściej odwagi, lubił walkę dla mordy, lubił sprawy pieniężne dla różnych przewrotności i zdradnych podchwytywań, lubił wszelkie pastwienie się, które nazywał słusznem zwycięstwem siły nad słabością, rozumu nad głupotą.

W epoce powszechnej zamieszki, nietrudno było znaleźć pole dla takich upodobań, a że swój swego i w korcu maku wyszuka, przyłączył się do szajki Bolesława Łysego, co był tyle nadokuczał ludziom, że go przezwano «Rogatym Djabłem», czyli w skróceniu «Rogatką». Trudno doprawdy zrozumieć, zkaąd się w nim tyle złości wzięło, bo przecież był synem tego Henryka Szlązkiego, co zasłużył na czcigodny przydomek «Piusa», a co więcej, był wnukiem, rodzonym wnukiem tej Xiężny Jadwigi, która wówczas jeszcze świeciła wśród żyjących, a wkrótce miała być policzona w poczet Świętych Patronów kraju. Potwornie się on od nich odrodził, i dokazał prawdziwej sztuki, gdy w epoce, która tylu złych xiąząt zaznała, potrafił zasłynąć jako jeden z najgorszych. Ale w chwili tej opowieści, nie miał jeszcze tak osławionego imienia, bo jeszcze był bardzo młody, i rozpoczynał dopiero swój zawód od różnych pomniejszych, rabusiowych wypraw, gdzie Zyndram, z wielu innemi, pomagał mu całą duszą.

Zyndram także liczył się do młodych. Już

był jednak wdowcem, a o tém wdowieństwie różne wieści krążyły. Mówiono, że lochy jego zamku nie opróżniały się od więźniów, że sam pan nieraz lubił się bawić w kata, że śmierć jego żony nie była przypadkową..... Mówiono, że ten zamek, to jaskinia swawoli, gdzie odbywają się Sabbaty godne Łysiej góry. Niektórzy twierdzili nawet, jakoby duszę zaprzedał Belzebubowi, który mu za to znosił kupy złota, bo jakżeż było inaczej wytłumaczyć, zkąd człowiek, co nie gospodarował, co xięciu jeszcze niepanującym służył, rokrocznie przecież nowe wsie do dawnych przyłączał, i do sklepionego skarbczyka coraz to nowe skrzynie zwoził? Wprawdzie drudzy tłumaczyli to inaczej, bardziej po ludzku: szeptali, że pan Zyndram bawi się rozmaitą lichwą, że wsie i skrzynie bierze w zastaw od ludzi, co nigdy już potem nie mogą z nim dojść do ładu,— nikt nie był pewien co się w tém życiu kryło, to tylko było niezawodne, że w nieszczęśliwej godzinie stryjowie Ludmiły, przy jakiejś wspólnej uczcie, uprosili milczącego Zyndrama o pożyczanie ośmiuset grzywien, które nie wiedzieć kiedy w ich rękę stopniały. Teraz upominał się bez przestanku. Dziwnie był ten człowiek nieużytym; każdy inny przecież dawał się jakoś zmiękczyć podarkami, i uściskami skłonić do czekania; on jeden nie chciał czekać, nastawał i groził, a groźby Zyndrama, to nie były żarty.

Aż pewnego wieczoru, znów przy wspólnej

uczcie, słysząc o wielkiej urodzie Ludmiły, i jeszcze większych jej majątnościach, Zyndram rozsznurował usta.

— Dajcie mi — rzekł — waszą synowicę za żonę, a ja pokażę się miłosiernym, wasz dług w jej posagu przyjmę, i tak już nic sobie nie będziemy winni.

Mądrze wymyślił chytry Zyndram; najprzód mądrze dla siebie, bo posag Ludmiły wielokrotnie przenosił setną wartość owego długu, a mądrze i dla stryjców, którym też jego pomysł niezmiernie się uśmiechnął. Dobrze oni wiedzieli, że i tak ich opieka niedługo się skończy, że dorastająca synowica, trochę prędzej lub później, całe swoje mienie w obcy ród przeniesie, i to bez żadnej dla stryjów korzyści; ten układ przynajmniej zakończył ich największy kłopot. Przystali, ledwie mogąc utaić radość tryskającą im z oczu, wytargowali sobie jeszcze nawet jakąś drobną dopłatę za trudy opieki; Zyndram, zapalony opisem wdzięków i bogactw dziedziczki, okazał się niezwykle łutwym. Podano sobie ręce, stwierdzono kilkokrotnie obietnice, i tak w pośród orgji, między dwiema czasami, został rozstrzygniętym los pięknej sieroty.

W każdym innym razie, stryjowie byliby jak najdłużej odkładali zamężcie Ludmiły, teraz, napiérani przez niecierpliwego Zyndrama, postanowili co prędzej odebrać ją z klasztoru. Zachodziło tylko pytanie, gdzie ją tymczasowo umie-

ścić, i z wszelką przyzwoitością przeprowadzić swaty? Młodszy stryj miał ochotę zawieźć ją na dwór Xiężny Agazji; niema wątpliwości, że raz tam wpadłszy, sierota byłaby zgubiona. Szczęściem, starszy stryjec, który jeszcze trochę miał Boga w sercu, zadrzał na myśl, aby gołąbkę wepchnąć w gniazdo węzowe, i zapytał, czyby nie było najstosowniej, a razem i najzręczniej, oddać ją pod opiekę brata Zyndramowego, Sulisława, i jego przezacnej małżonki? Dom był szanowany, Zyndram u brata mógł bez przeszkody widywać swoją przyszłą, i wszystko by się tam złożyło gładko, niby samo z siebie.

Najniespodzianie, stryjcowie pojawili się w Witowskim klasztorze, zabrali zdumioną Ludmiłę, i z licznym, prawdziwie pańskim orszakiem, zawieźli ją do Żegnańca. Tam, po kilku dniach wesołej gościny, pewnego poranku, zamknąwszy się na osobności z panem domu, oświadczyli uroczyście, jako Zyndram prosił o rękę ich synowicy, jako oni, stryjowie i opiekunowie, zgodzili się na ten związek, a teraz już tylko przychodzą prosić o zezwolenie Sulisława, który będąc starszym bratem oblubieńca, ma przeważne prawo do głosu. Słowem, pięknie i wiernie opowiedzieli wszystko, wyjąwszy tylko jeden jedyny szczegół o swoim długi.

Sulisław mile przyjął tę wiadomość; nie wahając się, dał swoje braterskie przyzwolenie. W głębi duszy radował go niesłychanie ten układ,

co spokrewnieniem z chlubnymi imionami, i wniesieniem ogromnych bogactw, pomnażał świetność rodu, i zarazem zapewniał szczęście brata. Nie zastanowił się czy brat godzien takiego szczęścia? Ale jak mu się tu dziwić? Zabłyśnięcie niespodzianej pomyślności, przygłusza zwykle w człowieku skrupuły, coby mogły mu tę pomyślność popsuć. Trzeba też dodać na usprawiedliwienie Sulisława, że nie miał jasnego pojęcia, o zasadach ani postępkach brata: Zyndram od pierwszej młodości rozpocząwszy zbrojną włóczęgę, dawno zszedł mu z oczu, teraz osiadł gdzieś aż w Wielkopolsce. i przez całe lata nie zgłaszał się do nikogo z bliskich. Sulisław zagospodarowany w swoim Żegnańcu, nie wiele co wiedział o bożym świecie, a jeśli czasem w obozie, lub od kogo z przejezdnych, posłyszał o bracie jaką wieść niepochlebnią, brał ją za potwarz, i kładł na karb zawiści, jaką według niego, inne możliwe domy pały do ich rodu. A przytém, uczciwemu człowiekowi tak trudno we złe uwierzyć, jeśli nie ma dowodów jasnych jak na dłoni! Sulisław miał sobie za obowiązek rodzinny, a więc święty, bronić brata przeciwko wszystkim, i pomimo wszystkiego. Z początku czynił to dość ostrożnie, z ubolewaniem i zastrzeżeniami, ale im dalej, tém więcej nabierał odwagi; póty drugich przekonywał, aż w końcu przekonał i samego siebie. Dzisiejszy wypadek utwierdził go jeszcze w szacunku dla brata; ofiarowanie tak świetnego zwią-

ku, wydało mu się jednym więcej dowodem, jak ludzie wysoko cenili Zyndrama.

Gładko więc i bezsprzecznie sprawa się załatwiła w areopagu męzkim. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby się pytać o zdanie samej Ludmiły. Możnaż było zresztą wątpić o tém zdaniu? Czyżby jedna dziewczka śmiała stawić czoło tylu mężom? Prawie wszystkie stadła kojarzyły się wtedy, za pomocą takich rodzinnych umów, i zaocznych swatań. I nietylko wtedy, ale przez wiele następnych stuleci, działo się podobnie.

Jednak, są we wszystkiem wyjątki.

Wyjątkowym był charakter Ludmiły, wyjątkowem jej położenie. Ojciec jej, straciwszy kilku chłopców, marzył ciągle o tém co utracił, i wymarzył sobie, aby synowie niejako mu odżyli w córce; ledwo umiała dosiąść konia, już brał ją z sobą na łowy, uczył ją gonić do pierścienia, kazał maleńki łuk naciągać; lubił jej białe czoło przystrajać męzkim kołpaczkiem, lubił ją widzieć harującą w pośród sokolników, i nieraz patrząc zdaleka, łudził się myślą, że odzyskał syna.

Wspaniale téż dziewczątko odpowiadało marzeniom ojcowskim. W kolébce jeszcze utraciłszy matkę, pod wyłącznym kierunkiem rycerskiego rodzica, Ludmiła rozwijała się szybko, w czerstwe siły i dzielność ducha.

Podobny duch nie był zupełnie obcy kobie-

tom owego czasu. Wojny Krzyżowe i w nich rozbudziły bohaterskie myśli. Klorynda Tassa nie jest czczym utworem wyobraźni. Sławna rycerka Małgorzata, długo kierowała obroną Jerozolimy przeciw Saladynowi, a gdy wróciła do Europy, odwiozła z sobą tylko swój hełm, procę i psalterz. Piękna Floryna, córka xięcia Burgundzkiego, zginęła na polu chwały w Palestynie, walcząc przy swoim narzeczonym Swenonie, królewiczu Duńskim.

Ludmiła kilkokrotnie zasłyszała o tych rycerkach krzyża, i zazdrościła im serdecznie. Przyjaciele ojca podniecali jeszcze jęj zapał, wróżąc, że kiedyś będzie podobna do królowej Wandy, albo do Biało-kniehiny, tęg potęgnej siostry Chrobrego, co słyneła wojennemi dziwy, i jakiegoś ogromnego rycerza, własną białą ręką zabiła.

Nasza bohaterka wprawdzie nie miała ochoty nikogo zabijać. Zabawy z łukiem i sokołami, były dla nięj tylko zabawką, nie zdołały w nięj przygłuszyć prawdziwych popędów niewieściego serca. Dla ojca była uległa jak baranek, dla wszystkich uprzejma i pełna dziecięcych przymileń, a przytęm pusta i wesoła jak ptaszek. Zachowała nawet i niektóre inne cechy, aż nadto swojej płci właściwe, kochała się w stroju, przepadała za tańcem.

Nie brakło jęj tęg rozrywek, a nawet i nadskakiwań; kilka rodzin obdarzonych synami, już zwróciło na nią baczne oko; niejednen próbował

już zawczasu, skarbić sobie łaski rodzica i przyszłej dziedziczki. Ludmiła jeszcze nie dorosła, a już zamek ojcowski był pełen ruchu, muzyki i gości. W dzień, polowania, — wieczór płasy. I tak życie uśmiechało się do cudnej panienci, która także uśmiechała się do życia, całym rozkwitem koralowych ustek.

Ach, jakże okropnie świat zmienił się dla niej z godziną śmierci ojcowskiej! Jakże grobowym ję się wydał, w murach Witowskiego klasztoru!

Osoba znużona już tem życiem, albo wyłącznie myśląca o przyszlém, byłaby tam znalazła wiele słodyczy i duchowych korzyści, bo zgromadzenia Norbertanek, zawierały zazwyczaj doborowe, a nawet światłe grono. Córki znakomych rodzin, xiężne z panujących domów, garnęły się do tej reguły, której surowość nietylko nie odstręczała, ale owszem nęciła dusze, chciwe szybkiego rozwinięcia się w życiu wewnętrzném.

I Ludmiła, porażona świeżą stratą, z początku znalazła to miejsce stosowném dla swojej boleści. Ta cisza, to namaszczenie, zgadzały się z jej żalobą. Nowe dla niej, czysto niewieście zatrudnienia, umniejszały nieco ciężar czasu. Jednak niemogła do nich nawyknać. Roboty ko-

bięce szły opornie, książka jeszcze oporniej; zacne mniszki nigdy nie potrafiły całego abecadła umieścić w jej głowie. A kiedy wyszła z pierwszjej osłupiałości, kiedy jeden rok i drugi minął głucho, nie przynosząc ulgi ani zmiany, uczuła niepokój w głębi piersi, jakby trzepotanie skrzydeł źle związanych. Zaczęły ją brać niezmierne tęsknoty do szumiących lasów, do szalonego pędu konia, do wolnego powietrza, do przeszłości i do przyszłości. Mimo zastraszających przestróg swoich wychowawczyń, była ciekawa życia, jego uciech i niebezpieczeństw, nawet jego cierpień.

To też odetchnęła radośnie, gdy ją przewieziono do Żegnańca, I tam jednak czekało ją rozczarowanie; Sulisław, już uwiadomiony że jest Zyndramowi obiecaną, nie miał ochoty pokazywać jej świata; życie więc w zamku niewiele różniło się od klasztornego.

Ale znalazła tam niespodzianą i nieznaną sobie pociechę; przylgnęła całą duszą do Elżbiety. Między zakonnicami Witowskiemi wiele było zacnych i rozumnych, żadna przecież nie natchnęła jej tyle czci, a razem i tyle zaufania, co ta dziwnie urocza pani, łącząca świątobliwość mniszki, z uczuciami ludzkiemi, i wyrozumiałością anioła.

W towarzystwie Elżbiety, Ludmiła odkwitła na nowo. Podzielając wszystkie jej zajęcia, przywiązała się do ślicznego Jasia, zwróciła uwagę na biednych i nieszczęśliwych, którzy da-

wniej dla jej roztargnionych oczów jakoby nie istnieli, a nakoniec, o dziwo! czego zakonnice nie mogły przez lata całe dokazać, tego dokazał od razu wpływ Elżbiety: po kilku miesiącach, Ludmiła gładko czytała w xiędze o złocistych klamrach.

Błogo teraz dni przepędzały, zawsze razem, zawsze uśmiechnięte, pieszcząc i strojąc złotowłosą dziecinę, wczytując się w Żywoty Świętych, zamieniając zwierzenia czyste jakby iza.

Naraz ruch niezwykle powstał w zamku. Sulisław kazał czynić wielkie przygotowania, na przybycie dawno niewidzianego brata. Zjawił się Zyndram, w licznym poczcie, z brzękadłami u koni, w stroju wyzłoconym, co przecież nie potrafiło go wielce upiększyć, bo Zyndram był szpetny, nie tyle szpetnością kształtów, ile skłonnościami duszy, które przebijały się i na twarzy, przez fałszywe oczy i rysy spiczaste, podobne do głowy drapieżnego ptaka.

Po wieczerzy, przy której gość małomowny, kłopotał Ludmiłę natarczywością swoich roziskrzonych spojrzeń, obaj bracia pozostawszy sami, siedli przed kominem, i dopijając resztę dzbana, weszli w poufną pogawędkę.

Sulisław, z nieśmiałością, z rozlicznemi osłodzeniami, powtórzył bratu przykre wieści jakie o nim krążą, zaklinał go, aby się już raz

ustatkował, aby zazdrośnikom nie dawał broni w rękę, bo sławnym rodom nigdy zazdrosnych nie braknie.

Zyndram poczerwieniał ceglanym rumieńcem, i chociaż nauka pochodziła od starszego brata, przyjął ją z najwyższém oburzeniem.

Sulisławowi podobało się takie oburzenie, wziął je za wykrzyk niewinności fałszywie oskarżonej. Trudno bo téż i rozróżnić prawdziwą niewinność od udanej; sędziowie wszystkich wieków, łamali sobie głowę nad wynalezieniem probierzy na tę wątpliwość, i wszystkie znaleźli mniej więcej omylnemi.

Skończyło się jak zwykle, na braterskich przeprosinach ze strony Sulisława, po czém dopiero, nieco ułagodzony Zyndram, przystąpił do głównego przedmiotu swoich odwiedzin.

Ludmiła odpowiedziała jego oczekiwaniom,— jest nawet jeszcze piękniejsza niż mówiono. A więc, kiedy dziewczyna mu się podoba, a starszy brat przystaje, rzecz osądzona i skończona. — Teraz jeszcze odjedzie, aby dom urządzić na przyjęcie żony, i zakończyć rachunki z jój stryjami, a potem wróci już prosto na wesele. Wspomniał téż i o długu darowanym, ale tylko mimochodem, jakby o dobrym uczynku, z którym nie lubił się chwalić.

Sulisław ucieszony i uspokojony, osądził, że już teraz może i Ludmiłę uwiadomić o jój przyszłym losie. Nazajutrz po śniadaniu, gdy Zyn-

dram wyszedł do koni i psiarni, gospodarz pozostał sam przy paniach. Dawno nie widziano go już tak rozmarszczonym; przez kilka chwil stroił żarciki, prześladował panienkę swadziebnymi przymówkami, nakoniec wstał, uklonił się z rycerską powagą, i oświadczył, «że to wcale nie są żarty, albowiem opiekunowie Ludmiły wybrali jęj Zyndrama za małżonka, z którego to związku, on, jako brat i przyszyły szwagier, wielce się cieszy i chlubi.»

Poczem raz jeszcze złożył ukłon, i zwrócił się ku wyjściu, nie oczekując żadnej odpowiedzi oprócz milczącego uśmiechu.

Tymczasem znalazła się odpowiedź.

Ludmiła stanęła w płomieniach, zerwała się wyprostowana jak cięciwa, i odrzekła z gorączkowem drżeniem w głosie:

— To nie może być—to nie będzie—ja nie mogę... ja nie chcę być żoną takiego człowieka...

Tu zastanowiła się i zalęknęła, a widząc przepaść w jaką leci, wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Piorun upadający u stóp Sulisława, nie byłby go tyle zadziwił, ile ta odpowiedź.

Zbladł i wyjąkał niewyraźnym głosem:

— A! Panna nie chcesz naszego rodzinnego?...

Co rzekłszy, spojrział na żonę, a żona struchlała, bo zobaczyła że został zraniony w swojej dumie rodowej, najczulszej strunie swojej du-

szy, jedynéj, którój nie można było bezkarnie zadrasnać.

Przystąpił do żony.

— Co to znaczy? — Zapytał. — Dziewczyna oszalała. Doprowadź-że ją do upamiętania, inaczej ciężko odpowiesz przed Bogiem — i przed mężem. Ja takich słów bratu nie powtórzę -- nadto i mnie i jemu ubliżają—a przytém, i z miłosierdzia nie powtórzę --- srogo by je mogła w przyszłości opłacić.

I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, że aż pu-hary na półkach zadzwoniły.

Elżbieta przystąpiła do płaczącéj, zapytując łaskawie, ale z głębokiém także podziwieniem, o przyczynę tak niesłychanego postępku? Ludmiła padła jéj do kolan, głowę oparła na jéj łonie, i zwierzyła się ze wszystkiém co wiedziała o Zyndramie, a wiedziała strasznych rzeczy wiele, może więcej niż było prawdą.

Szczęście czy nieszczęście mieć chciało, że między mniszkami Witowskiemi, znajdowała się rodzona siostra pierwszój żony Zyndrama, owéj ofiary, o którój zgonie krążyły wieści tajemnicze. Norbertanka twierdziła stanowczo, że jéj siostra zginęła śmiercią gwałtowną, i to z własnych rąk swego męża. Twierdzenie takie w owych czasach łatwo znajdowało wiarę; zapewne, i wtedy było wielu małżonków uczciwych, szlachetnych, wielu takich coby i dzisiejszym za wzór mogli

służyć, ale bywali też i tacy, o jakich dziś już nie słychać w oświeconej warstwie narodu. Samowola społeczna, rozpasanie wszelkich walk i chuci, wyradzały częstokroć osobistości potworne, których szal objawiał się nietylko w bójkach politycznych, ale i tragedjach domowych. Wszak od owego Bolesława Rogatki, któremu to Zyndram służył, żona, chociaż więźniczka, «piechota» uciekła? Wszak niedługo miała się zjawić w dziejach, owa nieszczęsna Ludgarda, którą spotkał los podobny do krwawej powieści o żonie Zyndrama? Wierzono więc w Witowie zwierzeniom Norbertanki, a ta, pod wpływem rozżalenia, na obrazie mordercy nagromadzała wszelkie rysy istnego szatana. Według jej zeznań, szeptano sobie o bajecznych katowniach, o czarach i sabbatach w zamku. Wieści te były podawane półgłosem, pod pieczęcią wielkiej tajemnicy, więc tém chciwiej rozchwytywane przez młodsze mniszki i wychowanki. Postać Zyndrama urosła w klasztorze do legendowej grozy, i Ludmiła wychowała się w postrachu tego imienia.

Kiedy jej w Żegnańcu powiedziano, że Zyndram jest bratem Sulisława, przelękała się i zasmuciła szczerze; jednak przez uszanowanie dla gospodarstwa domu, smutek ten w sobie zamknęła, i jeszcze o niczym nie wspomniała.

Ale teraz, kiedy tego zabójcę, tego potępieńca, który duszę piekła zaprzedał, chciano jej

przeznaczyć za męża, a! teraz już nie mogła milczeć.

Elżbieta wysłuchawszy jęć długich opowiadań, uśmiechnęła się niedowierzająco. Dotąd, nie znała prawie przeszłości Zyndrama; w zamku Żegnanieckim nikt nieśmiał mówić o nim prawdy, zapewniła więc Ludmiłę, że wieści muszą być fałszywe, łagodnie ją upomniała za uniesienie, wielce niestosowne w obec mężczyzny, i to poważnego, radziła jęć pokorę, cierpliwość, pocieszała jak mogła, jednak straszne zwierzenia dziewczęćcia, zostawiły w jęć umyśle zasiew niepokoju.

Sulisław dotrzymał obietnicy, nie natracił ani słówka bratu, który też przebawiwszy i przepolowawszy tam kilka tygodni, odjechał, najspokojniejszy o serce i posag nadobnej dziedziczki.

Ludmiła w dziecinnem niedoświadczeniu, odetchnęła po tym wyjeździe, jakby po wygranej. Zdawało się jęć, że byle zyskać na czasie, a wszystko samo się odmieni; przyjadą nowe swaty, pan domu się rozmyśli, słowem, zajdzie jakiś cudowny wypadek, co ją wyzwoli bez jęć czynnego współdziałania.

I rzeczywiście zaczęli się zjeżdżać nowi zalotnicy, ale cóż? Pan domu przyjmował ich tak zimno, Ludmiłę tak wyraźnie usuwał im z przed oczu, że smutni albo gniewni, odjeżdżali i żaden więcej nie powracał. Może nawet Sulisław mi

nie tań, że już ręka sieroty jest obiecana jego bratu? W każdym razie, wcale nie wyglądał na człowieka co się rozmyśla albo mięknie, owszem, codzień stawał się posepniejszy. Do Ludmiły już nic a nic nie mówił, udawał, że jej nie widzi ani słyszy. Z Elżbietą był także milczący i zniecierpliwiony; ciągle czekał na spełnienie dzieła jakie jej powierzył, czekał na chwilę, w której żona przyniesie mu pokorne przeprosiny dziewczynki, albo mu ją przyprowadzi skruszoną, dziękującą,—tymczasem, o dziwy, niemógł się tej chwili doczekać.

Elżbieta z początku namawiała Ludmiłę do uległości, do ustąpienia starszym; codzień jednak jej namowy stawały się słabszemi; zapadając w częste zadumy i roztargnienia, coraz widoczniej się wahała.

Położenie dla wszystkich było przykre, ale dla niej może najprzykrzejsze; postawiona między popędliwym Sulisławem a niemniej żywą Ludmiłą, drżała za każdym ich słowem, żyła w nieustanném łagodzeniu stron obu. Tymczasem obie strony zacięły się w oporze, i dobrze widziała, że prędzej czy później, musi przyjść do stanowczego starcia. W cóż się obróciło jej szczęście domowe, tak pracowicie budowane? Przez lata całe, kamyk po kamyku doń znosiła, zdawało się już niewzruszone, a teraz, dość było jednej chwili, ażeby w obcém ręku prysnęło! Swoboda i zau-

fanie odeszły od jej ogniska, — mąż wrócił do dawnej grozy, — już nawet synka rzadko brał na kolana.

Nieszczęsna sierota dobrze czuła, że to jej obecność jest w tym domu kością niezgody. Czuła to, i cierpiała niewymownie. Ona, która tylko marzyła jakimby sposobem odsłużyć się pani Elżbiecie za jej dobroć, ona-ż to właśnie musiała zatruwać jej życie? Ale któż tu był winien? Wszak nie prosiła aby ją przywożono do Żegnańca? Miałaż dla spokoju obcej sobie rodziny, rzucić się na oślep w nieszczęście, i zamknąć przed sobą całą przyszłość?

Gdyby jeszcze rozkaz wychodził z ust ojca albo matki, o! wtedy Ludmiła, mimo całego wstrętu, byłaby niezawodnie uległa, nawet bez szemrania. Ale rozkaz wychodził od stryjców, i to jakich? Od ludzi, których już z dzieciństwa mało sobie ważyła. Ojciec nieraz przy niej utyskiwał nad ich marnotrawstwem i lekkomyślnością. Nieraz także mawiał: «Dziwkę moją chowam jak syna; to też kiedy wyrośnie, sama sobie wybierze najdzielniejszego rycerza za męża». — I dziewczka rosła w przekonaniu, że «sama wybierze.» — Wiedziała też troszkę że jest piękna, wiedziała że bogata, sądziła że będzie mogła nie tylko wybierać, ale i przebiierać. Aż tu nagle, bez pytania, każą jej ślubować jakiemuś potworowi złości i brzydoty!

Złość odstraszała najwięcej; przecież, jeżeli

mamy szczerze mówić, w oczach pół-dziecinnéj Ludmiły, i to Zyndramowi niemało szkodziło, że był brzydki.

Może jednak pod naciskiem długiego przymusu, pod wrażeniem zwłaszcza cierpień zacnej Elżbiety, biedna panienka byłaby w końcu i uległa, gdyby nie okoliczność nikomu nieznana, jęj saméj prawie jeszcze niewiadoma, która ją utrzymała w niepokonanym oporze: maleńkie uczucie już kielkowało w jęj sercu.

Bo i ówczesne kobiety miały serce. Pamiętajmy, że już przed stu laty, Europa zatrzęsła się od rozdzierającego dramatu Heloizy. Nie chcemy twierdzić bynajmniej, aby nasze niewinne surowo chowane Polki, zakrawały ua Heloizy,—nie, broń Boże!—jednak i te niewinne serca, mogły miéwać złote marzenia. Średnie wieki nie byłyby się stały wiekami rycerstwa, miłości i poezji, gdyby kobiety ówczesne nie nosiły w duszy ideałów.

Ten wyraz «ideał» jeszcze nie istniał, ale rzecz sama istniała od niepamiętnych czasów, od chwili kiedy człowiek zaczął wierzyć i kochać. Niegdyś, tak jak i teraz, ideał pozostawał najczęściej widmem podobłoczném i niedościgłém, życie rzeczywiste najczęściej się z nim rozmijało, a jednakże tak wtedy jak i dzisiaj, dusze młode za nim goniły, i w jego widoku czerpały siłę do znożenia twardej rzeczywistości.

Nasza sierota, w głębi duszy także nosiła idealik.

Xieni Witowskiego klasztoru miała siostrzeńca, młodziana w dwudziestu kilku latach; nazywał się Michał Przedwojowic. Wedle dosłownego wyrażenia Kroniki, był to «młodzieniec osobliwszy», i musiał być na prawdę «osobliwszym», kiedy wspominają o nim kronikarze, tak zwykle skąpi we wszelkie wiadomości o ludziach co nie wyszli z panujących domów.

Istotnie, Michał choć tak młody, już dosłużył się rycerskich ostróg, już nadokazywał cudów męstwa przeciw Jaźwingom i Litwinom. Od wodzów ceniony, przez młodzież obwołany królem Turniejów i biesiad, szczycił się także wysoką łaską dam. Bo też dość było aby się pokazał, już samą swoją postacią podbijał życzliwość. Wysoki, wcięty w pasie a silny w ramionach, z głową opromienioną słonecznym, pierścienistym włosiem, z ogniem i tęsknotą w szafirowych oczach, wyglądał jakby archanioł.

A zdaje się, że i dusza nie kłamała postaci. Nigdy nie słyszano, aby splamił się jakimkolwiek czynem lub słowem nieszlachetnym. Szczególniejsze miał też nabożeństwo do Przenajświętszej Pani, i w ten sam dzień, kiedy przypięto mu złote ostrogi, wpisał się uroczyście do Różańca.

Łatwo sobie wystawić, jak cała jego rodzina chlubiła się takim Benjaminem. Ciotka Norbertanka zwłaszcza miłowała go niesłychanie za obyczajność i Różaniec, roiła dla niego świetne

jakie związki. Wdzięczny siostrzanek, od czasu do czasu odwiedzał najłaskawszą ciocię, i przy tój-to sposobności, Ludmiła go kilka razy dostrzegła; wprawdzie tylko przez kratę, i tylko przez chwilę; nie zamieniła z nim ani jednego słowa, nie wiedziała nawet czy ją zauważył pomiędzy białą ciżbą mniszek? Nie snuła też w sercu żadnych wyraźnych zamiarów na przyszłość, ale dowiedziała się, że istnieją ludzie podobni do archaniołów, i ta świadomość czyniła ją wybrędną względem reszty ludzi.

Co tu jednak przedsięwziąć?

Prosić panią Elżbietę o czynną obronę?

Ani sposób. Nie godzi się narażać jój na otwartą walkę z mężem i rodziną mężowską.

Udać się do króla?

Tak, to byłby krok najstosowniejszy. Przecież król jest z prawa najwyższym opiekunem wdów i sierot? Zobowiązany do bronienia ich w takiej właśnie okoliczności jak obecna? Król może jój naznaczyć innych opiekunów, może wybrać dla niój innego małżonka.

Może,—ale czy zechce? Czy opór jój uzna za słuszny? Gdyby żył Xiążę Leszek Biały, co na jój ojca był tak łaskaw, co potwierdzał testament, a! wtedy możnaby rachować na poparcie. Ale teraz, już panuje syn jego, wszystko na Dworze nowe, obce. Zresztą, jak do króla

trafić, jak się do niego dostać? Sulisław pewno niepuściłby Ludmiły. Zamek Żegnaniecki, z gościnnego przytułku, stawał się dla niej prawdziwym więzieniem.

Miotana niepewnością, z dnia na dzień odkładała wszystko. Bieg wypadków przeciął jej wahanie.

Zyndram przyjechał po raz wtóry, tą razą jeszcze z większym trzaskiem, z sutemi darami dla swojej przyszłej. Dumna dziewa prawie nie pojrzała na dary, a na dawcę ledwo przez ramię patrzyła. Niechęć ta była tak widoczną, że oblubieniec, mimo wysokiiej zarozumiałości, nie mógł jej przeoczyć. Zdumiony, zwrócił pytania do brata, który chcąc nie chcąc, musiał go nakoniec uwiadomić o złej woli dziewczęcia. Czynił to nieśmiało, przekonany że Zyndram nie będzie się posiadał z gniewu, tymczasem ten, uśmiechnął się swoim niedobrym uśmiechem, i odpowiedział:

— To jeszcze lepiej. Kot lubi długo się bawić z myszką, zanim ją ułowi. Uciec mi przecież nie ucieknie?

Tymczasem Ludmiła właśnie przemyśliwała nad ucieczką. Nietylko przemyśliwała, ale nieodwołalnie ją postanowiła. Z wrodzoną sobie

przedsiębiorczością, wszystko uknuła w ślicznej główce, nikomu się nie zwierając, nawet pani Elżbiecie. Ach, Elżbiecie mniej niż komukolwiek! Byłoby szlachetnie żądać od niej współnictwa? A gdyby też zaczęła odradzać?

Panowie prawie codzień polowali. Ludmiła nigdy nie chciała należeć do żadnej z tych wypraw. Przecież, pewnego wieczoru, po długich naleganiach Zyndrama, dała się namówić na podzielenie zabawy myśliwsk'ej, tak sobie niegdyś ulubionej. Ułożono wielką obławę na dzień następny.

Całą noc nie zmrużyła oka; nazajutrz miała wykonać swój zamiar, ułatwiony zwykłym zamieszaniem łowów. Ze starym sługą ojcowskim, Rafałem, który za nią przybył do Żegnańca, chciała nieznacznie wymknąć się manowcami, i uciekać, uciekać, aż dopóki-by nie stanęła w Krakowie, przed królem, Przedsięwzięcie śmiałe, to prawda, ale według opowiadań jakie słyszała od nianiek i podróżnych, niejednej królownie i śmielsze się udawały.

Zaświtał nakoniec dzień czekany, ten sam, w którym pielgrzym szedł brzegiem Iłżanki.

Elżbieta, nigdy nie dzieląca krwawych zabaw, pozostała przy synku i gospodarstwie. Ludmiła siadła na koń, gorączkowo rozweselona.

Początki łowów poszły rażno; Sulisław cieszył się że dziewczyna wychodzi ze swojej dzikości; Zyndram jakoś dziwnie się uśmiechał.

Około południa, kiedy zapał myśliwych dosięgnął najwyższego stopnia, kiedy wszyscy porozbiegali się i potracili z oczu, Ludmiła skinęła na starego sługę.

— Jedź za mną ciągle...—Rzekła, i nie tłumacząc się więcej, puściła konia w cwał. Przyzwyczajona od dzieciństwa do harcowania w puśczech, zręcznie umiała się kierować; a dziś już nawet nie chodziło jej o żaden wytknięty kierunek; chciała odbiedz tylko jak najdalej od zamku, i gdzieś dopiero w ukryciu, wypytać się o drogę do stolicy.

Popędzała konia jak mogła najostrzej, ale gałęzie i pniaki utrudniały drogę po zakrętach leśnych, a wierzchowiec, wuczony do łagodnej, damskiej jazdy, przy całej swojej piękności, niewiele sił posiadał; uciekająca czuła z przestachem, że jego szybkość nie odpowiada jej woli. Stary sługa nie mógł pojąć, czemu jego pani oddała się od widowni łowów? Kilka razy ją nawoływał, ale zawsze napróżno. Zdziwienie jego urosło, kiedy już wyjechali z lasu, kiedy ciche łąki roztoczyły się przed niemi, a pani ciągle biegła, coraz nawet prędzej, bo teraz już na wolnej przestrzeni, mogła rozpędzić się co koń wyskoczy. Dobrze ona słyszała nawoływania sługi, ale postanowiła nie odpowiadać, nie sta-

wać, nawet się nie obejrzyć, dopóki nie dopadnie drugiej puszczy, co daleko majaczyła przed niemi niebieskawą pręgą.

Już ubiegła kawał pola, — już zaczyna odychać. Przedwczesna radość! Nie wiedziała, że był bieglejszy od niej myśliwiec.

Zyndram uderzony jęj chorobliwą wesołością, zaczął podejrzewać tę nagłą przemianę. Od rana ją śledził; trzymał się w oddali, niewidzialny, ale nie spuszczał jęj z oka. Kiedy nakoniec dostrzegł, że łowczyni obiera kierunek wręcz przeciwny prądowi łowów, zrozumiał, — skinął na brata.

— Ludmiła chce uciec, — rzekł do niego — tylko patrz.

Mieli mocniejsze konie, mogli ją zaraz dogonić, jednak Sulisław nie chciał tego czynić.

— E, nie, — powtarzał, — musiała zabłądzić, — spostrzeże się i wróci.

Ale kiedy lasy się skończyły, a jadąca pierchała ciągle, zdjął go gniew niewymowny.

Co to znaczy? Ludmiła słyszy za sobą coraz huczniejszy tętent. Nie śmie się obejrzyć, ale słyszy, — to już nie jeden koń Rafała, to dwa konie, trzy konie.

Pył się w koło nięj zakłębił, dopadli ją dwaj mężowie.

Sulisław chwycił za cugle.

— Gdzie to, gdzie? — Krzyknął. — Panna

uciekaś od nas? A, to pięknie. Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu.

Zyndram swoją żelazną prawicą uchwycił jej rękę, ścisnął tak okrutnie że ból ją przeniknął aż do kości, i wycodził przez zaciśnięte zęby:

-- Wszystko to kiedyś będzie odpłacone.

Ludmiła miała dosyć odwagi na wykonanie zamiaru, ale na jego spełnienie nie była przygotowaną. Zmieszała się--niemogła znaleźć słowa. Jej kłopot i gwałtowny rumieniec, stwierdziły domysł mężów, a chociaż później starała się wszystko w żart obrócić, zawrócili jej konia, i wieźli ją między sobą w milczeniu złowróżebnym.

Wkrótce spotkali oddział strzelców, którym Sulisław powierzył Ludmiłę, mówiąc:

— Odprowadźcie pannę do zamku, bo zmęczona.

A Rupertowi szepnął:

— Nie spuszczaaj z oka tej dziewczki, odpowiesz mi za nią.

Co też Rupert ściśle wykonał.

Okropnym to było upokorzeniem dla sieroty, zostać tak odesłaną, jakby krnąbrne dziecko co psuje zabawę. Nie chciała w obec tylu widzów poniżyć się do sprzeczki, w której przemoc by zawsze odniosła zwycięstwo, oddaliła

się z głową podniesioną, jakby wracała z własnej woli.

Dopiero w zamku, w objęciu Elżbiety, zdziwionej niespodzianym jej powrotem, uderzyła w płacz i wszystko wyznała.

— Ach, drogie, nieostrożne dziecko, czemuż się nie poradziłaś?

To było jedyne słowo napomnienia, co wyszło z poczciwych ust Elżbiety; więc jej nie śmiała gromić, wzruszona i zmartwiona zgryzotą dziewczęcia.

Nie utyskując więc daremnie nad tem co się już stało, zaczęły tylko przemyśliwać i radzić między sobą, co tu dalej mają nieszczęsne robić, kiedy nagle, narady zostały przerwane, przez niespodzianą — i wcale jak na dzisiaj niepożądaną — wiadomość; Rupert oznajmił że u bramy jest pielgrzym proszący o gościnność.

Spojrzały po sobie z niezadowoleniem. Już też nie w porę gość przychodził! Jednak czy się godzi odpędzić pielgrzyma, zwłaszcza takiego co idzie z Ziemi Świętej? Podobna odmowa ściągnęła-by na dom obrazę boską. Tknięta żywo tą myślą, Elżbieta kazała co prędzej prosić podróżnego, a do Ludmiły szepnęła:

— Trudno.... przyjmijmy tę przeszkodę jako umartwienie. Może nam zostanie policzona, i dobrą myśl natchnie?

Rozjaśniły jak mogły czoło, przyjęły jak mogły najgościnniej. Żadne jednak wysiłki, nie

zdołały rozpędzić ich smutku, ani przemódz roz-
targnienia, które pielgrzymowi tak mocno nie
w smak poszły.

Ach ileż razy podobnie się dzieje! Każdy
z nas mógł być takim natrętem, wpaść w jakąś
burzę domową, a potem najniesłuszniej gniewać
się i dziwić, czemu go nie przyjęto uśmiechem
pogody?

Opowiadania o dalekich krajach, zwykle za
krótkie dla słuchaczek, dziś im się wydały mar-
twe, i przedwiecznie długie.

Nakoniec pielgrzym odszedł; wtedy wybuch-
nęły, za długo tłumionemi łzami, i uciekły do
swego ustronia, truchlejąc na myśl o powrocie
zagniewanych panów.

Miały więc czego płakać piękne białogło-
wy. Nie wszystko złoto, co się świeci.

Anielska dyplomacja.

Powrót panów był istotnie piorunujący. Sulisław niechciał nawet patrzeć na Ludmiłę, cały gniew zwrócił na żonę. Sięrota widząc ten skutek niespodziany, jeszcze boleśniejszy niż mogła przewidzieć, wzięła się na odwagę, i pierwsza głos podniósłszy, nieustraszenie zaprzysięła, że cała odpowiedzialność na nią samą spada, że Elżbieta o niczem nie wiedziała.

Elżbieta potwierdziła zaręczenie, a mąż z nadto ją szacował, aby choć na chwilę zwątpić o jej słowie. Zamilkł, — ale kiedy znalazł się sam z żoną, zaczął gorzko wyrzucać jej obojętność, bezczynność w tej sprawie.

Co chwila powtarzał:

— Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu! Cóż to, czy ta dziewucha ma nas uczyć rozumu, nas, posiwiających na polu i w radzie? Nas, których Xiążęta słuchają? Czy to my nie wiemy, co najlepsze dla szczęścia

i świetności rodów? Zostaliśmy zelżeni tym odkoszem, tą śmieszoną ucieczką. Teraz, już choćby tylko dla ratowania sławy domu, trzeba koniecznie ten związek skojarzyć. Cóż ty niewiasto, czy zapomniałaś gadać? Milczy i milczy, jakby z tamtą trzymała.

— Nie gniewajcie się, mężu mój i panie. Milczę, bo mam sumienie zakłócone.... Niewiem czy to co czynimy, zgadza się z wolą Boską? Słuchaj, mój najmilszy: wszak niedawno składałeś przysięgę rycerską? Sam powiedz, gdyby ci doniesiono: «Oto tam, w czarnym lochu, jęczy sierota okuta łańcuchami.» Wszak co prędzej włożyłbyś rynsztunek, chwycił włócznie, i na skrzydłach leciał, aby ją ratować? O, leciał-byś, bo przysiągłeś, że będziesz bronił sierot, wdów, i wszelkich pokrzywdzonych. Otóż ja biję się z myślą, czy przymus duszy nie jest czasem cięższy od łańcuchów? Kiedy sierota woła do nieba o krzywdę, jój głos mię trwoży i miesza... Choćby niemiała słuszności, jeszcze jój głos mię trwoży.... Ja nic niewiem.... Ja nic niechcę rozsądzać.... Ty, jako mąż, lepiej wszystko zrozumiesz. Ja tylko mam jakby przecucie, że ten związek nie przyniósł-by nam szczęścia.... Pójdę pomodlić się, może Bóg raczy oświecić moje nędzne człowiecze myśli.

I odeszła, zostawiając męża nie tyle już zagniewanego, ile tkniętego niepokojem. Sulisław nieraz doświadczył mądrości swojej małżonki,

a zwłaszcza nieomyślności jej przeczuć. Te kilka słów przez nią rzuconych, rozbudziło w nim pierwszy, maleńki ruch wahania. Bronił się temu popędowi, ule już sama obrona dowodziła walki. A miał czas do walczenia. Elżbieta przez dwa dni zamknęła się w swoim oratorium; wdziała włosiennicę, nie szczędziła twardych umartwień; godziny jej schodziły w nabożnym rozmyślaniu, aż odezwał się głos wewnętrzny.

Elżbieta już dawno rozumiała dokładnie położenie Ludmiły, bo w sercu, nosiła jak Pismo każe, nietylko «słodycz gołębiczy», ale i «roztropność węzową». Wiecznie schylona u krosien, zdawało się że tylko dobiera jedwabie, a tymczasem ona dobrze umiała uważać i słuchać, z przelotnych słówek zgadywać skryte myśli, zestawiać wypadki na pozór odrębne; a że się nie spieszyła z sądem, że w nic nie kładła namiętności, więc powoli wyrabiała sobie pojęcie o ludziach i rzeczach bezstronne, prawie nieomyślne, a jeśli została zapytana, znalazła prawie zawsze odpowiedź zarówno prostą jak niezbitą.

Wszyscy też sami przyczyniali się, chcący czy niechcący, do rozjaśniania jej pojęć. I tak, Zyndram, uważający ją za istotę ^{bez} żadnego znaczenia, zdradził się kilka razy przy niej słowami niebaczniemi, z których odgadła, że wieści słyszane przez Ludmiłę, musiały zawierać wiele prawdy. Sulisław sam jej opowiedział o darowanym dłużu, sądził, że brata podniesie w jej

oczach, a dla niej właśnie ten szczegół, stał się promieniem, rzucającym na wszystko niespodziane światło; zrozumiała, że swaty stryjowskie były prostym frymarkiem, i wzdrygnęła się na myśl, aby oni, uczciwi ludzie, mieli umaczać rękę w takim niecnym spisku.

O! Dawno już ona to wszystko pojęła, dawno już skryte łzy roniła, ale nie śmiała mówić ani działać, z obawy o przyszły spokój dla domu i dziecka.

Dopiero po dwóch dniach modlitwy, usłyszała wyraźnie głos wewnętrzny:

— Nie bój się—stań w obronie słuszności—nie bój się—wszystko co dobre, wyjdzie kiedyś na dobre.

Trzeciego dnia od rana, złote włosy skropiła wonnościami, wciągnęła szaty najśliczniejsze, łańcuchy i rąbki misterne, i jak nowa Ester, w pełnym blasku wyszła do sali.

Przez kilka dni, po całych godzinach siadując z Sulisławem przy kominie, wiodła z nim rozmowy długie, codzień spokojniejsze. Coraz mniej słyszano wybuchów głosu mężowskiego, a co sama Elżbieta mówiła, tego nikt nie dosłyszał; mówiła głosem tak cichym i pieściwym, że nawet ucho powieści go nie pochwyciło.

Są pewne rodzaje wymowy, działające nie wiedzieć czém, jak muzyka. Samym swoim spo-

kojem uśmierzają, bez widocznej walki umieją rozbroić. Jak Elżbieta przeprowadziła walkę? Trudno zgadnąć. To tylko pewne, że po kilku dniach odniosła tryumf, a jeśli tryumf ten był wielkim zaszczytem dla zwyciężającej, niemniejszym był i dla zwyciężonego, bo tylko umysł prawdziwie tęgi nie wstydzi się ustąpić, nie lęka się, aby go posądzono o słabość,—tylko dusza na wskrós ucziwa umie przenieść prawdę nad wszystko, nawet nad głos miłości własnej, téj potęgi, co więcej rządzi ludźmi, niż wszystkie inne razem.

Sulisław był rzetelnie prawym. Jak tylko znalazła się ręka, co potrafiła otworzyć mu oczy, wnet uznał swoje zaślepienie. Uznał,—ustąpił,—ale się i zasmucił..... Ach, zważył o szlachetności tego brata którego tak bronił, zważył o godziwości związków które tak popierał, zgryzł się myślą, że go użyto za narzędzie w nieczystej sprawie. A gryzł się tém więcej, że nie wiedział jak złe naprawić?

-- Wszystko prawda—mówił do żony—ale co tu teraz robić? Zabrnęliśmy za daleko..... I ty z twojemi radami za długo czekałaś..... Dałem słowo stryjcom Ludmiły, dałem słowo Zyndramowi, zapytają mnie — i słusznie — dlaczego je cofam? Ach, możnaż swemu rodzonemu powiedzieć, o co go posądzam? Godziż się obnażać takowe rany przed obcemi? Pięknie to, że ujmujesz się za bezbroną sierotą, ale pomnij, że

trzeba t^éż ocalić i sławę domu, chociażby dla syna. Jakże to wszystko pogodzić?

I strapiiony, zasłonił twarz rękoma.

Elżbieta oparła miękką dłoń na jego ramieniu, szepcząc:

— Nie troszcz się tak bardzo, mój najserdeczniejszy. Już ja wszystko biorę na siebie, i ufam że wszystko się odrobi, bez ujmy dla twojej czci rycerskiej. W dobrej sprawie Pan Bóg pomaga.

— Może być. — Odparł Sulisław. — Ale pamiętaj że i ludzie nie śpią. Stryjcowie Ludmiły teraz właśnie wybrali się do Krakowa. Kiedyż to? Onegdaj odebrałem od nich wiadomość że tam jadą, bo chcą co prędzej otrzymać od króla pozwolenie na to małżeństwo. I dostaną je, ani wątpić! Czemuż nie mieliby dostać? Cóż króla obchodzi ta sprawa? Będzie na nią patrzył ich własnymi oczami. A przytém, pamiętajmy, że będą mieli za sobą głos xięcia Konrada. Zyndram znowu, przez kochanego swego Bolka, wyrobi sobie poparcie xiążąt Szląskich. Nasze młode królewiątko, co ledwo się wyrwało z pod skrzydeł tych wszystkich opiekunów, nie zechce się z niemi pokłócić dla jednej dziewczyny. Nie znam nikogo w świecie, coby miał powód albo ochotę, do przeszkadzania tej swadźbie. Trudno przecież, abym ja sam przeciwko bratu stawał! A niech raz otrzymają od króla pozwolenie, to już wszystko przepadło.

Na taką wiadomość, i Elżbieta się zatroskała.

Po długiej chwili namysłu, rzekła:

— Czy wiesz co mi do głowy przychodzi? Byłby sposób..... może się panu mojemu spodoba? Mój brat, xiądz Maciej, donosi mi z Wrocławia, że także jedzie do Krakowa, gdzie ma towarzyszyć xięciu Henrykowi. A gdybym i ja się tam wybrała? Mogę pojechać, wedle mniemania ludzkiego, dla spotkania się z bratem, którego też już, prawdę mówiąc, od naszego ślubu nie widziałam. Taka podróż nikogo nie zadziwi. Rozpatrzywszy się na Dworze, może potrafię odrobić, to co tam robią ci stryjcowie. Może przy Boskiej pomocy, rzeczy tak się dadzą ułożyć, ażeby odmowa tego związku wyszła, nie od nas, i nie od Ludmiły, ale wprost od samego króla?

Sulisław przeszedł się kilka razy po kornacie.

— Mądry wymysł, niema co mówić -- odrzekł—uratowałby wszystko.

A stanąwszy przed żoną, dodał głosem, w którym odnalazła się kropla goryczy:

— Ale wywieź z sobą i dziewczynę. Niech jedzie, i tu już nie wraca, — niech zostanie przy swoim dostojnym opiekunie. Nasz zameczek nie godzien tak wielkiej dziedziczki, co z niego ucieka..... Nieszczęsna godzina, w której ta dziewczka weszła pod mój dach!

Elżbieta uznała słuszność uwagi mężowskiej;

po zerwaniu zamierzonych związków, pobyt Ludmiły w Żegnańcu stawał się niewytłumaczonym, a nawet rażącym.

Jednak Sulisław jeszcze się zawahał.

— A gdyby — rzekł — tamci wymacali wszystko, i chcieli się mścić? Stryjowie Ludmiły gotowi nasłać na nas rabusiów xięcia Konrada?..... A Zyndram.... jeśli taki złośnik, jak ludzie gadają, będzie mi do śmierci dokuczał. Jak zacząną niszczyć nas.... oblegać.... Mój Boże! Ten Żegnaniec, który od lat całych utrzymałem w spokoju, może czarnych dni się doczekać!

Na ten raz, Elżbieta odpowiedziała stanowczo:

— O! Takie trwogi nigdy mię nie powstrzymają. Mniej się lękam zemsty krzywdzących, niż klątwy pokrzywdzonych. Lepiej naszymu Jasiowi zostawić zamek w gruzach, niż aby miała jedna łza na jego murach ciężać. Ale — kończyła głosem coraz łagodniejszym — ostateczny wyrok zależy od mego męża i pana. Nic bez jego woli.

Sulisław uścisnął żonę i wyrzekł półgłosem:

— Rób jak cię Bóg natchnął!

Jeszcze tegoż wieczora Elżbieta miała długą rozmowę z Zyndramem. Tutaj usunięcie przeszkód, przynajmniej chwilowe, poszło jej łatwiej

niż sądziła. Zyndram od kilku dni zauważył jakiś chłód w bracie; zmianę tę przypisywał ognistym błaganiom Ludmiły, i drżał aby w końcu nie przekabaciła Sulisława. Pobyt w zamku stawał się dla niego coraz nieprzyjemniejszy, wszyscy od niego stronili. Postanowił zmienić szyki, i przyspieszyć sprawę u króla.

Kiedy więc Elżbieta zaczęła mu przedstawiać, jak to byłoby z jego strony pięknie i rozumnie, gdyby teraz chwycił się innej drogi, gdyby zechciał zostawić Ludmile nieco czasu na ochłonięcie z chybionej ucieczki, a potem popробować co może dobroć i cierpliwość, Zyndram oświadczył że właśnie takim był jego zamiar, że nie myśli «gwałtem brać żony»,—i nazajutrz opuścił zamek, obiecując sobie prędki powrót ze stryjcami, z pismem królewskim, i—co najważniejsze—z dobrze uzbrojonym hufcem.

Ludmiła mało nie odeszła od zmysłów z radości, kiedy spostrzegła odjeżdżającego Zyndrama, a zwłaszcza kiedy się dowiedziała, że Elżbieta wywozi ją do stolicy, pod opiekę króla.

Co prędzej zaczęto czynić przygotowania do podróży. A były niemałe; każdój z pań towarzyszył liczny orszak. Szły też za nimi konie dobrze objuczone, szła nawet i furka pełna skrzyń i worów, bo jadąc na Dwór królewski, trzeba się było wybierać z najpiękniejszymi strojami, z tysiącem niewieścich fraszek.

Ludmiła, pakując te fraszki co żywo, cały dzień śpiewała i popląsywała. Elżbieta była smętna i zamyślona; dobrze czuła trudność zadania jakiego się podjęła, i widząc skaczącą panienkę, mówiła z westchnieniem:

— Ach, moja siérotko, nie ciesz się przed czasem; jeszcze nie wiemy, co król powie?

Zamurowany.

Xiądz Maciej aż się rozplakał z radości, kiedy zobaczył siostrę przyjeżdżającą na jego powitanie. Bardzo żałował że nie może jej sam ugościć, ale mieszkał na Zamku, z orszakiem Xięcia Henryka Pobożnego. Przychodził tylko jak najczęściej do siostry, która stanęła razem z Ludmiłą w mieście, u znajomych.

Elżbieta nie chciała przedstawiać się na Dworze, dopóki dobrze nie wybada gruntu. Nie tłumaczyła się też bratu z prawdziwych celów swojej podróży, ale tylko przez kilka dni, słuchała jego szerokich opowiadań o życiu dworskiem i jego zabiegach, i tak, bez żadnych wyraźnych zapytań, znalazła się wkrótce najszczerzej objaśnioną.

Bo też nie mogła lepiej trafić. Xiądz Maciej, okrągłuchny prałat, o dobrotliwym uśmiechu i dowcipnych oczach, miał złote serce dla

prostaczków i biednych, ale miał przytém i pąjący rozum do chwytania ludzkich przewrotności; jak salamandra w ogniu, umiał się obracać wpośród uczonych i światowców. I lubił walkę. Należąc z przekonania do najzapaleńszych realistów, gdzie mógł, toczył dysputy z nominalistami. W polityce był tóż dziwnie biegły. Henryk Pius i jeszcze ojciec jego, Henryk Brodaty, nieraz go używali w trudnych przedsięwzięciach, gdzie nabył rzadkiej znajomości ludzi.

Z opowiadań xiędza Macieja, nasze panie mogły wywnioskować, że w sam czas przybyły do Krakowa; kto wie nawet, czy troszkę nie za późno? Stryjcowie Ludmiły bawili tam już od tygodnia, i musieli dobrze oblegać ucho królewskie, bo xiądz Maciej wiecznie ich widział przy królu, a przytém i obecność Xięcia Henryka, który był rodzonym ojcem Bolesława Łysego, dodawała niebezpieczeństwa.

Przełęczona Elżbieta zaczęła się podpytywać, kto posiada wpływ najmocniejszy na umysł królewski?

— A! — Zawołał xiądz Maciej. — Kto? Jedna tylko jest pod słońcem istota, co posiada u niego wpływ bez granic, to nasza młodziuchna królowa. Xiążę ją nietylko miłuje, ale czci z rodzajem nabożeństwa; zrobiłby wszystko w świecie aby ją pogodzić z doczesnością, a to nie łatwo, bo ta dziwna i przedziwna pani, choć je-

szcze nie umarła, już więcéj żyje w niebie niż na ziemi.

Elżbiecie błysnęła myśl promienna. Poprosiła brata, czyby nie mógł otrzymać dla niéj osobnego posłuchania u królowéj?

Xiądz Maciéj dobrze zmiarkował, że siostra musi mieć jakąś ważną sprawę do przeprowadzenia u Dworu, ale mając sam wiele sekretów, umiał szanować cudze. O nic nie zapytał, niczém jéj nie zakłopotał, zajął się tylko, i to gorliwie, daném sobie zleceniem.

Gorliwie, bo już nazajutrz wieczorem, przybył z radosną wiadomością, że posłuchanie otrzymane.

— Kochana siostruniu, masz się stawić jutro przed południem, o godzinie *tercyi*. Zobaczysz się sam-na-sam z królową, i możesz iść śmiało, już cię tam tak dobrze obgadałem, że— jak myślę—niezgorzéj będziesz przyjęta.

Xiądz Maciéj przesiedział cały wieczór z paniami, bawiąc je na różne sposoby. Jako znawca umysłów ludzkich, wiedział czém którą zaciekawić.

Ludmile wskazywał, gdzie są w mieście składy najlepszych bławatów i złotogłowów, na jakiej ulicy mieszka złotnik, wyrabiający najwykwintniejsze pierścienie i kolce.

Dla Elżbiety miał inne ciekawości.

— Niedosyc to — mówił — zwiedzić gmachy Krakowa, obejść jego kamienne świątynie, są tu

i żyjące kościoły, dusze osobliwsze, którym trzeba się zbliżać przyjrząc. I tak naprzykład, na przedmieściu Półwsinie, w klasztorze Św. Augustyna, jest mniszka słynąca z rzadkiej świętobliwości, Bronisława Odrowążówna. Znam dobrze całą tę rodzinę, zwłaszcza jej dwóch braci po stryjcę, Jacka i Czesława; obaj ludzie znamienici, w służbie Bożej dziwni, możnaby się o nich pisać, ale muszę przyznać że i siostra im nie ustępuje; odwiedzałem ją, i byłem zdumiony jej odpowiedziami, doprawdy jakbym rozmawiał z Doktorem kościelnym. Pójdź do niej siostrze, zbudujesz się i pociechy sercu przyczynisz, a przytém, pewno ci zaraz przypnie wianek Świętego Dominika, bo Siostra Bronisława bardzo pracuje nad wprowadzeniem do nas tego nowego nabożeństwa. Może i panna się namówi, zwłaszcza kiedy jej powiem, że teraz na Dworze królowej Kingi trudno się pokazać bez Różańca. Nasze panie nawet i z niego potrafiły sobie zrobić nową przyczynę do zbytku; przesadzają się w różności i kosztowności paciorków. Trzeba więc jak najprędzej do Półwsina się wybrać. — No, a teraz druga osobliwość: Ojciec Paweł. O tym przecie musiałyście już słyszeć? Paweł pokutnik, Paweł prorok; cały Kraków go zna i słowa jego powtarza. Może zauważyłyście przechodząc koło kościółka Świętego Wojciecha, to małe okienko, przy którym zawsze taki natłok ludzi? Otóż to tam ten osobliwszy

człowiek przed dziesięciu laty kazał się zamurować, i żyje tylko z datków jakie mu pobożni do okienka przynoszą. Niewiem za co pokutuje, za własne grzechy, czy za cudze? Najprędzej za cudze, bo mi się wydał bardzo czystą ofiarą, chociaż ani słowa z ust jego nie słyszałem; ile razy podszedłem pod okienko, zawsze był w zachwyceniu. Mówiono mi jednak, że niekiedy odpowiada na pytania, a nawet przepowiada przyszłość. Modlitwy też jego, mają posiadać rzadką moc u Boga. Znam wiele osób, co przed każdym trudnym przedsięwzięciem idą tam, aby się polecić modlitwom Ojca Pawła, i podobno proszący nie potrzebuje nawet opowiadać głośno swoich żądań; prorok czyta w jego myślach, i sądzi odrazu, czy prośba godna orędownictwa, czy nie? Tak to niesłychanemi łaskami Bóg nagradza tę niesłychaną mękę, bo doprawdy trzeba nadludzkiej odwagi, aby skazać się na podobne życie. Tylko wystawcie sobie: latem i zimą, w celce takiej małej że ledwo można się obrócić, między kamieniami zzieleniałemi od wilgoci, bez ognia, w jednej, nigdy niezmienianej sukni, na jednej, dawno zgniłej słomie, ach! to zupełnie jakby żywcem w grobie. A przytém, każdy dzień jego wisi na łasce ludzkiej. Dotąd wprawdzie jeszcze mu nigdy nie zabrakło pożywienia, pobożni pamiętają o nim, ale niech przyjdzie jakaś zamieszka, jakaś wielka wojna, albo pomór, a ludzie gotowi zapomnieć o nim—i oto

śmierć głodowa. A jednak on zawsze uśmiechnięty. Ach, kto go raz widział, nigdy nie zapomni..... zwłaszcza tych oczów, co patrzą głęboko, daleko, ale nie na nas, tylko jakby wewnątrz. Widok takiego człowieka przeraża i okrutnie zawstydzają, szczególnie nas, niegodne sługi boże, co więcej służyliśmy jeszcze światu, niżeli Bogu. Ile razy widziałem Ojca Pawła, przez kilka dni nie mogłem spokojnie jeść wieczerzy, ani zasnąć na wygodnym łożu..... A jak mi się nikczemnie wydawały nasze xiążkowe spory, i matactwa dworskie! O nędzne my robaki! Jakie to szczęście, że są jeszcze ludzie, co dorzucają ciężar podobnych umartwień na szalę sądów Bożych! Inaczej, zginęlibyśmy wszyscy.

Takie dziwne rzeczy opowiadał xiądz Maciej. Kiedy odszedł, Ludmiła przybiegła do Elżbiety, i całując ją po ramionach, szepnęła:

— A więc jutro?..

Elżbieta miała twarz pobladłą, i usta zaciśnięte. Życzyła sobie bardzo tej rozmowy z królową, ale teraz, kiedy życzenie miało być spełnione, lękała się niewymownie. Straszno to jest wiedzieć, że od kilku słów naszych, mądrze lub niezręcznie powiedzianych, zależy czyjaś przyszłość, czyjeś całe szczęście. I znikąd pomocy, znikąd rady!

— Tak, jutro....—Powtórzyła w zamyśleniu.— Czy wiesz Ludmiłko, co mi do głowy przycho-

dzi? Chciałabym poprosić Ojca Pawła o słówko modlitwy. Może mi wyprosi odwagę i dobre natchnienie? Ale trzeba nam pójść raniutko, póki jeszcze ludzie nie tłoczą się do okienka.

— A i owszem! — Zawołała, klasnąwszy w ręce Ludmiła. — Pójdziemy, — on pomoże u Boga, ani wątpię. Kiedy czyta w myślach, to przecież pozna że cel uczciwy, i modłów nie odmówi, — a może nam co i wyprorokuje?

— O, tego nie żądam.....—Odrzekła ze wzdrygnięciem Elżbieta.—Niepróżno Pan Bóg zasłonił przed człowiekiem przyszłość. Czasem lepiej nie wiedzieć co nas czeka.

— No tak..... Ale jeżeli sam z siebie przemówi?

— Ha..... jeżeli sam z siebie przemówi, ukorzymy się i zachowamy jego słowa w sercu.

Istotnie raniutko wstały nazajutrz obie pannie. Przy świetle kaganka, włożyły mocne obuwie, ciepłe suknie i futrzane szubki, bo mróz ranny dobrze ścinał powietrze. Zakwefiwszy twarze, wyszły z pacholkiem, który niósł przed nimi pochodnię.

Ale ulice nie były tak puste, jakby wczesność godziny kazała się spodziéwać.

Adwentowe Roraty, niedawno w Polsce zaprowadzone, i jak wszelka nowość chciwie uczęszczane, zbudziły już wielu mieszczan. Gro-

mady ludzi, mocno otulonych, uciekających przed zimnem, przesuwały się z głuchym szmerem, z mnóstwem czerwonych pochodni, co wyglądało bardzo zaciekawiająco w płataninie ciasnych uliczek; tém ciekawiej, że ruchome to oświetlenie klóciło się z widokiem nieba, którego jedna półkula jeszcze mrugała zimowemi gwiazdami, podczas kiedy druga już majaczyła niebieskawą szarością świtu. Na tém tle fałszywém, spiczaste dachy, drewniane ganeczki, rusztowania gmachów niepodokończonych, rozrastały się do bajecznych strzelistości, i dziwaczyły w powietrzu, tak że Elżbieta, która bezwiednie nosiła w sobie poczucie artyzmu, przystanąła, i rzekła do Ludmiły:

— Jakie to wszystko osobliwsze a piękne, jakby sen!

Ludmiła obejrzała się z podziwieniem, i skinęła głową potwierdzająco, ale tylko przez prostą uprzejmość, bo według niej, daleko piękniejszym był rączy rumak, albo puzderko z klejnотami.

Oprócz gości Roratnych, inne także ranne ptaszki już krążyły po mieście: mlęczarki z dzbankami, mularze stąpający ordynkiem, jakby istne bractwo. Czasem furka chłopska, z drzewem albo warzywem, jędrnie zatętniła po zamarzlėj ziemi.

Nasze podróżniczki, dotąd przekonane, że tylko na wsi ludzie umieją wstawać bardzo rano, dziwiły się tak wczesnemu ożywieniu miasta.

Wzięła je nawet obawa, czy i przy pustelniku już nie znajdą tłumów? Ale obawa była płonna; kiedy weszły na uliczkę okalającą kościółek Świętego Wojciecha, zastały ją puściuteńką.

Celkę łatwo było rozpoznać; przybudowana do zewnętrznej ściany, odznaczała się jakby nabrzmiałość muru, tém widoczniej zwracająca uwagę, że tuż przy niej wisiał, na złotém tle świecący, wizerunek Świętego Pawła Pustelnika, z lampą tak umieszczoną, aby jej promień padał prosto w okienko. Zawieszenie tej lampki, upozorowanej Obrazem, było serdecznym pomysłem kilku nabożnych mieszczek, co chciały tym sposobem, rozweselić pustelnikowi okropne ciemnice długich zimowych nocy; pomysł wzruszający troskliwością, chociaż—prawdę mówiąc—niepotrzebny, gdyż Ojciec Paweł nosił w samym sobie słońce nigdy nie gasnące, a takie jasne, że przy nióm ziemskie słońce wydawało się jak ta lampka.

Elżbieta i Ludmiła, zostawiwszy w niejakim oddaleniu pacholka, przystąpiły nieśmiało do okienka. Przez otwór kraty, wsunęły maleńki koszyczek z jedzeniem i dwoma srebrnymi solidami, koszyczek zatrzymał się w kamienném wyźłobieniu, żadna ręka go nie pochwyciła, nic się nie ruszyło w celce. Może samotnik spał? A może skostniał od zimna, albo omdlał z głodu?

Zaniepokojone, zaczęły się rozglądać we wnętrzu; długo nie mogły nic rozeznąć, aż spu-

szczając oczy coraz niżej, dostrzegły jakieś wielkie białości: broda śnieżna, po pas wisząca,— aureola srebrnych włosów roztrzęsionych nad czołem,—i dwa łuki brwi bielusieńkich, z pod których patrzyły oczy przerażającej głębokości. Zdawało się że z tych pierwszych oczu, jeszcze jakieś inne wyglądają, — i może to nie było złudzenie? Może to oczy wewnętrznego człowieka, tak rzadko w kim roztwarte, wyzierały tutaj z powłoki, doprowadzonej nieledwie do przezroczenia?

Taki wzrok, sądząc po ludzku, nie jest wcale miłym. Zanadto on już traci innym światem, aby mógł działać przyjemnie na większość ludzi, która nie lubi myśleć o «wielkiem przejściu»,—ale dla dusz sobie pokrewnych, taki wzrok posiada przepaścistość tajemnic i światła.

Pokutnik siedział na ziemi, owinięty białym kożuszką, oparty o ścianę, nieruchomy jak figura z kamienia.

Elżbieta widząc go czuwającym, odezwała się z wielką pokorą:

— Przychodzę prosić was, Ojczyce..... pomódlcie się za nas..... o pomoc w trudnym przedsięwzięciu.....

Zamilkła, oczekując znaku albo słowa, — a tymczasem Ludmiła dodała pieszczotliwym głosem:

— Ach, dobry Ojczyniu, wy przyszłość widzicie..... Uspokójcie nas..... Powiedzcie nam,

czy to przedsięwzięcie szczęśliwie się zakończy?

Pustelnik powstał, wyrosł nakształt kolumny i przystąpił do kraty. Mojżeszowe jego oblicze, w pierwszych blaskach zarania zabielało jak obłok. Wpatrzył się przenikliwie to w jedną, to w drugą, potem oczy podniósł do nieba, i wymówił głosem przytłumionym, jakby idącym z niezmiernéj dalekości:

— O! Gdybyście wiedziały co was czeka, nie troskałybyście się o dzień dzisiejszy.—Miłujcie się bardzo w Panu, albowiem On wasze dwie dusze złączył jedną gałązką cierniu.—Jako Izrael czterdzieści lat błąkał się w puszczy, taką przyszłość wasza.—A kiedy powrócicie, nie poznacie nieba ani ziemi, ale odnajdziecie skarb stracony.

Cień Świątój.

Mojeszowe oblicze zniknęło z okienka. Siadł, i już znowu zapadł w zachwycenie.

Ludmiła przytuliwszy się do Elżbiety, odciągnęła ją daleko, szepcząc:

— Ach! Jak ja się przelękałam!

— Czego?—Spytała tamta ze słodkim uśmiechem, dowodzącym że dziedzina zaświatowa, nie była już zupełnie dla niej obcą.

— Jakto, czego? Mnie się wydało, że zobaczyłam ducha..... Ale już teraz ten strach mię omija..... Przypomnijmy sobie co powiedział? Wszak mówił, że gdybyśmy wiedziały co nas czeka, nie troskałybyśmy się o nasze przedsięwzięcie; więc widocznie się uda. Bądźmy dobrej myśli.

Elżbieta nic nie odrzekła, szła z głową spuszczoną. Dopiero kiedy zakręt uliczki postawił je nagle przed wejściem kościelném, przystanąła pytając:

— Czybyśmy nie wstąpiły? Wprawdzie ta Msza już skończona, ale może niedługo wyjdzie inna?

Istotnie, Roraty już się zakończyły. Szukanie pokutnika i oczekiwanie na kilka słów jego, musiały trwać długo, bo jutrzienka już się złociła, w kościele właśnie gaszono świece boczne, i ową nad niemi królującą siódmą, co w tém nabożeństwie wyobraża Najświętszą Pannę, jako jutrzienkę za którą przybywa słońce nieśmiertelne. Z niskich drzwi, szeregami wyciągali pobożni, a że kościółek mały, więc szybko się wypróżnił.

Jednak obie panie jeszcze nie mogły dostać się do progu. Nikt już nie wychodził ani wchodził, a przeddrzwiami stała ciągle gromada ludzi, rojących się i szemrzących jak mrowisko. Przystąpiły, aby zbadać przyczynę tego zatłoczenia, i spostrzegły niewiastę, otoczoną mnóstwem ubogich, kalek, odartych dzieci, słowem najprzeróżniejszej nędzy. Niewiasta była wzrostu bardzo wysokiego, a choć miała na sobie płaszcz gruby, szary, jaki tylko zazwyczaj kobietom z gminu służył, przecież z pod niezgrabnych jego fałdów, przebijała wazka wybujałość téj postaci, podobna—że tak rzeknę—do kształtów gotyckich. Kaptur szary osłaniał jęj głowę, rąbek osłaniał oblicze, tylko nic nie osłaniało białości jęj rąk, migających w nieustannęj pracy. Obok nięj była inna niewiasta, niższa

wzrostem, z twarzą nieładną, ale bardzo pocziwą i przyjemną; ta w obu rękach niosła ogromną kaletę, czerwoną axamitną, naszytą półkołami złotych wisiorów i frendzli, a wysoka niewiasta zanurzała w tej kalectwie swoje cienkie, liliowe ręce, i czerpała z niej całe garście pieniążków, które się rozsypywały po różnych czarnych i wyschniętych dłoniach. A jeszcze hojnie od kruszcu sypały się z jej ust złote słowa, pełne troskliwych pytań i rzewnych ubolewań, których dźwięk zastanawiał ucho jakimś odcieniem wymowy dziwnym, jakby nie polskim, ale prosto trafiającym do serca. A nie wiedziała rozdawczyni w którą stronę pierwój się zwrócić, tak była obleżona prośbami i wykrzyknikami; każdy jej cós opowiadał, każdy się skarżył lub dziękował; dzieci ją chwytały za kolana, niewiasty całowały jej opończę, jakiś mały garbaty kaleka ukląkł przed nią, o co się wysoka pani srodze rozżaliła, i głosem stanowczym kazała mu powstać. Już też i wyczerpał się wór axamitny, dawczyni raz jeszcze pogłaskała roztrągane główiny dzieci, każdemu rzuciła dobre słowo, tłum się przed nią rozstał, odeszła majestatycznie, i długo jeszcze jej postać, górowała w dali jakby cień półprzezroczy.

Za nią odeszła i niewiasta z wypróżnioną kaletą, i druga niewiasta trzymająca przecudną księgę do modlitwy, i czterech jakichś ludzi, z węgierską ubranych, którzy nieśli ciężkie, białe po-

kryte kosze. Dotąd czekali oni w milczeniu pod murem, teraz rzędem ruszyli za wysoką panią.

Szmer błogosławieństw popłynął w jej ślady.

Ludmiła przeciskając się między ubogimi, zapytała staruszki siedzącej pod kościołem:

— Co to za pani taka dobroczynna?

— A moja panienko, chyba z za gór przyjeżdżacie, kiedy nie wiecie kto ona? A toż-to nasza królowa!

— Nasza święta! — Zawołał krzywy garbuszek.—Powiedam wam: kiedyś... będzie miała ołtarze. Niech ona jak chce się gniewa, ja zawsze gadam, że nie grzech przed nią klękać.

— Królowa? — Zawołała ze szczerym podziwem Ludmiła.—Tak rano? I w takim ubiorze?

— Co to rano!—Podchwycił Dziadek kościelny, który w czerwonej pelerynie paradował u progu. — Ona już od trzech godzin, drepce swemi królewskimi nóżkami po mieście. I to tak codzień. Zanim w Zamku śniadanie podadzą, ona już pół miasta obeszła. A potem ślicznie się ubierze, jak trusia do stołu siądzie, i udaje że nic, że sobie najsmaczniej za swojemi bławatnymi kotarami spała.

Tu wmieszał się do rozmowy jakiś niewiasty.

— Ledwo rok — mówił — jak ją z za gór przywieziono, a już zna wszystkich nieszczęśliwych całego Krakowa, i wszyscy ją znają, nawet ślepi. I jak jej tu nie poznać? Gdzie tylko

nadejdzie, tam powietrze robi się jakieś miłsze, jakby przed nią anioł szedł z kadzielnicą.

— A jakie mi ona dała ciastko przeszłej Niedzieli! — Dodał chory, zbiédzony dzieciak. — Jak żyję, takiego nie jadłem.

— Co tam ciastko..... — Przerwała stara niewiasta, z posepną, spiczastą twarzą. — Masz się też czém chwalić! Mnie ona wnuka wykupiła z niewoli od Jadźwingów. To trochę więcej niż ciastko.

— A mnie, — dodał bielusieńki staruszek o kulach — mnie dała słoik jakiegoś cudownego miodu, po którym ustał mi ten kaszel, co to myślałem że już duszę od niego wyzionę. Powiedam wam, łyknąłem kilka razy, i jakby ręką odjął.

— Więc królowa tak codziennie kościoły obchodzi? — Spytała Elżbieta.

— Ale gdzie tam! Czy to same kościoły? — Sarknął czerwony Dziadek. — Dla niej wstąpienie do kościoła, to wypoczynek, to pociecha; — ale gdzie ona chodzi najwięcej, to po różnych nędznych domostwach, po piwnicach i strychach, po najciaśniejszych zaułkach, wszędzie gdzie się mieszczą ubodzy, których nazywa swojemi «panami» i «nauczycielami». Wszędzie każe nieść za sobą przyodziówki i żywność, i to nie lada-jakie, nie stare szmaty i chleb suchy, jak robią inni bogacze, ale ciepłuchne sukmany, i łakocie które sobie od własnych ustek odejmuje. Wi-

dzieliście te kosze za nią? Tam pełno wyborności, leków i przysmaków, a worek pełen denarów, a serce pełne dobrych rad, i słów niepojętych, co najkrnąbrniejszego pogodzą z krwawą dolą. Co kilka dni też odwiedza lochy więzienne; kogo może to u sędziów i męża wyprosi, a kogo już nie może wyprosić, kto za wiele nabroił, temu przynajmniej ostatnie godziny słoździ, a potem pamięta o jego starych rodzicach albo małych dzieciach, co podobno dla skazanego jest największą pociechą. Tak to ona kocha wszystkich nieszczęśliwych, czy źli, czy dobrzy, wszystkich, — a już najbardziej miłuje tych, od których cały świat ucieka, trędowatych.

— Czy to może być? Trędowatych! — Zawołała Ludmiła z przerażeniem, a ramiona jej wzdrygnęły się mimowolnym dreszczem.

I nietylko piękna Ludmiła, ale i wszyscy ci żebracy, choć sami odarci, bliznami okryci, chociaż sami tacy wstrętni, na wzmiankę o trądzie, syknęli ze wstrętu.

Wtedy garbusek wyskoczył na środek zgromadzenia, wołając:

— Otóż właśnie za to ona będzie świętą, i już nią jest, już! Bo już cuda się dzieją. Ona z niemi się kryje, zabrania o nich gadać, ale ja nie mogę wytrzymać, powiem co się stało, niedawno, przed miesiącem. Niech ludzie wiedzą kogo Pan Bóg im zesłał. Mam ja siostrę, starą Brygidę, nieszczęśliwą istotę, od lat kilkun-

stu trędowatą. Otóż wystawcie sobie, królowa nieraz ją odwiedza. I nietylko odwiedza, ale izdebkę jęj uprzęta, ach Boże! sama jęj rany opatruje. Niewiem już ile razy, u drzwi stojąc, błagałem ażeby tego nie robiła, bo gotowa sama zachorować. Dosyć szczęścia jeśli przyśle nam jałmużnę. Przecież ja sam, chociaż brat rodzony, nigdy nie wchodzę do Brygidy? Przez okienko z nią gadam, na długięj żerdzi podaję co trzeba, i nikt mi tego nięma za złę. Ale gdzie tam! Królowa ani słuchać nie chciała, i jakby na przekór, jeszcze więcj zrobiła..... Uwierzycie mi albo nie uwierzycie, ale ja siostrze wierzę. Pewnego razu..... niewiem co się stało Brygidzie, wśród rozmawiania z królową, jak zaczęła wzdychać a narzekać, tak się rozkwiliła, i w płacz. Wtedy ta święta pani rozczulona, przybiegła do nięj wesoluchno, powieda jęj: «E! Uspokójcie się matulko!» i na uspokojenie, pocałowała ją w samiućkie usta. Ale cóż? Oto zaraz, w mgnieniu oka, na jęj królewskich ustach pokazał się trąd.

— A co tęż ty gadasz?—Odezwały się zmieszane głosy.—Miałaby dostać trądu? Jaktó? Królowa ma trąd?.....

— Czekajcie końca. Jak siostra zobaczyła, żal ją przejął okropny, a przytęm i strach. No, bo co powię król, co powię cały naród, że przez nią, nędzną istotę, stało się takie nieszczęście? Wszyscy ją opuszczą i wyklną. Tymczasem kró-

lowa mieniła się jak cudowny obraz, widać było na jój twarzy, to trwogę, to zdumienie, nakoniec przemogła ludzkie strachy, drugi, jeszcze serdeczniejszy pocałunek położyła na ustach mojej siostry, i wtedy.... stał się cud: usta jój zrobiły się znowu gładkie i różowe, trąd zniknął.

Po tych słowach nastąpiła wielka cisza. Słuchacze byli porażeni.

Za chwilę powstał jeden okrzyk:

— Cud! Dziwny cud!...

A Elżbieta, ścisnąwszy rękę Ludmiły, szepnęła:

— O! Teraz się już nie lękam posłuchania.

A niewidomy starzec dodał:

— Będzie miała kiedyś ołtarze.

Tymczasem w kościółku nowe światła już zapalono. Obie panie skierowały się ku podwojom. Przechodząc koło progu, Elżbieta jeszcze zapytała Dziadka:

— A któż to jest owa druga niewiasta, o tak miłem wejrzeniu, co za Xiężną niesie jałmużnę?

— A! To panna Agnieszka, kochana panna Agnieszka, druga świętość.—Ozwało się na wyścigi kilka głosów.

— Tak,—potwierdził Dziadek,—to najbliższa powiernica pani, a razem jój prawa ręka. Sama królowa przecie nie może cały dzień siedzieć wśród biedaków? Musi bawić z mężem, z Bi-

skupami i Wojewodami, musi bywać na ucztach i Turniejach, występować w różnych obrzędach, no, jak to królowa. Więc nigdy by nie mogła wiedzieć gdzie jaka nędza się kryje, gdyby nie panna Agnieszka. Ta cały dzień kręci się po mieście, wypytuje, wyszukuje, własnymi oczami wszystko śledzi, a potem swojej pani opowiada, gdzie i komu czego potrzeba. A dziwnie roztropna i serdeczna. To też Xiężna Kinga ją miłuje, nie jak pannę służebną, ale jakby siostrę.

— I to wielkie szczęście, że mamy taką orędowniczkę,—dodała stojąca opodal jakaś dziewczyna bez ręki,—to wielkie szczęście, bo jednakże królowej, chociażby i najlepszej, zawsze człowiek się jakoś stracha. Ja przynajmniej wiem, że nigdy nie śmiałam oczu na nią podnieść, a pannie Agnieszce to ze wszystkiego się spowiadam, jakby rodzonej matce. Ona tam niema skarbów do rozdawania, ale rozdaje co ma: cały swój czas i całą duszę. Oj! Ona także warta ołtarzyka.

W kościele już dzwonek się odzywał, nowa Msza wychodziła. Elżbieta i Ludmiła, rozdawszy między ubóstwo całą jałmużnę jaką tylko przy sobie znalazły, weszły do przybytku uniesione, zachwycone wieściami o królowej, i zatopiły się w modłach, tak strzelisto lecących ku niebu, że

ściany niskiej świątynki wydały się za ciasne ich rozpartym piersiom.

Kościółek Świętego Wojciecha był przerebiony ze stariej pogańskiej kontyny, jeszcze nawet pod ołtarzem przechowywano popioły ogniska, co niegdyś paliło się tu na cześć Nii, a które Czeski Apostoł zagasił Chrzestną wodą. Tajemniczy i ciemny jak jaskinia wyroczna, niewystarczał on już gorącym wyobrażniom owego wieku. Elżbieta modląc się przymknęła oczy, i marzyła sobie jakąś inną świątynię; wysoką, ale to tak wysoką, aby jój szczytu nie można było dojrzyć; świątynię o filarach plecionych dziwnie z giętkich, niebotycznych lilji, o murach budowanych z przejrzystych klejnotów, o sklepieniu błękitném w gwiazdy; a na tych filarach czepiały się wszystkie rośliny i wszystkie zwierzęta świata; z posadzki, nieboszczykowie podnosili się wpół kamienni; a pod sklepieniem, anioły wieszały się ze wstęgami i skrzypeczkami; i tak całe stworzenie, żywi i umarli, ziemia i niebiosy, wszystko łączyło się w dziwném nabożeństwie, wszystko za siebie wzajem się modliło.

I nie jedna Elżbieta śniła taką świątynię. Tysiące dusz ówczesnych marzyły podobnie, i marzenie to póty snuło się po duszach, póty prosiło się ludzkiej myśli, aż nieznani mistrzowie je urzeczywistnili.

Nie od razu Kraków zbudowano.

Właśnie taka świątynia jaka się marzyła rozmodlonéj Elżbiecie, powstawała o kilkadziesiąt kroków od niéj: był to kościół Wniebowzięcia Panny Marji, przed czternastu laty zaczęty, już dziwiący ogromem, z częścią murów już wywiedzioną pod tymczasowy dach drewniany, jednak trudny jeszcze do uchwycenia okiem, bo zewsząd okratowany ogromném rusztowaniem, i okręcony labiryntem uliczek.

Dziwną się może zdawać czytelnikowi, ta częsta wzmianka o «uliczkach» otaczających kościół Świętego Wojciecha, albo Panny Marji, kiedy przecież owe przybytki stoją wpośród Rynku? Tak jest dziś, ale wówczas Rynek jeszcze nie istniał, cały był zabudowany szachownicą zaułków. Na jednym wprawdzie rogu, otwierał się mały, trójkątny plac Targowy, cóż kiedy i ten został teraz właśnie zabrany pod ogromną

budowlę Panny Marji, tak że kupczący, we dni targu nie wiedzieli już gdzie się podziwiać? Ale nikt nie szemrał, nikt nie żałował miejsca ujętego dla nowój Fary, owszem, całe miasto zajmowało się gwałtownie jój wzrostem, śledziło każdy nowy kamień, z tą młodzieńczą gorączką, z tą chwalebłą miłością własną, z jaką wszystkie ówczesne miasta przesadzały się w budowaniu nowych cudów świata. Był to zapał, była to chęć sławy, była to moda, nazwijcie jak chcecie, w każdym razie była to potrzeba ujawnienia i utrwalenia wielkiej zmiany, jaka wtedy nastąpiła w duszach.

Styl ostrołukowy posiada przymiot rzadki w dziejach sztuki, jest najzupełniej samorodnym. Nie narzucił się duchowi czasu, — ale sam duch czasu go stworzył na swój obraz i podobieństwo.

Podług pojęć klassycznych, ten styl grzeszy brakiem proporcji; nie dość jest szeroki, względnie do swojej wysokości. Widz porwany, ale i zaniepokojony, ma ochotę zapytać tych kamieni: «Jak wy robicie, aby się utrzymać na takiej wąskiej podstawie?» Wyborny obraz ducha ówczesnego, który także według pojęć czysto ludzkich, za mało opierał się na ziemi, zanadto wyciągnął się do nieba.

Ach, cudneż to takie *zanadto!*

Stropy Babilońskie, pochyłości Egipskie, nawet świątynie Greckie, wszystkie stosunkowo są

szersze niż wyższe, wszystkie przypominają postacie leżące. Gmachy Rzymskie już niby siadły, już zbliżają się do czworogranu, zawsze przecież czuje się ich ciężar. Bizantyzm pochylił się jeszcze niżej, wyraźnie przykląkł na ziemi, wygiął kark baniasty, pełza na grubych słupach. Ściany Romańskie już usiłują się dźwignąć; chude ich kolumneczki chciałyby w górę wzlecieć, ale nieśmieją, ślepo trzymają się muru.

Nagle, wśród tych wszystkich gmachów mniej więcej przysiadłych, pojawia się styl, którego widok sprawia takie wrażenie, jakie sprawił pierwszy człowiek, pojawiający się między zwierzętami.

U zwierząt, kolumna pacierzowa przybiera zwykle kierunek poziomy. Człowiek jeden potrafił nadać sobie postawę prostopadłą, zmienić niejako oś swego istnienia; i zaprawdę, niemałej dokazał on sztuki; to było pierwsze, i może najtrudniejsze wyzwolenie się z nacisku materji, pół gimnastyczne a pół psychiczne zwycięstwo nad prawami ciężkości. Po tysiącach lat przywykliśmy do tego dziwu, ale i dziś jeszcze rozumiemy jego trudność, jego mistrzowską sztuczność, kiedy zauważymy że człowiek jest jedyną istotą, którą trzeba uczyć *jak się to chodzi?*

Coś podobnego zaszło i w budownictwie. Gotyk wstał, wyprostował się, — i spojrzął w niebo.

Więcej nawet jeszcze uczynił: podniósł do

nieba ręce dwóch wież tak strzelistych, jakich dawniejsze czasy nigdy nie zaznały.

Przy kościele Panny Marji, zabierano się właśnie do ogromnych podstaw czworobocznych pod wieże, które miały iść równo jakby siostry, bo téż ich budową kierowali dwaj bracia, mistrzowie zawołani w tajemniczej sztuce mularstwa.

Nie byli oni pierwszymi; wielu już wzywał do téj pracy, pierwotny założyciel świątyni, Iwo Odrowąż, ów człowiek rzadki, o którym powiedziano, że «nie miał nieprzyjaciół». Słowa tém trudniejsze do wiary, że był znakomitym politykiem; niegdyś Kanclerz przy Leszku Białym, piastował swój urząd w czasach niezwykle trudnych i zwickłanych, a jednak pozostał, «błogosławionym» w Kościele, i błogosławionym w narodzie.

Poznawszy się w Rzymie ze Świętym Dominikiem, i rozplonawszy niezmierną czcią ku niemu, pierwszy sprowadził Dominikanów do Polski, i oddał im w Krakowie kościół Świętej Trójcy, który był dotąd parafjalnym. Wypadało wynagrodzić parafjanom ich stratę; zaczął więc stawiać ten gmach w najnowszym stylu. Pomimo niesłychanej szybkości z jaką szła budowa, nie doczekał się jej rozkwitu; zmarł przed dziesięciu laty, w jednej ze swoich długich, dyplomatycznych podróży. Ale śmierć założyciela nie

przerwała gorączki budowlanej; całe miasto rzuciło się do roboty; składki, pomysły, i dary, płynęły z bajeczną obfitością.

Podobna szczodrota mogła témbardziejzi dziwić, że kościół Panny Marji nie był jedynym arcydziełem powstającym naówczas w Krakowie; o kilka ulic dalej, zaczynało wznosić gmach, także gotycki, także ogromny, pochłaniający mnóstwo rąk, funduszków i artystów; był to kościół dla Franciszkanów, których panujący obecnie Bolesław, tylko co sprowadził z Pragi.

Ten gmach przed laty dwoma zaczęty, ledwie troszkę odrósł od ziemi, i tylko olbrzymie podwaliny, pokazywały przechodniom, tłumnie się gapiącym, przyszły zarys nowego dziwu. Teraz, dla zimowej pory, musiano przerwać właściwe budowanie, praca jednak nie ustawała, dowożono zewsząd materiały, pod szalasami wykończano szczegółowe roboty.

Można sobie wyobrazić, jak wielkim ruchem, takie dwie fabryki napełniały środek stolicy; wszędzie doły z wapnem, wszędzie łoskot młotów kujących kamienie, wszędzie wykrzykniki:

— Ach, jakież to będzie pyszne! Niech się Sandomierz schowa ze swemi kościołami.

A drugi dodawał:

— Ba! I Wrocław, i cały Szląsk się zawstydy, jak zobaczy co my to umiemy.

A trzeci, jakiś majster bywalec, mrugnawszy z pod oka, wtrącał:

— Już ja wam powiem, że sami Niemcy będą nam się dziwili, chociaż to szelmy dziwnie rozumne do mularki.

A nie trzeba sądzić, aby te niedokończone gmachy stanowiły jedyną ozdobę Krakowa; posiadał on ich już niemało, i to niepoślednich.

Z pomiędzy domów Bożych, zwracała uwagę owa dawna Fara, — tak dawna, że nikt nie mógł opowiedzieć jej początku, — dziś dla Dominikanów odnowiona, i do gotyckich kształtów zgrabnie przystosowana.

Zwracał oczy prześliczny kościół Świętego Krzyża, któremu od stu lat wszyscy się dzień w dzień dziwowali, bo całe jego sklepienie wisało, (jak i do dziś dnia jeszcze wisi,) na jednym, jedynym, cieniuchnym filarze; istny obraz ludzkiej doli, która zawsze wisi na włosku.

Po przedmieściach, siedziały jakgdyby na czatach, różne świątynki pobudowane przez niezmordowanego Dunina, wszystkie staroświeckie i surowe, jak postać ich założyciela. Z tych jedna, żałośnie zasłynęła niedawno, przed laty pięciu, kiedy to Henryk Szlązki i Konrad Mazowiecki, toczyli w obrębie samego Krakowa, uporną, prawdziwie średniowieczną walkę; Henryk siedział na Wawelu porządnie obwarowanym; Konrad, niemając równie dobrej twierdzy, usadowił się z wojskiem w kościółku Świętego Andrzeja, którego niskie i grube mury, obiecy-

wały bezpieczeństwo; umocnił je też jeszcze różnemi wojennemi sztukami, i zrobił z nich miejsce prawdziwie obronne. Był to pomysł dobry dla zewnętrznej przewagi, ale zły w duchowej strategji, bo mu strasznie odstręczył serca ludzkie; nigdy jeszcze u nas nie widziano, aby ktoś obracał kościoły na czysto-świecki użytek, aby śmiał pod samym ołtarzem, wylegać się, hulać z żołdakami, i krew Chrześcijańską przelęwać. Jeden z kronikarzy, mówi o nim z oburzeniem: «pierwszy to w Polsce, domów Bożych gwałciiciel». Nie poszczęściło mu też znieważone miejsce; poczciwy Henryk odegnał go zwycięzko, i przywrócił ołtarzom dawną cześć w kościołku, ale świątynia zachowała już odtąd groźną postać forteczki, a Krakowianie patrząc na nią, długo jeszcze niemogli się uspokoić nad Konradową bezbożnością.

Innym przybytkiem, budzącym inny rodzaj zgrozy, pomieszanej ze skruchą i łzami, był, strasznej pamięci kościół Świętego Michała na Skałce, niegdyś Katedralny, niegdyś w koło siebie skupiający wszystkie tętna stołeczne. Po tragedji zaszłej tam przed laty dwustu, miasto przerażone odsunęło się od krwawej widowni; Dwór przeniósł się ostatecznie na Wawel, Katedrę też wyniesiono z przybytku splamionego zbrodnią, i powoli gmach na Skałce znalazł się samotny, strzeżony tylko przez legendowe orły.

Ciągnęły tam wprawdzie bez ustanku szeregi pokutników, każdy tam poszedł aby się wyplakać, ale każdy uciekał ze ściśnioném sercem. Dla panującej zwłaszcza rodziny, okropnie bolesnym był widok miejsca, które ją pogrzyżyło w tyle zgryzot i upokorzeń.

Za to nadzwyczaj miłym był dla Piastów Krakowskich, wotywny kościółek Świętego Idziego, ofiarowany Panu Bogu jako podarek dziękczynny za narodziny Bolesława Krzywoustego. Dziś panujący Bolesław, nieraz cichaczem zchodził sobie z Wawelu, i w tych murach gorąco polecał się Świętemu, co tak chwalebne życie wyprosił jego pradiadowi.

Ale i w Katedrze Wawelskiej królowie mogli dobrze się modlić, mogli już się przed światem nie powstydić. Miała już prześliczne wieże, śmiejące się z ognia, bo pokryte ołowianą blachą, miała ołtarze i malunki, o złotych tłach, o niebotycznych figurach, które później padły ofiarą pożarów i najezdniczych rabunków, ale wtedy świeciły w całym blasku świeżości, i pobożnym duszom wydawały się objawieniem rajy. A co tej świątyni dodawało uroku, to że stała oparta na drugiej, podziemnej, na tej tajemniczej krypcie Świętego Leonarda, o której ludzie opowiadali dziwne rzeczy..... Przed każdym wielkim

wypadkiem w kraju, u jęj wejścia pokazywał się—jak mówiono—cień Chrobrego.

Przy Katedrze czerniał Zamek, już dosyć warowny, kiedy przed kilku laty — jak widzieliśmy — posłużył Henrykowi Brodatemu do zaprowadzenia nad całą stolicą. Mnóstwo lekkich, dodatkowych przybudowań, snuło się pod nim jak osobne miasteczko. Samo serce Zamku, mieszkanie monarchów, spiętrzone z kamienia ciosowego, sterczało wśródku ciemnym czworobokiem; w nim otwierał się dziedziniec turniejowy, obdziergany krużgankiem o niskich arkadach, z pod których migotały hallabardy strażników, i ciekawe oczy panien dworskich.

Wyjąwszy kościoły, i ową główną część Zamku, cały zresztą Kraków był drewniany. Dla Pana Boga i dla swoich królów, Krakowianie zdobywali się na kamień lub nowo-modną cegłę, sami jednak woleli po staroświecku mieścić się w modrzewiowych i sosnowych dworach. Wprawdzie z każdym pożarem, te mieszkania bez śladu nikły, ale miały dwie zalety, nieocenione pod niebem północnym: były suche i ciepłe.

Baszt ani wałów jeszcze nie wznoszono. Otaczać murami tak wielkie obszary, to się ludziom zdawało rzeczą nadto kosztowną i trudną, a zresztą po co? Kraj tamtejszy nie doświad-

czył był jeszcze żadnej klęski dosyć okropnej, aby miał zapragnąć tak ściślej obrony. Wojny ówczesne były to raczej wojenki; zamek bił się z zamkiem, xiążątko z xiążątkiem, a miasta szły za ich losem, łatwo niszczone, łatwo znów porastające w swoje drewniane pierze, i wszystko żyło z dnia na dzień.

Kraków zatem wyglądał na jakąś wieś ogromną, a raczej na całą gromadę wiosek, spędzonych do stóp Wawelu. Były tam i dworzyszczka i chałupy, i parkany i ogródki, i stajnie i chléwki. Oj, tych było podostatkiem, bo ówczesne podniebienia przepadały za zwierzątkiem Świętego Antoniego; największe święta obchodzono głównie obfitością tego mięsiwa, czego ślad nam do dziś dnia pozostał w *Święconém*.

Wszystkie te domostwa siedziały z fantazją, poodwracane wzajemnie od siebie, poustawiane pod najśmielszemi kątami. Nie wymyślono jeszcze w mieście żadnego urzędu, coby mieszał się ludziom do ich mieszkań, wytykał granice lub kierunek; to też właściwe *ulice* jeszcze nie istniały; były to jakieś przesmyki i węzły, krążące nakształt żył rozsiatkowanych.

Tak,—ale w tych żyłach tętniła krew gorąca, w tych dworkach kryły się wielkie skarby, przy tych niskich okienkach pracowały mistrzowskie ręce.

Musiał Kraków już i wtedy być miejscem niezmiernie ciekawem i przemyślnem, kiedy arab-

sko-sycylijski jeograf Edrisi, który w dwunastym wieku nakreślił Obraz świata znanego na ówczas, człowiek uczony i zazwyczaj dobrze świadom rzeczy, przy opisie Polski zaświadcza, że «Kraków posiada piękne gmachy, i wielu rzemieślników bardzo biegłych w rozmaitych kunsztach». — Jeżeli Arab tak pisał przed stu laty, cóż dopiero musiało się dzieć teraz?

Widok tój pomyślności sprawiał tём przyjemniejsze wrażenie, że całe to życie było czysto polskie. Cudzoziemskich kupców przejeżdżało dużo, stale osiadłych mogłes narachować. Wprawdzie, za swojskim żywiołem, szedł i swojski, słowiański nieład; wszystko było trochę odarte, mocno niezamiecione, tak prawda, — ale też poczciwe i serdeczne, — z czapką na bakier, — po krakowsku.

W godzinach dziennych, a zwłaszcza porannych, panował w tych wązkich sztych, ruch i gwar nie do opisania. Ludmiła, która nigdy pierwój nie widziała większego miasta, była z początku zupełnie odurzona. Nie wszystko jednak ją tu zachwyciło; po czystém tchnieniu szerokich widnokręgów, po rzeźwiących zapachach puszczy, powietrze miejskie wydało jój się zabójczém. Zwyczaj grzebania umarłych przy kościołach, samowolne rozmieszczanie jatek i garbarni, czyniły je rzeczywiście nieznośném, szczególniej teraz, w porze Adwentowój, kiedy rybne targi wszędzie się rozkładały. Że jednak młodość ła-

two do wszystkiego przywyka, nasza wiejska łowczyni prędko się pogodziła z Krakowem, dla jego ruchu, wesołości, a zwłaszcza dla jego cudnych kramów.

Teraz naprzykład, kiedy obie panie, po Mszy skończonej wyszły z kościołka Świętego Wojciecha, było na co patrzeć; wszędzie budy i budki pełne pokus, najwięcej sukienniczych; a jakie to sukna! Czerwone, zielone, granatowe, gładziuchne jak sarnia nóżka. A jeszcze pokuśniej-szy ten kramik narożny, gdzie wiszą złote krzyżyki, korale, bursztyny, Boże mój, czego tam nie-ma? A wszystko to oświecone różnym poran-kiem zimowym, co i kramy, i domy, i kościoły, poubierał w brylantowe wisiorki.

Tu, przez niskie okno, widać pracownię płatnerza. Siedzą tędzy chłopci, wygładzają stal czarną, złocą jelce wąsate. Między nimi stoi wysmukły elegant, w seledynowym płaszczu ze spiczastym kapturkiem, kręci głową i targuje miecz turniejowy, śliczny, śmigający, z rękoje-ścią wysadzaną turkusami.

Naprzeciwno, w gwarniej gospodzie, zchodzą się różni ludziska, jedni już zdyszani, spracowa-ni, inni, — próżniaki — ledwie wstali już im się chce śniadania. Gruby gospodarz krąży między nimi z kurzącym się dzbanem, z którego nale-wa ciepłe piwko. Żona jego, czupurna, rumiana gosposia, roznosi gościom grzanki smażone w ole-

ju, a każdemu zachwała że wyborne, bo «olej makowy».

Ludmiła byłaby chętnie stawiała przed każdym domem i przed każdym oknem, a tu trzeba spieszyć,—a znów i pośpiech trudny, bo przejścia zawałone pstrą ludnością. Mieszczanki różno idą z targu, w czapkach z uszami, otulone kożuszkami; za niemi dziewczki niosą kosze, z których wyglądają główki czosnku, ryby, i chude postne strucle.

Bogatsze panie jadą zakapturzone, każda na koniu siedzi za pacholkiem, paradując szubą kamelinową, podszytą kunami albo popielicami.

Gdzieindziej, tłum się rozstąpił przed wspaniałą kawalkatą; konie grube i sute, jeźdźcy jeszcze sutsi; to różni dygnitarze, Wojewody i Kasztelan; jadą na Zamek, do króla. Pewnie się odbędzie jakaś wielka narada, bo za niemi, na mniejszych konikach, jadą śliczni młodzieńcy w długim ubiorze kleryków, z kałamarzem u pasa; wiozą duże xięgi, i zwoje z wiszącymi pieczęciami.

Słowem, jest na co patrzeć.

Pacholik, co przed naszymi paniami niósł pierwój pochodnię, teraz torował im drogę, bez pytania rozpychając ciżbę. Ale przyszła chwila, kiedy już i pięści nie pomogły; na skrzyżowaniu

kilku najludniejszych uliczek, nieprzebyta przeszkoda zatamowała przejście.

Jechał wóz ogromny, obciążony materiałami do murów Panny Marji. Były na nim cegły, belki, kamienie, a na wierzchu leżały różne rzeźby, misterne krzyże, korony i palmy, już przygotowane do ozdoby filarów.

Przed wozem szedł djakon z wysokim krucyfixem. Po obu stronach, stąpali owi dwaj bracia, Seniorowie budowy, jeden jasnowłosy, pogodny jak poranek, drugi jak noc czarny i posępny.

U wozu nie było koni ani wołów, ale sami ludzie. Ze sto osób różnego stanu, płci i wieku, zaprzągłszy się rzędami do lin długich i grubych, ciągnęło go, śpiewając chórem Litanje. I nie byli to prości robotnicy, ale pięknie poumierani mieszczanie i mieszcanki, nawet kilku panów rycerskich, i co dziwniejsze, kilkoro strojnych dzieci.

Podobne widowisko, dziś niezrozumiałe, naówczas nikogo nie dziwiło. Przy budowaniu najślawniejszych Katedr, we Włoszech, w Niemczech, i u nas, uniesienie było tak powszechne, że i wyższe warstwy społeczeństwa pragnęły udziału w pracy; sam udział pieniężny nie wystarczał ich gorliwości, chciały dosłownie «przyłożyć ręki» do tych pomników religijnych i narodowych. Nie mogąc, a zwłaszcza nie umiając przyczynić się do samej roboty murarskiej, xią-

żęta i uczeni, rycerze i damy, wypraszałi sobie przynajmniej podrzędne usługi, jak naprzykład zwożenie materiałów. Taka praca, według pojęć ówczesnych, była zaszczytną, i tém chciwiej żądaną, że duchowni udzielali za nią drobne odpusty i pewne ulgi w postach, czego nawet pozostały wymowne pamiątki, jak naprzykład owa wieża w Rouen, która do dziś dnia nazywa się wieżą «Maślaną». A trzeba wiedzieć, że ten zaszczyt, nie każdemu i nie łatwo przychodził; xięża kierujący budową świątyń, stawiali ciężkie warunki; kto chciał należeć do podobnego zaprzęgu, musiał jawnie pogodzić się z nieprzyjaciołmi, wyprzysiądz się osobistej lub rodzinnej zemsty, co wszystko razem, przynosiło korzyść i sztuce i sumieniu.

Taki to wóz *amatorów* zastąpił drogę naszym paniom. W chwili gdy się najpilniej przyglądały, na zakręcie uliczki, koło zaczęło o narożnik parkanu, cały stos materiałów szczęknął, i w tém wstrząśnieniu, jedna z rzeźb na wierzchu położonych, upadła tuż pod stopami Elżbiety i Ludmiły. Była to przezroczysta korona cieniowa, z szarego kamienia wyrznięta.

Obie jednocześnie ku niej się rzuciwszy, jednocześnie ją podjęły, w górę podniosły, i z uszanowaniem znów na wozie złożyły.

Jeden z braci budowniczych,—ów jasnowłosy — który właśnie szedł po tej stronie, zwrócił

ku nim oczy łagodne jak niebo, i skłoniwszy głowę, powiedział:

— Dzięki w imieniu Najświętszej Pani.

Wóz ruszył, i znikł w zakrętach. Coraz ciżej odzywa się Litanja, coraz lżej brzmi stapanie tłumu, równo odmierzane rytmem śpiewu. Przejście zostało wolne.

Ludmiła, szybko już teraz podążając, zawołała z radością:

— Więc i myśmy przyłożyły ręki do świętego dzieła!

Elżbieta westchnęła i odrzekła:

— Prawda,—ale ten znak potwierdza słowa Ojca Pawła: Bóg nas łączy gałązką cierniową, i to jeszcze kamienną!

— Tém więcéj się miłujmy, jak Ojciec Paweł kazał. — Dodała Ludmiła, wszystko z różowej strony widząca.

Już téż i znalazły się w domu, gdzie gorącą polewkę spożyły jak najprędzej, bo już nadchodziła godzina *tercyi*, po naszymu dziewiąta z rana. Czas było Elżbiecie wybierać się na posłuchanie.

Miała przygotowany strój barwisty i kosztowny, ale odsunęła go, mówiąc:

— Nie,—jak widzę, naszej świątobliwej pani trzeba się czém inném podobać.

I wdziała suknię brunatną, którą tylko przyozdobiła krzyżem ametystowym.

Sierota, przyglądając ję się w zadumaniu, odpowiadała nieśmiało:

— Prawda, dziwnie świątobliwa pani, tak dziwnie, że mnie się to wszystko nie może w głowie pomieścić. Rozumiem: posłać jałmużny, obdarzyć, obsypać, to rzecz królewska. Ale samęj chodzić? Niedospać, niedojeść? Na co się to przyda i dla biędnych i dla nięj? A jeszcze trędowatych! Opatrywać ich rany, rozdawać im uściski, no, powiedz sama kochana Elżbieto, czy to nie za wiele?

— Mnie się owszem zdaje,—mówiła Elżbieta,— że owęj nieszczęśliwęj Brygidy, od wszystkich odstępionęj, żaden dar nie mógł tyle ucieszyć, ile ten jeden pocałunek, bo to była jedyna rzecz na świecie, której się już nigdy, od niko-go nie mogła spodzięwać, i sam Pan Bóg wyraźnie dał poznać, że mu się on podobał więcęj niżeli wszystko, kiedy właśnie przy nim okazał swoją cudowną łaskę.

Mówiąc, kładła futro, i Ludmiła wkrótce pozostała sama, trawiona niepokojem o swoje losy, co się w tęg chwili ważyły na Zamku.

Aż do powrotu Elżbiety, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zabawiała się różnemi marzeniami, naprzykład:

— Cobym ja tęg robiła, gdybym była królową?

Marzenie zwykłe u dziewcząt.

Możemy zaręczyć, że układ życia jaki sobie Ludmiła w myśli snuła, wcale nie był podobny do życia Xiężny Kingi, ale za to jaki precudowny, jaki rozśpiewany i roztańcowany!

Znagła, przyszła jój myśl okropna.....

— A cobym ja téż robiła, gdybym została jedną z tych żebraczek, co to siadują pod kościołem, starą, szpetną, może jeszcze i trędowatą?

— O, wtedy lepiej nie żyć! — Krzyknęła zrywając się z ławy. — Nierozumiem jak takie istoty mogą znosić życie, jeść, gadać, czasem nawet się i roześmiać? Nie daj Boże doczekać.....

Ale otóż i dwie godziny przeminęły, i Elżbieta wchodzi.

Sierota rzuca jój się na szyję.

— O, dziękuję! Dziękuję! Z tego pocziwego uśmiechu, już widzę że się wszystko udało.

— Jeszcze niewiem..... Za nic nie ręczę..... Królowa z początku słuchała mię dość niechętnie, oświadczyła nawet wyraźnie, że nie lubi mieszać się w żadne sporne sprawy, ani mężowi narzucać się z radą. Ale kiedy jój powiedziałam że chodzi o sierotę, zaczęła pilniej zważać, i w końcu przyrzekła pomoc.

Na tém się skończyło sprawozdanie Elżbiety. Co właściwie powiedziała królowej? Czém

ją potrafiła przekonać, nie szkodząc rodzinie męża? To zamknęła pod kłódką tajemnicy.

Prosiła tylko Ludmiłę, ażeby w postępowaniu z królem i stryjami, zechciała się zawsze do jej rad zastosować. Sierota z uniesieniem przyrzekła ślepą uległość, a potem zaczęła się ciekawie dopytywać: «jak też to wyglądają pokoje królewskie? Jak były ubrane panie Dworu? Czy królowa zawsze w grubiej, szarzej sukni?»

— Wszystko to sama zobaczysz, — odrzekła Elżbieta, — bo za trzy dni mam znowu stawić się na Zamku, i wtedy już nie sama, ale razem z tobą. Stroje znalazłam okazalsze niż się spodziewałam. Królowej nie mogłam prawie poznać, taki blask ją otacza, widać że się tam już nie może od niego wyprosić. A jakaż młodziuchna, a mój Boże! Gdyby nie rzadki wzrost i majestat, możnaby myśleć że to dziecko. Zdziwił mnie też sposób, w jaki ona i jej panie układają sobie włosy: oddzielają z nich pas osobny nad czołem, i tak dziwnie jakoś zaczesują..... Nazywa się to «Alagref», czy coś podobnego..... Mówiono mi, że na wszystkich Dworach, zwyczaj teraz każe się tak nosić.

— A więc i my spróbujmy, kiedy mamy bywać u Dworu! — Zawołała panienska. Wnet roztrzęsła grube kosy, i ze śmiechem układała je według nowiej mody. Chcąc zobaczyć czy jej z nią do twarzy, porwała małe, metalowe lustro, i skoczyła do okna. Właśnie przez ulicę

przebiegał jakiś jeździec,—przebiegł szybko, ani się obejrzał, jednak z jej ust wyleciał maleńki, przytłumiony wykrzyk.

— Co się stało?—Zapytała Elżbieta.

Ludmiła odrzekła: — Nic..... — Ale malinowy rumieniec wystąpił na jej lica, aż źwierciadko się zaróżowiło.

Dwór królowej Kingi.

Sala była wielka, a chociaż z kamienia budowana, przecie dziwnie ciepła, bo na wszystkich jej ścianach wisiały grube Normandzkie tkaniny, przerabiane w czerwone i niebieskie kratki; w głębi, na węższej ścianie, wisiał kosztowny kobierzec Arabski, czyli jak nazywano «saracynowy», który nietylko już chronił od chłodu, ale i oczy bawił cudnością swoich arabeskowych figlasów. Na całej podłodze leżał szary Nowogrodzki wojłok, jeszcze podkładany słomą, którą co tydzień odmieniano, a według wzoru danego przez innych pobożnych monarchów, słoma wyjęta, szła na sienniki dla chorych, do Szpitala Świętego Ducha.

W zagłębieniach pysznego pułapu, między sycerszczyzną dębowych belkowań, gnieździły się srebrne orły. W oknach, zasiatkowanych ołowianemi obrączkami, widniały szybki, wpra-

wdzie mdło świecące, bo ze szkła dość zielonawego, ale zabarwienie to nie było bez uroku, kiedy mimo śnieżnej zamieci, rzucało na salę światłość majową, niby zagajoną.

Od przeciwniej strony otwierał się nieodzowny komin, jeszcze większy niż ten któryśmy widzieli w zamku Żegnanieckim, i stokroć okazałszy, bo tu już nie wyglądał na kuźnicową pieczarę, ale raczej na tryumfalną bramę. Po obu stronach podpięrały go dwie ogromne figury kamienne, z których jedna wyobrażała Goljata, a druga Samsona; obaj ci siłacze podtrzymywali wystający daszek, nad którym na złotej tarczy namalowany był wążki rycerz, z chorągwią w jednem ręku, z wiadrem wody w drugim, z okrągłym napisem w koło głowy; ale i bez czytania napisu, każdy z samych godeł poznawał że to Święty Florjan, Patron od ognia, i szczególny Patron miasta Krakowa.

W głębi komina, za pozłocistą kratką, stały ogromne wilki żelazne, wyrobione rzeczywiście w kształcie wilków, a wyrób tak był sztuczny, że strach brał aby nie wyskoczyły na salę; wyraźnie im dokucza żarzewie w którym brodzą, fura dREW cięży im na karku; przysięgłbyś, że wycie wichru co huczy w kominie, wychodzi z tych paszczek rozdziawionych.

Od czasu do czasu, strojne pacholeta przykłękały przed kominem, a nabrawszy czerwonych węgli na łopatki, nosiły je po sali, sypiąc

bursztyń i drzewo sandałowe, z czego rozchodził się rajski zapach.

Trudno jest opisać wrażenie błogości, jakiej doznawali ludzie, co strząślszy się na koniu, nalykawszy się grudniowej zawieruchy, weszli do téj sali, otulonej, wykadzonej, wyzłoconej, gdzie żadna ściana nie raziła nagością, gdzie stopom było mięciéj niż na darni, gdzie nawet futro staowało się niepotrzebném. Dziś, przy niesłychaném rozpowszechnieniu wygody, krocie i tysiące rodzin żyją w podobnych rozkoszach, dawniej trzeba ich było szukać aż po królewskich domach.

W owéj chwili, dość liczne zgromadzenie cieszyło się temi rozkoszami; dość liczne, ale jakieś osobliwsze..... Na miłość boską! Cóż to za niedobrane towarzystwo? Monarchinie i panny dwerskie, wystrojone jakby święte obrazy, a między niemi prości chłopcy w kozuchach, z koszykami i jagniętami na ręku; przy nich znów panicze co się zowie, ubrani suto jak do ślubu, a pod kominem staruszek podobny do żebraka, ubożuchny, siwiuchny, oparty na kij, ze złotą obręczą nad głową. Po stronach, rozmaici królowie, ale jacy? Jeden oliwkowy, istny Indjanin, w paskowanej koszuli, z fontanną piór na głowie,—drugi, jeszcze większe dziwo! Czarnusień-

ki, zupełny murzyn w czerwonym turbanie, ukląkł bez ceremonji na samym środku sali, i trzyma otwartą szkatułkę. Niedaleko, jakaś dama w szkarłatach, z kręgiem filigranowych gwiazd przy skroniach, wyciągnęła ręce, stoi schylona, a nie wiedzieć nad czém, bo przed nią wszędzie pusta przestrzeń. Na stole, w fałdach purpurowej poduszki, leży malutkie dzieciątko, z ogromnemi złotemi kolcami w koło główki; nikt go nie pilnuje, bo też niemowlę dziwnie ciche, ani piśnie ani się ruszy. A tam podedrzwiami, ach patrzcie! Tam stoi szkielec, wyraźny przezroczyście szkielec, z kosą w ręku..... A co nakoniec najtrudniejszego do wiary, po stołach i po ławkach pełno ludzików ze skrzydłami! W obejściu tych osób także zachodzą niepojęte ostateczności: podczas kiedy jedne kręcą się, nawołują, i nieustannie znoszą jakieś przedmioty, inne stoją milczące i nieruchomiusieńkie, jakby je kto zaklął.

Wszelki duch Pana Boga chwali! Czy ci ludzie potracili zmysły, czy nie szanując Adwentu—już bawią się w maskary?

Ani jedno, ani drugie, ale przy nadchodzących Świątach, królowa ze swoim dworem ubiera «Jasełka».

Cóż to za pyszna zabawa! Pełna zabiegów i gorączki, bo wszystkie kościoły Krakowskie szykują takie widowiska, wszyscy mieszkańcy miasta przesadzają się w ich przystrajaniu, a kró-

lowa postanowiła, że Jasełka w Katedrze Wawelskiej muszą być najpiękniejsze, i pewnie słowa jej się sprawdzą, bo nie szczędzi starań ani kosztu; już od całych miesięcy, u biegłych snycerzy zamówiła posągi drewniane, mające przedstawiać Boskie Dzieciątko i Jego Matkę, Świętego Józefa co stoi pod kominem, Pasterzy i Trzech Króli, Heroda ze Śmiercią, i cały chór Aniołów. Wszystkim tym osóbkom ślicznie pomalowano twarze i ubrania, wedle których teraz, panie przykrawają i szyją drugie, prawdziwe ubiory. A nie ladajakie one będą: Xiężna Kinga na ich sporządzenie oddaje własne zasoby; kazała pootwierać skrzynie, które są istnym skarbcem, bo z Węgier przywiozła cesarską wyprawę. Najpiękniejszą swoją suknię, purpurową z perłami, włożyła Najświętszej Pannie, dla Króli idą świetne lamy, axamity, kosztowne pióra, wszystkie zaś owe gwiazdy i promienie są z *prawdziwego* złota; słowem, co się robi, to po królewsku.

A przytém jest w tych Jasełkach tajemnica, wielka niespodzianka dla mieszkańców Krakowa; oprócz Przenajświętszej Rodziny, której się tknąć nie śmiano, wszystkie inne osóбки ruszają się jakby żywe: Pasterze chodzą na kółkach, Królowie klękają na sprężynach, Śmierć macha kosą, Herod gubi głowę, Aniołkowie trzepocą skrzydłami, dziwy! Niech się Albert Wielki schowa ze swoim sławnym «Androidem».

W głębi sali, pod Arabskim kobiercem, był duży stół hebanowy, perlową masą wysadzany, dziwną sztuką mogący się składać i rozkładać; Xiężna Kinga przywiozła go z wyprawą, jako pamiątkę po matce swojej, cesarzównie Bizantyńskiej. Przy nim stały cztery krzesła tronowe, każde ze swoim stopniem i swoim baldachinem. Na jedném z krzeseł pod ścianą, siedziała Xiężna Grzymisława, matka panującego dziś Xięcia, wdowa po Leszku Białym, koronna różnemi koronami, bo i sama po śmierci mająca być wliczoną w szereg Błogosławionych, i szczęsna matka Salomei Świętej, i chlubna świekra Kingi Beatyfikowanej. Ciężkiemi doświadczeniami opłacić musiała na ziemi te niebieskie zaszczyty; podczas burzliwej małoletności syna, zacna Rejentka przeżyła wszelkie zgryzoty macierzyńskie, posunięte nawet w kilku chwilach do zupełnego męczeństwa; postawiona między dwoma opiekunami, Szlązkim i Mazowieckim, długo umiała w dziwnej swojej roztropności, trzymać z Henrykiem a nie obrażać Konrada; w końcu jednak, przez nikczemną zdradę ułowiona, wpadła w zasadzki złego Mazowszanina, który ją po lochach więził, i, o zgrozo! kazał przez różgi przepędzać!

Teraz, szczęśliwsze chwile dla niej błysły; widziała nakoniec syna panującego swobodnie, ożenionego tak świetnie jak mało który monar-

cha w Europie, pełnemi dłońmi zbierała owoce wdzięczności synowskiej, bo też Bolesław tak ją czczył i kochał, że choć pełnoletni, jeszcze nic bez jej rady nie przedsiębrał, i to nietylko dziś, ale do końca, przez szereg dwudziestu lat następnych, zawsze kazał na wszelkich aktach, na wszelkich przywilejach, kłaść imię matki obok swego.

Mogła więc w obecnej chwili uśmiechać się Grzymisława, ale był to uśmiech już zwarzony mrozami przeszłości. Niegdyś hoża i dorodna jak zwykle Rusinki, w troskach, w torturach, przedwcześnie zwiędła; cera jej pożółkła, włosy podsiwiały, a choć pięćdziesięciu lat nie doszła, już wyglądała na matronę; strój wdowi, białe obwicie w koło twarzy, jeszcze dodawały powagi.

Teraz, przymrużając obwisłe powieki, szyła czerwony kaftan dla Heroda, którego tułów nieszczemnie walał się pod jej tronem, z głową na haczyku wiszącą.

Przy niej, w jednym z bocznych krzeseł, siedziała Xiężna Kinga, przedstawiająca także, chociaż w ranniejszej godzinie życia, zjawisko przedwczesnej dojrzałości, bo niedawno szesnasty rok zaczęła, a już rozwinięciem umysłu mogła się równać z klerykami, nieugiętym hartem duszy mogła za wzór służyć rycerzom. Na Dworze ojcowskim odebrała wychowanie, które nietylko wtedy, ale i dziś jeszcze byłoby zadziwiające. Już w siódmym roku życia, przydano jej za ochmistra sławnego z mądrości Mikołaja Mykula;

ten kształcił ją we wszelkich naukach, i do języków jęj rodzinnych, Węgierskiego i Greckiego, przydał wyborną znajomość Łaciny, tak, że osobliwsza panienka,—gdyby nie skromność,—byłaby mogła dysputować z uczonemi w Bizancjum i w Rzymie. Ale królowna nie wdawała się w dysputy z nikim, tylko z samą sobą, z wszelkiemi skłonnościami i pokusami co mogły ją odwrócić od «królestwa nieumierającego», a pokus tych musiało nie brakować, bo ją Bóg obsypał tém wszystkiém, o co ludzie zwykli Go prosić. Piękność jęj była tak słynną, że nawet dziejopisowie, najczęściej starzy nudziarze, nie mogli o nięj zamilczć. Nic dziwnego, wszak pochodziła z owęj ziemi Węgierskięj, któręj córy, jedynym w dziejach zjawiskiem, połączyły w sobie wdzięki i Turańskich i Aryjskich plemion; a przytém Kunegunda, przez matkę idąca z Laskarysów, miała i niektóre uroki Greczynek, zwłaszcza owe ogromne, według wyrażenia Homera «wołowe» oczy Junony, których mimowolną dumę, usiłowała przyćmić pokorą rzęs wiecznie spuszczonych. Cera jęj była smągła, równa, zwykle bez rumieńców, tylko gdzieniegdzie zabarwiona gałązkami karmazynowych żyłek; usta koralowe ale wąskie, objawiały istotę niesmakującą w żadnych słodyczach ziemi. Na jęj włosach czarnych jak węgiel, oprawiających lica w dwie żałobne opaski, przylegał rodzaj mycki jedwabnéj, otoczonęj niskim, szerokolistnym djademem. Stanik gronosta-

jowy rysował jęj wciętą kibić; także futro obiegało u dołu suknię, szytą z ciężkiej materji żółtej w złote kwiaty, na której wstrzemięzliwa pani żadnych nie rozwiesiła klejnotów, oprócz grubego różańca z przydymionych topazów. Gronostajem także był podbity płaszcz axamitny, zrobiony tak zwaną «polską modą», to jest szafirowy w złote gwiazdy. Właśnie ten płaszcz spuściła z ramion, aby wygodniej zająć się robotą. Przed nią, na hebanowym stole, jakby żywy stoi Aniołek, w niebieskim ornacie, z tęczowemi skrzydłami, zawzięcie wygrywający na skrzypczkach, szkoda tylko że go nie słyhać. Królowa układa dla niego wianuszek ze srebrnych stokrotek, i co chwila mu go przymierza. Wianuszek zawsze za duży, spada Aniołkowi na szyję, a wtedy, pomimo wszelkich praw dworszczyzny i uszanowania, panienki wybuchają niepohamowanym chichotem, aż o dziwo! i sama Kinga zaczęła się śmiać śrebrzyście.

Widok zaprawdę rzadki. Królowę najczęściej widywano smętną i jakby spłoszoną; mogłóż być inaczej? Od dzieciństwa, kochała się w ubóstwie, a musiała żyć na tronie; chciała zostać mniszką, a kazano jęj przyjąć męża. Wprawdzie z latami, z żelazną wytrwałością, potrafiła zwalczyć wszystkie przeszkody, zastosować los do swojej woli, ale dziś jeszcze nie znała przyszłości, i drżała jak osoba co czuje, że na spadzistej drodze chybia powołanie.

Jednak młodość ma swoje prawa; przy Jasełkach młodziuchna królowa zapomniała o surowych troskach, i rozweseliła się jak proste dziewczę.

A wtedy cały dwór zajaśniał jakby od wstającego słońca, i nawet Xiężna Grzymisława zaczęła sobie przypominać młode lata, kiedy to wyszywała ów sławny pas dla męża, a stary Goworek przyrównywał ją do Penelopy.

Przy monarchiniach, na niskich ławeczkach, siedziały mężatki, wszystkie w płaszczach, w herbownych sukniach, olśniewające od klejnotów, starsze w białych zawiciach, młodsze w płaskich czapeczkach, nałożonych na lekką zasłonę; małżonki «komesów» i «baronów» miały w koło tych czapeczek cieniutkie korony, a raczej tylko prątki złote o różnej liczbie perłowych gałeczek, wedle dostojęstwa.

Najbliżej królowej siedziała Elżbieta; Kinga z przecuciem serc czystych, odgadła w niej od razu duszę miłą niebu, i lubiła ją widzieć koło siebie. Żegnaniecka pani, zachowując zwykłą spokojność, była na Dworze tak uśmiechnięta i swobodna jak pod własnym dachem, a sławna jej biegłość w igle, pozwalała jej teraz dzielnie się przyczyniać do ogólnej roboty, od której salla, jakby szwalnia krawiecka, była zasłana mnóstwem złotych i bławatnych strzępków.

Między damami siedzieli i stali Duchowni, w czarnych, zielonych, a nawet i czerwonych ubiorach. Najbliżej królowej stał Xiądz Maciej, z różowym uśmiechem, z pięknymi jak widać na ustach słowami, bo królowa co chwila wdzięcznie przytakiwała głową, a Xiężna Grzymisława aż położyła robotę, aby lepiej słyszeć.

Wśród tych wszystkich osób układnie siedzących lub stojących, dziwnie się odznaczała postać rozciągnięta na ziemi; był to pyszny młodzieniec, który przykląkł, a raczej położył się fantazyjnie na kilku barwnych poduszkach; ta postawa, jakiej by sobie w obec panujących nikt inny pewno nie pozwolił, jemu uchodziła. O! Jemu wiele uchodziło, bo to był poeta, ukochany damom i rycerstwu, mistrz Gaudenty, minstrel, od lat kilku bawiący przy Dworze Xiążąt Szlązkich. Jak wszystko na tym Dworze, mocno przeziął niemczyzną, fanatycznie wielbił Minnesingerów, i trudno mu się dziwić, oni wtedy na świecie trzymali berło natchnienia. Sprawiedliwie jednak mierząc wyrazy, trzeba przyznać, że nie tyle był Niemcem, ile kosmopolitą. Jeśli dla Dworu Xiężny Jadwigi składał czasem «Liedy», to dla uczonych umiał składać Łacińskie leoniny, a ilekroć z długich swoich wędrówek wrócił nad Odrę lub Wisłę, lubił śpiewać w rodzinnej mowie, i niejedną polską piosnkę wynalazł, według skromnego wyrażenia ówczesnych poe-

tów, którzy nazywali *sztuką wynajdywania* (l'art de trouver,) to co my chętnie nazywamy *tworzeniem*.

Może i w tej chwili znalazł jaką myśl szczęśliwą, bo milczał, i dumał, podparłszy skroń białą ręką. Ubiór jego był obcisły, za to głowa suto wyglądała: ogromne pukle czarnych włosów spadały mu na ramiona, a z pod pukli obwisał rodzaj różowej pelerynki, powycinanej w długie, wąziutkie jęczyczki, z których każdy zakończył się srebrną kulką. Ubiór ten został później sponiewierany przez trefnisiów, ale wówczas jeszcze był rzadkim, i uchodził za sam kwiat dobrego smaku. Cudnież bo istotnie wyglądał mistrz Gaudenty, kiedy na idącym albo śpiewającym, te wszystkie wstęgi chwiały się jakby skrzydła, a srebrne kulki dzwoniły, przygrywając jego złotym słowom. Nie była to jedyna przygrywka: oto na piersiach ma opartą cytę, niewielki trójkąt z ośmioma strunami, na którym czasem roztargnioną ręką pobrząkuje, spoglądając, to na siedzące damy, to na panienki skupione pod ścianami, a do których przyłączyło się kilkunastu młodzieńców, tak giermków jak rycerzy.

Tam wre wesołość! Panny, bez płaszczów, kwiecisto wyglądające w jasnobarwnych sukniach i wieńcach na głowie, szykowały dla starszych pań robotę, czasem i same coś upięły lub zszyły,

a młodzieńcy podawali nożyce, jeden z nich ofiarował się nawlec igłę, czego nie mógł od godziny dokonać, niewyczerpana przyczyna do przekomarzań się i śmiechu.

Jedna tylko panna była cicha i zalękniona, to Ludmiła. Śmiała na koniu w szczerém polu, na dworskich kobiercach szła z obawą. Wprawdzie królowa przyjęła ją łaskawie, ale jeszcze niewiadomo jak ją król przywita? A przytém, znalazł się w sali ktoś dawno niewidziany, którego obecność odjęła jój odwagę. Michał Przedwojowic posłyszał gdzieś aż w Lubelskiém, że dla uczczenia Xiążenia Henryka, ma być po Świątach wyprawiony Turniej na Zamku Wawelskim, i ta wieść go ściągnęła do Krakowa. Przyszedł właśnie prosić, aby jego imię wpisano w poczet walczących, i wnet uderzyła go postać Ludmiły, która dziś zwracała ogólną uwagę, nie tylko jako piękność, ale jako nowość, co wszędzie, a zwłaszcza na Dworach, najwięcej popłaca. Wkrótce téż, nie wiedzieć przez kogo podszeptnięta, gruchnęła wieść o jój bogactwach, i wnet wszyscy panicze zaczęli się garnać do nowo-przybyłej. Byli między niemi i nieszeptni, i dowcipni, a wszyscy tak ubrani że mało wać. Jak zazwyczaj młodzi strojnisiowie, zarzucali odwieczny krój ubiorów narodowych, dla mód wprowadzanych przez rycerstwo zachodnie, któremu wszystkie zamki i Dwory Europejskie

były jedną wspólną ojczyzną. Włosy mieli wiszące w okół głowy, kwadratowo ścięte w pół czoła. Szata ich zwierzchnia pływała swobodnie, tworząc tunikę niedosięgającą kolan; była z miękkiej tkaniny, a na jej tle powyszywane, kraśniały różne prześliczne dziwolągi, mające wyrażać upodobania lub życzenia tego co je nosił. Najczęściej były to pawie i bażanty, ptaki czczone w zakonie rycerskim, jako święte i tajemnicze godła. Inni, dumni swoim szczęściem w miłości, mieli na sukni salamandrę. Inni, pogardzeni przez wybraną piękność, nosili się w kirach nakrapianych srebrnymi łzami, istne karawany. Przedwojowic miał tunikę białą, wyszywaną w złote skrzydełka, a gdy go pytano o znaczenie tych skrzydeł, mówił że wyrażają wolność jego serca, które dotąd nigdy nie było usidlane, ale mówiąc to, wziął nitkę z rąk Ludmiły, i zadzierzgnął ją sobie na szyi.

Panna Agnieszka, opiekunka wszystkich strapionych, spostrzegła ciągle rumieńce i zakłopotanie Ludmiły, a litując się nad niedoświadczeniem wiejskiego dziewczęcia, postanowiła ją bawić i ośmielać. Wziąwszy się z nią pod rękę, pokazywała jej ciekawości nagromadzone w sali. Były to rzeczy tak niezwykle, że panna patrząc na nie, jeszcze bardziej oniemiała.

Między oknami wisiało «Horologium», prawdziwy zegar o zębatych kołach, co sam cho-

dził, i—rzecz dziwniejsza—sam wybijał godziny. Jeszcze Iwo Odrowąż przywiózł go z Paryża. Wielkie to szczęście że dotąd się nie popsuł, bo nikt w Polsce nie byłby potrafił go naprawić. Miał dwa cyferblaty, jeden nieruchomy, z cyframi dwudziestu czterech godzin, drugi mniejszy, kręcący się, przekręślony czerwonym krzyżem, którego wierzchołek stanowił wskazówkę. Nad skrzynią zegaru wychylała się głowa smoka, który ze srebrnozębnej paszczęki, wyrzucał co godzina tyle gałek, ile razy miał zegar uderzyć. Gałki te z brzękiem spadały w miedzianą rynienkę, z kąd co wieczór napowrót wkładano je do smoczej głowy.

Pod zegarem stały pułki piętrzące się jakby schodki, sprzęt wówczas nieodzowny w każdym domu gdzie miano się czem pochwalić. Tu leżały same precjoza: miednica Bizantyńska czerwono-pozłacana, z figurami czarno-ryszowanemi, a pewnie świętami, bo ich usta były oznaczone nie kręską ale krzyżykiem, — psalterz królowej, pisany po łacinie na fioletowych kartkach, miniaturami przekładany; możnaby nad każdą siedzieć i godzinę, a tu inne przedmioty odciągają oczy: ta naprzykład szkatuleczka z Limuzyńskiej emalji, gdzie na tle złotem stoją zielone i szafirowe osoby, — albo te cudne szachy, w które król zawzięcie lubi grywać; podobno są Arabskiej roboty, jedna połowa z czarnego onixu, druga z białego kryształu, szachownica z ja-

kichś drzew zamorskich. A jeszcze ciekawsze to zwierciadełko okrągłe, nie metalowe, ale prawdziwie zwierciadlane, Weneckie. Panna Agnieszka pokazując je Ludmile, dodała:

— Nasza królowa nigdy nie może patrzeć na to szkło bez wzruszenia, bo to pamiątka po jej ciotce, tej niezrównanej Elżbiecie Landgrafowej Turyngskiej, którą przed laty Ojciec Święty kanonizował. Zapewnie, moje dziecko, słyszałaś o tym pysznym obrzędzie? Towarzyszyły mu dziwne, rzadkie okoliczności: rodzone dzieci Elżbiety, i to jeszcze malutkie, szły za relikwiami własnej matki; Cesarz Fryderyk, ten sam co to się niegdyś napróżno starał o jej rękę, szedł z koroną na głowie, a bosem nogami, aby pokazać, czém ziemskie korony są obok niebieskiej. Otóż patrz: to zwierciadełko, nasza Święta otrzymała przed ślubem od przyszłego męża, a Landgraf jako człowiek rozumny, dobrze wiedział że nie ucieszy narzeczonej znikomem świecidełkiem, cóż więc wymyślił?

Tu panna Agnieszka przycisnęła guzik, i pokazała że lusterko ma dno podwójne, a na drugiem denku była wymalowana precudna głowa Chrystusa.

— Mądry człowiek, nieprawdaż? To jakby chciał powiedzieć, że na dnie każdej myśli ziemskiej, powinna spoczywać myśl o Bogu.

— Ba! Jeszcze co innego chciał powiedzieć.—Wtrącił Przedwojowic, który nieznacznie

podążył za dwiema pannami. — Filut Landgraf, przecież wszystkim wiadomo, że miał twarz zadziwiająco podobną do twarzy Chrystusowej, więc umieszczając ten święty wizerunek, umieszczał trochę i własny.

Pannie Agnieszce nie w smak poszły objaśnienia młodzieńca. Chcąc odwrócić uwagę, wzięła inne puzderko, może najciekawsze, bo rozpowiadające dzieje osób obecnych. Był to także dar ślubny, klejnot którym Xiążę Bolesław powitał królownę Kingę, kiedy mu ją przed rokiem z za gór przywieziono.

I my, razem z Ludmiłą, możemy na własne oczy podziwiać ten podarek, bo do dziś dnia leży on, przechowany w Sądeckim klasztorze; jest to sztuciec stołowy. Kosztowny jego wyrób zastanawia bujnością, a razem i niejednolitością fantazji, która sobie wyraźnie jakichś nowych dróg szuka. Wszystkiego tam jest po troszku: są przypomnienia klasyczne, (rzecz dziwna w owym czasie,) naprzykład Grecki Centaur, już to — ma się rozumieć — przerobiony po średniowiecznemu, komicznie. Są i pomysły czyisto osobiste, może podsunięte artystom przez Bolesława samego, który także — jak się zdaje — umiał być fluternym; na łyżce krwawnikowej, rozkwitają listki podobne do ślubnych mirtów, a na trzonku od grabek, wyciętym z jednego ametystu, wśród gotyckich filigranów czają się gołąbki, i — o zgrozo! figurki mocno podobne do

pogańskich Amorków. Najmilszym dla oblubienicy musiał być trzonek od noża, przedstawiający według Litanji, «Wieżę z kości słoniowej». *Pozdrowienie anielskie* wyryte na jej blankach, mogło i w chwili biesiady naprowadzać myśli pobożne, a współczesnym przypominało może i owo cudowne *pozdrowienie dziecięce*, owe słowa: «Witaj Marjo, Matko Króla anielskiego!» które na podziw świata, małeńka Kinga miała jeszcze w kolébce wymówić.

Używanie grabek, dotąd mało rozpowszechnione, świadczyło wymownie o wysokim rozwinięciu wykwintności na Dworze Krakowskim. Ludmiła, która nigdy nie widziała podobnych widełek, zaczęła nieufnie kręcić głową, pytając, jak to zrobić, aby sobie ust nie poprzekłuwać?

Ciekawe oględziny zostały nagle przerwane przez królowę, która zawołała:

— Agnieszko! Słuchaj-no moja kochana, co mi tu Xiądz Maciej opowiada o Xiężnie Jadwidze. Czego też ta osobliwsza niewiasta nie wymyśli dla nieszczęśliwych! Zgadnij, co ona więźniom nosi? No, wszyscy zgadujcie.

Wnet całe zgromadzenie ścisnęło się w kółko, i każdy zaczął podawać swój pomysł; jedni wymieniali różne rodzaje monety, inni pokarmy lub ubrania.

Królowa ciągle dawała głową znak przeczący.

— Nie, jeszcze—ście nie zgadli. Cóż dla więźnia zamkniętego w podziemiu, w ciemnicy, jest największém dobrodziejstwem? Światło! Ona im daje—świeće.

— Świeće! Świeće!—Powtórzono do koła.— Ach prawda, to największe dobrodziejstwo, dla ludzi co zapomnieli jak słońce wygląda, co nawet często nie znają twarzy swoich towarzyszków niedoli.

— Ach, jak oni ją muszą błogosławić! — Wtrąciła Grzymisława, z głębokiém przekonaniem osoby, co dobrze zna męki więzienne.

Panna Agnieszka aż się w czoło uderzyła, wołając:

— A że też to nam, nigdy na myśl nie przyszło!

— Ha! -- Szepnęła Kinga, — trzeba teraz przynajmniej korzystać z przykładu, i zacząć zaraz, od jutra.

Tymczasem rozmarzony mistrz Gaudenty, podniósł ku królowej mdlejące źrenice, i rzekł z westchnieniem:

— Ach! Bywają więźniowie, zamknięci w przymusie i milczeniu, twardszém niż kamienna wieża. Dla nich, jedno spojrzenie byłoby taką świecą, ulaną z wosku rajskich kwiatów.

Królowa nie podniosła oczu; owszem, usta jej zacisnęły się nieznacznym fałdkiem surowo-

ści. Wedle przywileju monarchów, którzy mogą rządzić wszystkiém, nawet i rozmową, na pytanie odpowiedziała pytaniem:

— Cóż mistrzu, czy dziś nic nie usłyszymy? Powietrze Krakowskie nie musi ci służyć, kiedy milczysz jak słowik po Świętym Wicie?

— Owszem, — odrzekł minstrel, — powietrze Wawelu miłsze mi jest niż Włoskie i Prowancie, niż wszelkie na świecie, najprzód że ojczyście, powtóre..... że przynosi piękne myśli. Właśnie temi dniami złożyła mi się piosenka *O Rycerzu i Mniszce*. Lubię ją, bo i smutna i niesmutna, a prawdziwa,—wysnułem ją według powieści starego Krzyżowca, którego przed laty spotkałem w Bolonji.

— Spodziewam się, że ją usłyszymy?—Poprosiła Xiężna Grzymisława.

Na to hasło, wszyscy goście rzucili się do Gaudentego.

— Ach mistrzu, zaśpiewaj nam «o Rycerzu i Mniszce», już tak dawno nie śpiewałeś. Prosimy!

Mistrz Gaudenty, podrożywszy się ile przystało, poprawił poduszki, usiadł w postawie bardzo wdzięcznej, i cichutko przygrywając na cytrze, w pół wypowiedział, w pół wyśpiewał piosenkę, którą tu podajemy w mowie nieco zmienionej, bo polszczyzny trzynastego wieku nie zniesli by dzisiejsi słuchacze.

Piosenka o rycerzu Silentiusie i Mniszce Reginie.

Złe rycerz wybrał swoje kochanie.
Błada Regina włosy obcina, —
Wchodzi do celi, — w celi zostanie.
Ach, nieszczęśliwa godzina!

Każdej Niedzieli stawał w kościele,
By ją przynajmniej widzieć za kratą.
Lecz go skarala w pewną Niedzielę.
Ach tak, skarala i za to!

Kratę zakryła zasłoną białą,
Z dołu do góry zakryła płótnem.
— «Czyż i spojrzenie cię obrażało?
«Cóż złego w spojrzeniu smutném?»

Owój Niedzieli wrócił się z progu.
Co tu rycerzu masz robić dłużej?
— «Pójdę ja służyć dobremu Bogu,
«Któremu Regina służy.»

Mężnie Silentius szedł na Krucjatę —
Ale mu Arab zadał trzy rany —
Za kratę wsadził — (także za kratę!)
I ciężkie włożył kajdany.

Dziesięciu katów zeszło się razem.
Okropne męki.... Straszna pokusa....

Palili ogniem — piekli żelazem —
— «Zaprzyj się Pana Jezusa!»

— «Regino, usłysz! Ja wzywam ciebie!
«Módl-że się za mnie w twoim klasztorze,
«A jeśli zmarłaś, pomódl się w niebie.
«Już nie wytrzymam o Boże!...»

Ledwie zawołał, sen go ogarnia.
Gdy się rozbudził, patrzy zmieszany....
— «Gdzie to ja jestem?» Znikła męczarnia.
Na ziemi leżą kajdany.

Poznaje drzewa ojczyzny swojej.
Klasztorna wieża dzwonem go wzywa.
Przed nim Regina w światłości stoi.
— «Regino! Czyś ty nieżywa?»

«Chyba nie żyjesz, kiedy na głowie
«Masz krąg, jaśniejszy od gwiazd i słońca?»
— «Owszem, ja żyję,» mniszka odpowie,
«Ale żywotem bez końca.

«Złóż te okowy na moim grobie,
«I dziękuj Bogu miłosiernemu.»
Skończyłem. — Teraz popłaczę sobie....
A czemu? Nie powiem czemu.

Skończył mistrz Gaudenty, i oczy ręką przy-
słonił. Czy rzeczywiście płakał, wątpimy, — za-

pał publiczności nie pozwolił mu się długo rozrzewniać. Zapał ten wybuchął, jak wszystko w owym czasie, wulkanicznie. Mężczyźni krzyczeli i ściskali śpiewcę, damy powstawały z miejsc swoich, klaszcząc w opierścienione rączki.

Jedna z pań, młoda mężatka o wyzywczych oczach, zerwała ze swoich skroni przepaskę chryzolitami nasadzaną, i włożyła ją na głowę minstrela. Ukoronowany pokłonił się uprzejmie, ale wnet skromnym ruchem zdjął klejnoty z czoła, i zwróciwszy się do królowej, ciągle plotącej anielski wianuszek, wymówił nieśmiało:

— Wolałbym te stokrotki.

Królowa ruszyła ramionami wpół gromiaco a wpół żartobliwie, i rzekła:

— Co dla aniołów, to nie dla ludzi.

Tu rozmowa została przerwana wejściem nowej osoby.

Na wysokim progu drzwi wchodowych, ukazał się zakonnik w brunatnym habicie, powrozem przepasany, z twarzą młodą, ale już tak zawiedłą, że zdawała się pół-przejrzysta jak przydymione topazy królowej.

Wszyscy zawołali radośnie:

— A! Braciszek Benedykt!

Elżbieta z niezmierném podziwieniem podniosła obie ręce, półgłosem wymówiła:

— Władzio!

I po twarzy jęj przeleciał rumieniec, nikły jak na kwiecie jabłoni.

Ludmiła podbiegła do jęj ławki, pytając:

— Któż to taki?

— Ach, to ten sierota, co się w naszym domu wychowywał z mojami braćmi. Nie wiedziałam że został mnichem.....

Xiążęta ziemscy i niebiescy.

Więcej nie mogła powiedzieć, zagłuszona szmerem podziwienia, jaki powstał na osobliwsze wejście Braciszka Benedykta; niezaprzeczenie osobliwsze, bo choć to na Dworze, ani się pokłonił królowej, ani się z nikim witał, ale prosto z progu, skoczył do Dzieciątka leżącego na purpurowej poduszce, wołając:

— Boziu moja! Niechże Cię uwielbię, moja biedna Boziu, co chciałaś zakosztować i głodu i chłodu, przekonać się osobiście czém to bięda pachnie. Teraz, to Ci ludzie kładą szkarłaty pod głowę, ale tam w Betleem tak nie było, tam Cię słoma kłuła w nożyny.

I mówiąc, składał gorące pocałunki, na różowo malowanych nóżkach.

Dzisiejsi widzowie zgorszyli by się taką sceną. Goście królowej Kingi nie gorszyli się wcale, najprzód z powodu, że Braciszek całując dre-

wno, miał dwie niezaprzeczone łzy w oczach, powtóre, że to był Franciszkanin, a przecie po kochanych «Fratres minores» wszystkiego spodziwać się można.

Jeden z mistyków opowiada, że na różnych stopniach niebieskich, anieli są coraz więksi, coraz mędrsi i potężniejsi; ale w *najwyższém* niebie zachodzi nagła odmiana: aniółowie tego najwyższego nieba wydają się «*jakby małe dzieci,*» i ci właśnie są najbliższemi Boga. Wielka to prawda, nietylko w niebie ale już i na ziemi; ludzie najdoskonalszój cnoty, mają w sobie coś dziecinnego, drugie dziecięctwo, odzyskane po drugich narodzinach duszy.

Takim był Święty z Assyżu, najdziwniejszy zaiste Apostoł miłości, ogarniającej nietylko Boga i ludzi, ale całe przyrodzenie, miłości posuniętej do świętego szaleństwa, do zachwycających dzieciństw, miłości która sprawiała, że całował drzewa, rozmawiał z ptaszkami, na gwiazdę, robaczka, nawet na kamień, wołał «siostrzyczko» i «braciszku», a ile razy wymówił imię „Jezus“, klaskał ustami, i oblizywał się jakby po najśłodszy przysmaku.

Teraz, ledwie kilkanaście lat upłynęło od chwili jak pożegnał ziemię; zakon jego jeszcze był na wskrós przejęty wulkanicznym duchem założyciela. Kiedy uczniowie Świętego Dominika żyli głównie w towarzystwie ludzi uczonych

i porządnym, zdumiewali grzmotami lub kwiatami najwyszukańszą wymowy, pracowali nad przekonaniem kacerzy, nad przedysputowaniem Uniwersytetów,— tymczasem Braciszkwie Świętego Franciszka przemawiali do gminu, do kobiet, do ludzi lekko żyjących; pospólstwo za nimi przepadało, bo mówili jego językiem, krotkochwilnym, dramatycznym, czasem nawet cynicznym; prostaków rozczulali, tyranów rozmarszczali, graczy i lichwiarzy bawili rubaszością swoich konceptów; mieli dość odwagi cywilnej, aby narażać się na wszystko, nawet na pośmiewisko, byle zwrócić uwagę złych i głupich, byle w myśl ich trafić, przekonani że raz to sprawiwszy, prędzej czy później trafią im i do serca.

Z biegiem czasu, porywająca ich władza, jak wszelka władza wykonywana przez ludzi, uległa niejednemu zfałszowaniu, zamroczyła się i osłabła, ale w owym czasie była właśnie u szczytu potęgi, u źródlanej czystości pierwszego wytrysku. W Polsce zwłaszcza, gdzie dotąd bawiła niewielka jeszcze liczba Franciszkanów i Dominikanów, każde ich zjawienie się, czy to w kościele, czy na ulicy, czyli w jakim domu, budziło zapal i ciekawość, tém żywszą, że to byli sami luminarze, wybrańcy prawdziwego powołania. I ten Braciszek Benedykt, dziś młody, w Krakowie tylko znany, miał kiedyś imieniem swoim napełnić świat Chrześcijański. Przyjdzie czas, kie-

dy jego żywotopisarze, do skromnej nazwy *frater Benedictus*, dodadzą wielkie słowo: *Beatus*.

Teraz, przyszyły „Beatus“, nacałowawszy się drewnianych nówek, potoczył oczami w koło sali, zbliżył się do monarchiń i przeproszał:

— Wybaczcie, łaskawe króloweczki, że nie pokłoniłem wam się zaraz, aleć przecie musiałem najpierw przywitać się z Królem królów, kiedy Go tu na wielki mój podziw zastaję. Ba! Jakie też ze mnie gapiątko, żeby się dziwować.... Wszakci On tu jest nietylko w tej laluni, ale wszędzie, wszędzie, nawet w nas samych! Wszak powiedział: „gdzie was kilku się zejdzie, tam i ja będę,“ ach.... tylko pomyślcie, Bóg jest między nami!

Braciszek mówiąc to, zapalił się jakby do wielkiego odkrycia, i rzeczywiście, dla wielu z pomiędzy zebranych, ten wykrzyk wydał się nowiną, niejedna pierś rozkosznie wzdęta opadła, niejedno niebezpieczne spojrzenie zagasło, wszystkich nagle ogarnął inny jakiś nastrój, a mówca obejrzał się do koła, i zapytał:

— A może Go tu i niéma? Ach jaki-bym ja był wdzięczen temu, coby mi powiedział gdzie Pana Boga niéma? Bo czasem, kiedy wspomnę ile nabroiłem, ogarnia mię taki wstyd, a przytém i taki strach, że chciałbym się schować przed tym Sędzią, a doprawdy niewiem gdzie? Spojrzę na niebo? On tam świeci, że aż oczy bołą.

Pojadę na morze? Jego duch unosi się nad wodami. Pójdę w najgłębszą puszczy? A tam listki, i dzięciołki, i echa, pukają: „Puk.... puk.... Bóg.... Bóg....“ Zejdę we wnętrzości ziemi? A tam umarli przewracają się, mówiąc: „Spieszmy się ztąd, na sąd.... na sąd....“ Ach Boże, gdzie przed Tobą uciec?

Nagle, wzrok jego zatrzymał się na młodzieńcu, stojącym ponuro pod ścianą; był to rudy Rynhold, z kosmi oczami, sławny zawadziak i koster; bano go się w Turniejach, bo i dla zabawki zabijał, matki mu złorzeczyły, bo im synów psuł i ogrywał, ale że był wysokiego rodu, wszędzie musiano go przyjmować. Braciszek wyciągnął ręce z radością, podbiegł i rzucił mu się na piersi, wołając:

— Ach, tu już chyba Pana Boga niema? Tu przecie się przed Nim schowam....

Rynhold zdziwiony, i wszystko to za żart biorący, przycisnął go jakby kleszczami, aż Braciszek wyrwał się, krzycząc:

— Przegrałem! I tam jest! Młodzieńcze, i ty masz Boga w sercu, kiedy zamiast się obrazić za moje krwawe słowo, jeszcze mię uściśkałeś!

Cała sala wybuchnęła okrzykiem i poklaskiem. Zmieszał się młodzieniec,—nagle zrozumiał straszne upokorzenie zawarte w tym tryumfie, poczerwieniał, spuścił oczy, i cicho wyszedł z sali.

Nikt się w tém towarzystwie nie dziwował osobiwościom Braciszka; jedna tylko osoba dziwowała im się w duszy niesłychanie, to Elżbieta. Ona go znała takim zupełnie innym! Patrzyła, i nie mogła oczom wierzyć.

On dotąd jej nie poznał, a raczej nie widział. Wierny przepisom swojej reguły, nie podnosił oczu na córki Ewy. Teraz jednak, wracając do królowej, spostrzegł Elżbietę, stanął jak wryty, przeblysł ludzkiego wzruszenia przeleciał po jego wyschłych rysach, ale wnet zagasł, i Braciszek zawołał wesoło:

— A! Siostrzyczka Elżbieta! Przepraszam..... Pani Elżbieta..... Może już się nie godzi nazywać siostrzyczką?

— A czemuż by się nie godziło? — Odrzekła.—Wszak to najświętsza nazwa, tém świętsza, że ten którego dawniej tylko przez żart nazywałam *braciszkiem*, teraz na prawdę nim został.

— Więc wy się znacie?—Pytała królowa.

— A jakże! Ojciec Pani Elżbiety, (święć Panie nad jego zacną duszą!) był moim dobroczyńcą; chowałem się w jego domu, miłowałem ich wszystkich jak syn i brat rodzony.....

— A śliczny mi brat! — Przerwała z uśmiechem Elżbieta. — Niech sobie Wasza Królewska Miłość wystawi, jedną razą, bez powodu, jakby syn marnotrawny wyszedł z naszego domu; nawet nie chciał zostać na moje wesele, i jak wy-

szedł, tak nie wrócił. Od owéj chwili, lata upły-
nęły. Dziś dopiero po raz piérwszy go widzę.

— I cóż to się stało?—Pytała ciekawie Xię-
żna Grzymisława.

— Co się stało?... Co się stało?....—Pomru-
kiwał Braciszek. — No, już jeżeli kogo pytać, to
nie mnie. Po ślubach zakonnych, człowiek zu-
pełnie zapomina przeszłości, jakby ręką odjął.
Zresztą, czy to koniecznie trzeba zawsze gadać?
Czyste dusze, w niewinności milczenia rozumieją
się lepiej, niż w obfitości słów ludzkich. Oto na-
przykład, Braciszek Serenikus, co niedawno do
nas przybył z dalekich krajów, opowiadał mi
coś podobnego o królu Francuzkim Ludwiku,
chwalebnie dziś panującym. Ten Król poczci-
wy nie mógł się uspokoić z żalości, że mu Pan
Bóg nie pozwolił już spotkać na téj ziemi na-
szego Patryjarchy, naszego Serafina z Assyżu.
Chcąc przynajmniej poznać jego najlepszy wize-
runek, wybrał się w odwiedziny do Brata Egi-
djusza, co był najukochańszym uczniem Święte-
go Frańciszka. Ubiéra się król w szare sukno,
puka do klasztoru, i każe powiedzieć, że „piel-
grzym nieznamy, prosi o słówko rozmowy
z Bratem Egidjuszem.“ Temu, zaraz wewnętrzna
wizja objawia, co to za jeden jest ów pielgrzym?
Wychodzi na jego spotkanie. Chociaż się nigdy
nie widzieli, obaj téjże chwili padli na kolana,
i w uprzejme ramiona się objąwszy, zamienili
uścisk serdeczny, jakby najstarsi przyjaciele. I tak

długo, długo klęczeli, ale mówić, nic nie mówili. Aż pokłęczawszy czas niemały, z wielkiem nabożeństwem i wielkimi oznakami braterskiej miłości, wstali i rozeszli się we dwie strony, król do swojej stolicy, mnich do swojej celi. — Kiedy inni Bracia odkryli, że to król był w ich klasztorze, i tak został z niczém odprawiony, poszli do Egidjusza, skarżąc się i utyskując: «O Bracie Egidjuszu, jakże mogłeś gościa, i to takiego, nawet jednem słówkiem nie przywitać?» A ten odpowiedział: «Nie dziwcie się kochani Bracia. Po co ja miałem przemawiać do niego, albo on do mnie, kiedy właśnie w chwili gdyśmy się uścisnęli, światło miłości Boskiej roztworzyło przedemną wewnątrz jego serca, a przed nim wewnątrz mojego? Patrząc tak w nasze serca, rozumieliśmy daleko lepiej co każdy miał do powiedzenia, i czuliśmy nierównie więcej uciechy, niż gdybyśmy to wszystko wymawiali ustami, bo mowa ludzka nigdy nie potrafi oddać wszystkich tajemnic Bożych.» — Tyle mi opowiedział Braciszek Serenikus, a ja ze słów jego wyciągnąłem sobie ten Obrok duchowny: Dużo miłowania a mało gadania, to klucz do czystości serca, to sekret wszelkiej przyjaźni. A przyjaźń, bracia najmilsi.....

Tu Braciszek Benedykt podniósł głos i ręce, jakby przemawiał z ambony.

— Czy chcecie usłyszeć maleńką, malusienką Naukę o Przyjaźni?

— Chcemy! Chcemy! Prosimy!

— A więc jest oto zaraz, na ciepło, prosto z serca podana:

Króciutka Nauka o Przyjaźni.

Przyjaźń, to rzecz wielka, o której ludzie za mało dotąd mówili. Wprawdzie król Salomon powie łział: «Kto znalazł przyjaciela, skarb znalazł» — ale ja, mizerny Marchołat, odpowiem: — Przekacny królu, i to mało. Przyjaźń, *Primo*: jest nieomylna w szacowaniu ludzi, bo jeszcze nie widziano nigdy *prawdziwej* przyjaźni między złym a dobrym. *Secundo*: Przyjaźń jest zawsze z przyrodzenia swego niewinna, bo tam nawet gdzie wszelkie inne uczucie jest wzbronione, tam jeszcze przyjaźń pozwolona. *Tertio*: Przyjaźń ma w sobie coś wiecznego, bo nietylko nie lęka się czasu, zbrzydzenia, spowszednienia, zestarzenia, ale owszem z czasu czerpie siły i piękność; im starsza, tém lepsza. *Quarto*: Przyjaźń jest wolna jak nikt w świecie, prawdziwy „liber baro,“ bo nie zależy ani od ustaw ludzkich, ani od związków rodzinnych, ani od żadnej przysięgi, ani nawet od żadnego obowiązku, ale wybiera kogo chce, gdzie chce, i póki chce. *Quinto*: Przyjaźń jest jakoby duszą wszystkich innych uczuć, bo szczerze mówiąc, każde przywiązanie tylko tyle warte, ile w sobie zawiera przyjaźni.

Miłość małżeńska prędko zwiędnie, a nawet zostawi wstręt i swary, jeśli nie przejdzie na dożgonną przyjaźń. Brat będzie się z bratem kłócił stokroć gorzej niż z obcym, jeśli ich braterstwo nie jest podszyte przyjaźnią. Wszelkie gniazdo rodzinne rozleci się jak odchowane kurczęta od kury, a rodzice smutnej doczekają starości, jeśli dzieci nie potrafią stać się ich najmilszymi przyjaciółmi. Monarcha, czy pan domu, nie będzie jadł ani spał spokojnie, jeśli w sługach nie ma przyjaciół. Nakoniec i nabożeństwo, dopiero wtedy zupełne, kiedy człeczysko przytuli się do Pana Boga jak do najlepszego przyjaciela. *Sexto*: Przyjaźń jest rodem z nieba przeczystego, bo kiedy wszystkie inne miłości trącą ziemią, idą ze związków ziemskich, albo do nich prowadzą, tymczasem przyjaźń mieszka tylko w duszy, i szuka tylko duszy. *Septimo* nakoniec: Przyjaźń wraca do nieba z nami, bo kiedy człowiek wychodzi z ciała, i staje się niebieskim duchem, nie może już uczuwać nic oprócz przyjaźni, jak to widzimy po aniołach.

Skończył Braciszek, a Xiężna Kinga, jakby w odpowiedzi na całą przemowę, objęła za szyję stojącą przy sobie Agnieszkę, i uściskała ją serdecznie; piękny zaprawdę widok, bo choć jedna królowa, druga służebnica, przecież przyja-

żnią były już zrównane, a Kościół miał je kiedyś jeszcze więcej zrównać, udzielając i Agnieszce koronę Błogosławionych.

(Przy tój sposobności warto zauważyć, jak najznamienitsze niewiasty owych czasów, miały serce dostępne dla przyjaźni. Święta Elżbieta Turyngska gorąco miłowała cnotliwą Izentrudę, co była jój nieustraszoną towarzyszką w doli i niedoli. Święta Jadwiga znalazła prawdziwą przyjaciółkę w Demundzie, Święta Kunegunda w Agnieszce. A ileż innych pomijamy w tój zaledwie przelotnej wzmiance! Ci którzy twierdzą, że przyjaźń rzeczywista nie może istnieć między kobietami, dowodzą małej znajomości dziejów, zwłaszcza Żywotów Świętych.)

Na hasło dane przez królowę, Ludmiła uściskała Elżbietę, wiele pań uściskało się między sobą, wielu młodzieńców między sobą. Kaznodzieja zacięrał ręce, potem się obejrzał, i zapytał:

— A ja kogo uściskam? Do mojej Bozi ja-koś jeszcze nieśmiem się przypytać. E, do ciebie pójdę, stara przyjaciółko.

I szedł do szkieletu bielącego się pode-drzwiami.

— Oho! Tyś najwierniejsza, ty człowieka nigdy nie zapomnisz. Dla tych co od ciebie stronią, co nie chcą myśleć o tobie, bywasz zła i straszna, ale za to dla przyjaciół masz złote ser-

ce: kto całe życie myśli o śmierci, temu śmierć przyniesie życie.

Mówiąc to, chwycił piszczele rąk drewnianych, i ścisnął je z wielkim szczękiem.

Jedni się śmieli, drudzy łzę otarli, w końcu wszyscy dali wielki oklask, aż mistrz Gaudenty się odezwał:

— Chciałbym tak porywać jak Braciszek Benedykt.

— Czemu nie?—Odparł tenże.—I twoja godzina może jeszcze nastać. Wszak największa dziś ozdoba naszego Zakonu, Brat Pacyfikus, nosił także różowy płaszcz i złotą cytrę, na Dworze Cesarza Frydryka był «królem świeckich piosenek», aż pewnego dnia, nasz Ojciec Frańciszek przechodzący drogą, skinął na niego i kazał mu śpiewać inną piosnkę.—Ale ja sobie zdrów gadam, a zapominam o cnocie posłuszeństwa. Starsi mię tu przysłali do króla, w sprawach dotyczących kościoła jaki nam z łaski swojej stawia. Gdzież król Jegomość?

— Tylko go patrzeć.—Odrzekła królowa.

— Tak, — mówił Xiądz Maciej, — Xiążęta kończą ogromną naradę. I ja tam przesiedziałem parę godzin, ale jak skończyliśmy ze Szlązkiemi sprawami, a zaczęto gadać o Tatarach, wymknąłem się tu najpierwszy, bo już mam tych Tatarów po uszy.

— A żeby też już raz przyszli, — zawołał Przedwojowic, — żebyśmy już raz ich wytłukli,

przestano by nas niemi straszyć, jak dzieci obdarytym dziadem.

— Czy znacie panie, — zapytał mistrz Gaudenty,—śliczne słowo króla Francuzkiego, o tychże Tatarach?

— Nie, nie znamy.

— W Paryżu, tak jak i u nas, wciąż tylko słychać: Tatarzy idą—już to królestwo wzięli—tamtamto cesarstwo przewrócili—sto miast spalili.— Aż pewnego dnia, królowa Blanka zatrwożona spytała: «Mój synu, co to będzie? A jeśli téż ci poganie aż tu do nas przyjdą?» — Król Ludwik, co nie tylko umie modlić się z Bratem Egidjuszem, ale zna się i z Porfiruszem i Boeciuszem, odpowiedział: «Miějmy nadzieję w Bogu. Zresztą, jeśli ci Tatarzy przyjdą, zawsze skończy się dobrze, bo albo oni nas wyszlą po koronę niebieską, albo my ich odeszlemy do Tartaru z którego wyszli.» — Jakie to udałe! Bo „Tartar“ po Grecku znaczy piekło.

— Udałe! Setne!—Odezowano się w koło.— Odeszlemy ich do piekła, kiedy są z piekła rodem.

— E..... — Wtrącił któryś młodzieniaszek,— ja myślę że wszystko skończy się na gadaniu. Przecie to dzicz niesforna, dobrze im wojować z Pieczyngami, Czudami, i różnemi innemi cudakami jak oni, — ale z rycerstwem Chrześcijańskim nie ośmielą się stanąć oko w oko. No,

bo i czemuż nie przychodzą? Od czasu jak żyję, słyszę: „Idą! Idą!“ A nigdy ich nie widać.

— Już jednak są coraz bliżej.—Westchnęła Xiężna Kinga.—Listy z Węgier pełne groźnych wieści. Coraz to jakiś Xiąże Rusiński zjawia się tam, błagając o ratunek, albo przynajmniej o schronienie. Dwór mego ojca już pełen takich wygnañców, którzy straszne rzeczy opowiadają, straszne nie do uwierzenia.

— Tak, — przerwał jeden z prałatów, — słyszałem że oni żadnego dachu znieść nie mogą; wszystkie gmachy, domostwa, nawet chałupy najnędrniejsze burzą, tylko gdzie-nie-gdzie dla trafienia w pustyni, stawiają piramidy, ale nie z kamieni, o nie! z czaszek ludzkich. A co za rzezie! Co za rzezie! Podobno przy wzięciu miasta Kozelska, tyle krwi popłynęło, że mały Xiąże Bazyli po prostu *we krwi utonął*.

Wszyscy zamilkli.

Panna Agnieszka uśmiechnęła się żałośnie i rzekła:

-- Miały może słusność moje szczygiełki.

— Jakie szczygiełki?—Zapytano do koła.

— Mam ja w klatkach różne pieszczone ptasiątka, szczególniej téż owe szczygły, takie mądre, że nieraz doprawdy mówiłam: Już im nic nie brakuje, tylko żeby gadały.—Otóż przed kilku dniami, co ja mówię? To było wczoraj, — Małgosia, pocziwa dziewczynina co chodzi około moich ptasząt, słyszy rano że szczygły okro-

pnie się trzepocą w klatce, i piszczą jakby je kto dusił. Myślała że kot wpadł oknem, pędzi do klatki, patrzy, niema nic, a ptaszki trzęsą się ze strachu, i krzyczą jakimś dziwnym, jakby ludzkim głosem: *Ta-ta-ry! Ta-ta-ry!* Było jeszcze w izbie kilkoro innych dzieci, różne biedne sierotki, wszystkie to samo słyszały.

Wiele osób się uśmiechnęło. Ów młodzienaszek zaczął nawet śmiać się bez ogródki, wołając:

— A! Już kiedy szczygły panny Agnieszki strachają się i piszczą, to źle z nami, źle.

Panna Agnieszka łagodnie odrzekła:

— Oby to wszystko skończyło się na śmiechu! Ja sama nie słyszałam, ale jak tu dzieciom nie wierzyć? Po co by miały kłamać? Zkąd by im nawet przyszła taka rzecz do głowy? Zresztą, czy to raz Pan Bóg ostrzege ludzi na różne sposoby?

Braciszek Benedykt wtrącił:

— Nasz Ojciec, Święty Franciszek, nieraz rozmawiał z ptaszkami, i wybornie z nimi się rozumiał. Może niewinne dusze dzieci, dzielą niektóre przywileje Świętych Pańskich?

— Tém bardziej,—dodał jeden z giermków,— że to nie jest jedyne «Omen», jakie się w tych czasach pojawia. Dziś rano, idę sobie najspokojniej, aby do Mszy usłużyć, a tu na progu Katedry, jeden z Dziadków kościelnych zachodzi mi drogę, przerażony, blady jak trup, i mówi:

«Ach! Co się tu od północy działo! Jakieś płacze, jakieś szcękę, jakby kto szłochał kamieniami piersiami, albo załamywał żelaziste ręce, a kiedy rano przyszedłem otworzyć kościół, tu, przy schodach od podziemia, przesunęło się koło mnie coś ogromnego, niby to rycerz bardzo gruby i wysoki, ale to było szare, i szło cicho, zupełnie jakby jaka mgła.»

Słowa giermka sprawiły głębokie wrażenie. Wszyscy zaczęli szeptać:

— To Chrobry..... To duch z kaplicy Świętego Leonarda..... O! To wielki znak!

— I straszny znak. — Dodała jedna z matron.—W dzieciństwie słyszałam od mojej babki, że zupełnie tak samo się pokazał owęj nocy, po której król Bolesław Śmiały pojechał na Skałkę.....

A Xiężna Grzymisława szepnęła z westchnieniem:

— Jakieś niebezpieczeństwo grozi Piastom.....

— Ha! Kiedy mamy już bawić się w gminne powiatki, to i ja państwu coś opowiem. — Odezwał się znowu Xiądz Maciej.—U nas w Lignicy, od niejakiego czasu, po nocach, dzwony same dzwonią.

— Jaki?—Zawołano.—Same dzwonią? I tak, co noc?

— Nie, czasem tylko, i to zwykle w pierwszych, kiedy ludzie najmocniej zasną. Jak tylko się rozbudzą, wszystko cichnie, ledwie zaczną

zadrzemywać, a tu znowu: Bum—bum!—Ja sam nie słyshałem, (jak panna Agnieszka nie słyshała szczygiełków,) bo mieszkam zwykle we Wrocławiu, a ile razy do Lignicy zjadę, dzwony jakby na złość siedzą cichuteńko. Ale mnóstwo ludzi przysięgało mi że to prawda, i że to ma być okropne do słyshzenia. A ja powiadam: rozgłaszenie takich wieści między pospółstwem, jest rodzajem grzechu, osłabia serca i przewraca rozumy; niedługo usłyshymy że Tatarzy mają psie głowy, albo smocze skrzydła. Otóż właśnie dla rozeznania prawdy między tylu bajkami, i obmyślenia rozsądnej obrony, (gdyby kiedy stała się potrzebną,) Xiążęta dziś tak długo radzą. Wezwali nawet na tę radę Ojca Jacka, wiecie: Jacka Odrowąza, który najlepiej może ich objaśnić, bo przecie sam widział Tatarów.

— Sam widział Tatarów? — Powtórzyły razem Elżbieta i Ludmiła.

— A jakże? Był w Kijowie, podczas obleżenia i wzięcia miasta. Między wszystkimi cudami jakie świat o nim głośi, to także cud niepośledni że potrafił ujsć z pomiędzy Tatarów, i to jeszcze jak? Ani się kryjąc, ani uciekając, ale idąc jak tryumfator. Podczas ostatniego szturm, kiedy, jak sam do mnie mówił, «od krzyku dziczy, skrzypienia wozów i ryku wielbłądów, człowiek człowieka nie słyshał», kiedy już ludność spędzona z wałów i ulic, chroniła się do cerkwi, on w kościele Panny Marji na

Padole, odprawiał jeszcze nabożeństwo. Z ostatnimi słowami Mszy Świętej, poganie wpadają do kościoła, zaczyna się mord i rabunek. On bierze Cymborium, chcąc przynajmniej unieść Najświętszy Sakrament, idzie w złotym ornacie, z podniesioną głową, a Pan Bóg tak dziwnie zaślepią oczy Tatarom, że ani go widzą, ani zaczępiają. Światłość ta rozszerzyła się nawet jeszcze i daleko po-za nim, bo trzej Bracia zakonni, co zamiast kryć się, mieli odwagę ciągle mu towarzyszyć, wyszli z miasta nietknięci, podczas gdy wszyscy inni wyginęli.

— Ach, przecież i co innego stało się wtedy? — Przerwała Xieźna Kinga. — W połowie kościoła, kamienny posąg Matki Boskiej zawołał na niego: «Jacku! Uchodzisz od pogan z Synem moim, a mnie tu zostawiasz?» Ojciec Jacek zdziwiony, rzekł: «O Panno Błogosławiona, Twój wizerunek jest bardzo ciężki, jakże go udźwignę?» A Błogosławiona Panna odpowiedziała: «Weź mnie, a Syn mój lekkim go uczyni.» — I rzeczywiście, Ojciec Jacek, w jednem ręku trzymając Puskę z Hostjami, drugą ręką podźwignął cały posąg, i niósł, i niósł, nie czując żadnego znużenia, aż dopiero w Haliczu postawił go na ołtarzu. O! Bo też on od młodości miał do Bożej Rodzicielki takie strzeliste nabożeństwo, jakby mu była nietylko matką niebieską, ale matką rodzoną.

Królowa mówiła z rzadkim u siebie zapa-

łem. Jeden ze słuchaczy, mąż uczony, Bakałarz Erazm, uśmiechnął się i zagadnął:

— Śliczna powieść, ale.... w chwili szturmu, w tój okropnej wrzawie, któż to słyszał?

Królowa podniosła na niego wielkie oczy, i odpowiedziała:

— On. To dosyć.

— Albo nad Wisłą? — Zawołała panna Agnieszka. — Właśnie kiedy szedł do Kijowa, cztery czy pięć lat temu, w Czerwińsku chciał się przeprowić przez Wisłę, a tu ani jednej łodzi. Pilno mu było, przeżegnał wodę, i zaczął iść po nią, zupełnie jakby po ziemi. W pół rzeki, obejrzał się, i skinął na czterech zakonników co z nim podróżowali. Ci dobrze widzieli jak on idzie, i byliby radzi podobnej wędrówce, ale nie mogli się odważyć. Więc wrócił do brzegu, uśmiechnął się, i kapicę swoją rzucił przed niemi na wodę, zapraszając ich jakby do łódki. Wtedy już wstyd ich ogarnął, zeszli, płaszcz cudowny, jakby z najlepszego drzewa uszyty, ani drgnął pod niemi, i na tym płaszczu, razem z Ojcem Jackiem, przepłynęli aż do drugiego brzegu.

Bakałarz Erazm uśmiechnął się znowu, i zapytał:

— Któż to widział?

— Jakto? — Wykrzyknął Xiądz Maciej. — Kto widział? A przecież ci czterej zakonnicy, którym — jako mnie się widzi — można wierzyć,

bo własne ich świadectwo nie bardzo dla nich samych podchlebno wypada?

Tu wszczęła się rozprawa bardzo cięta; ówczesni bowiem ludzie nie byli wiele łatwowierniejsi od dzisiejszych. Procesa kanonizacyjne dowodzą ostrożności i surowości, na którą by się może świecka władza, i w obecnym wieku nie zdobyła.

I w tém gronie, każdemu uśmiechowi Bakalarza Erazma towarzyszyło wiele innych uśmiechów, mnóstwo głosów przywtarzało mu szmerem potakiwania.

Ludmiła sobie pomyślała:

— Jak oni mogą tak się spiérać, kiedy przecież Ojciec Jacek żyje, mieszka między nimi? Ach, gdybym kiedy miała szczęście go spotkać, wzięłabym się na odwagę, i jego samego zapytała, czy to wszystko prawda?

A widząc w téj chwili przechodzącą pannę Agnieszkę, rzekła do niej:

— Ależ to święty człowiek?

— Moje dziecko, o żadnym z żyjących nie godzi się powiedzieć: Święty! W ostatnim dniu przed śmiercią może stracić koronę, — ale zdaje się, że jeśli kto na nią zasłuży, to ten mąż osobliwszy. Jaka szkoda żeście tu nie były w lecie, kiedy przybył do Krakowa! Duchowieństwo z krzyżami i chorągwiami, król, królowa i my wszyscy, i cała ludność miasta, wyszliśmy na je-

go spotkanie. Żaden monarcha nie miał takiego przyjęcia.

Gdy panna Agnieszka tych słów domawiała, drzwi się z trzaskiem rozwarły, a Braciszek Benedykt podskoczył i zawołał:

— Aha! O wilku mowa, a wilk tuż!.....

We drzwiach pokazało się mnóstwo mężów. Na czele dwaj Piastowicze. Obaj Xiążęta mieli na głowie mitry, czapki grubo wypchane, kosztowną taśmą głęboko przepięte. Xiążę Henryk szedł po prawej stronie, jako gość i potomek starszej linii, o czym władcy Szlązcy nigdy nie zapominali. Był to człowiek trzydziestoletni, z obliczem energicznym i rycerskim; nosił tunikę brunatną, ze złotą obręczą w pasie, i płaszcz ciemno-czerwony, przypięty na ramionach dwiema osobliwzemi klamrami, w kształcie serduszek, czyli malutkich tarcz herbowych, na których bielił się Piastowski orzeł; trzecia taka tarcza, nieco większa, wisiała na rękojeści jego miecza, owiniętego złotą taśmą. — Xiążę Bolesław miał tunikę popielatą, na niej rodzaj dalmatyki z purpury fioletowej, i orła na piersiach wyszytego perłami, co wdzięcznie odbijało przy jego dziewiętnastoletniej twarzy, włosach płowych, i oczach turkusowych. Rysy młodzieńca nieco zatarte, uderzały smętnym uśmiechem, i dość mocno wystającą brodą, co oznacza wytrwałość charakteru. Istotnie ten monarcha, za mało mo-

że ceniony przez potomnych, w ciągu jednego z najdłuższych i najtragiczniejszych panowań jakie historia pamięta, odznaczył się prawdziwym genjuszem wytrwałości, chlubniejszym, a przynajmniej trudniejszym, niżeli genjusz w szczęściu.

Za Xiążętami szło dwóch Duchownych, Jacek Odrowąż, w Dominikańskim habicie, wysocki, kościsty, z głową spuszczoną pokornie, cofający się za drugich, jakby chciał uniknąć wszelkiej ludzkiej uwagi, chociaż o nim powiedziano, że był «jednym z największych cudotwórców od czasu Apostołów»,—i Jan Prandota, Biskup Krakowski, także później Błogosławiony, także ma się rozumieć Odrowąż, bo wtedy, pod każdą niemal wielkością w naszym kraju, stoi wypisane imię tego rodu. Równie piękny z postaci jak z duszy, po Europejsku wychowany w Bononji, wygładzony w długich podróżach, młody Biskup miał twarz klassycznie regularną i klassycznie pogodną. Z uśmiechem starszego brata, często strzelał troskliwem okiem ku młodziuchnemu Xięciu Bolesławowi, dla którego téż stał się w ciągu życia prawdziwą Opatrznością, jako mądry minister i serdeczny przyjaciel.

Daléj szli dygnitarze i panowie rycerscy. Włodzimierz Wojewoda Krakowski, Pakosław takąż godność piastujący w ziemi Sandomierskiej, Kasztelanowie Klimunt i Jakób Raciborowicz, Krystyn z Niedźwiedzia, Wojciech Stampoczyc, Ziemięta, Grabina, mnóstwo innych, wszys-

cy mężowie o szerokich plecach i gorących sercach, ubrani bez żadnych zagranicznych wymysłów, ale według ówczesnej mody szczeropolskiej; mieli żupany dosyć krótkie, od góry po sam dół spięte na prześliczne guzy, szyję owiniętą fałdami grubiej chusty, włosy obcięte okrągłuteńko w okół głowy, i spadające na czoło nakszałt dzisiejszych «grzywek». U rąk mieli bogate sygnety, tak że kiedy weszli, cała sala zamigotała od drogich kamieni, świecących Jastrzębiami, Łabędziami i Gryfami, jakby jakiś zwierzyniec chwały.

Nakoniec u progu natłoczyły się giermki, pазie, i różna inna ciżba, z pomiędzy której wyscibiali głowę obaj stryjcowie Ludmiły; musieli oni chyba w jakiejś czeladnej izbie czyhać na przejście króla, byle się tylko razem z nim pokazać.

Ludmiła nie poznawała nikogo, nie miała dla nikogo oczu, tylko dla Ojca Jacka. Wpatrzyła się w niego jakby w tęczę, a jednakże gdyby ją kto zapytał, czy on młody czy stary, czy piękny czy brzydki, czy słodki czy surowy, nie byłaby umiała odpowiedzieć; w jej oczach i duszy było jedno, wielkie olśnienie.

Elżbieta nie starała się zbliżyć do Jacka Odrowąza. Była jak ów Szymon z Montfortu, co wołany do kościoła gdzie Chrystus widzialnie podczas Mszy się pokazał, nie chciał tam

pójść, mówiąc: «Po co mam widzieć, kiedy i tak wierzę?»

Ludmiła owszem, trawiona ciekawością i niejakiem wątpieniem, śledziła wszystkie jego ruchy. Dominikanin przystąpił najpierw do monarchiń, chciał im bowiem kilku ubogich polecić, i tylko dla téj sprawy do białogłowskiéj sali wstąpił. Potém podał rękę Xiędzu Maciejowi, którego wy-pytywał o swego brata Czesława.

— Ach, — zawołał Xiądz Maciej — od czasu jak Wrocław go posiada, nie możemy poznać naszego miasta; codzień mniej kłótni, nawet piwo mniej odchodzi; piją ludzie, ale pod miarą. Dziwny to mąż! Kiedy nawiedza klasztory swojéj Prowincji, to nie po prowincjalsku, nie z orszakiem, ale pieszo i o żebranym chlebie, jakby najlichszy Braciszek! Już u nas nawet i świeccy Xięża, kiedy patrzą na niego, to wstydzą się swoich bławatów, i nieśmieją—tak jak to bywało—jeździć po mieście z brzękadłami.

Tu Xiądz Maciej nagle przygryzł sobie język, i obejrzał się, przestraszony czy go nie słu-cha Jan Prandota, który choć bardzo świątobliwy, nosił się wytwornie, i lubił piękne konie. Ale próżny był strach dworaka, Biskup siedział daleko, oglądając okiem znawcy, rzeźbioną cytrę mistrza Gaudentego.

Tymczasem Ludmiła, precisnąwszy się mię-

dzy gośćmi, stanęła tuż przy Ojcu Jacku, i w téj chwili uczuła wstrząśnienie osobliwsze, jakby przeszła przez niewidzialny strumień cichego piorunu. Wstrząśnienie tak potężne, tak wszechwładnie rzeźwiące, że pomyślała sobie:

— Gdybym była konająca, zdaje mi się, że jedno podobne wstrząśnienie wróciło by mi siły. I zaczęła rozumieć cudowne uzdrowienia.

Patrzyła a patrzyła, mówiąc sobie w duszy:

— Czy téż to prawdziwe są te wszystkie cuda, jakie świat o nim głosi?

Nagle, Ojciec Jacek zwrócił się ku niej, mówiąc:

— Wszystko prawda.

I znowu dalej słuchał Xiędza Macieja.

Te dwa słowa, były zapewne urywkiem rozmowy jaką z nim pierwéj toczył, ale do myśli Ludmiły tak dziwnie przypadły, że przyjęła je za odpowiedź, i odtąd już nie śmiała podnieść oczu.

Bakałarz Erazm, uśmiechając się docinkowo, zaczepił Ojca Jacka:

— No cóż kochany Xiężę powiesz nam jeszcze o Tatarach?

— A cóż mam powiedzieć? To co zawsze powtarzam: gdzie Tatarzy przejdą, tam trawa usycha, tam psy oniemiwiają, ptaki się rozlatują, kamienie wołają na ludzi: «Weźcie nas z sobą!»

Tu wmieszał się rycerz Ziemięta:

— Wszystko to może być prawdą gdzieś na dalekich ukrainach, ale nie u nas, ludzi bywałych, co uczymy się po Paryżach i Bononjach, co dank bierzemy na Dworach wszystkich rycerskich narodów. Trochę lepsze my mamy żelaziwo, trochę lepiej znamy się na wojence, niż te bestje z pokonu świata. Nasze grube wieże i kasztele śmieją się z ich krzyku, ba! my samém świeceniem naszych zbroic, oślepiemy ich i spędzimy.

Ojciec Jacek smutnie się uśmiechnął.

— Bracie, — rzekł — stary Rzym był także wielki, mocny i rozumny, a jednak runął pod biczami Gotów, Hunnów, i różnych owych—jako ich nazywasz—«dzikich bestji», o których także pierwój nigdy świat nie słyszał. Ile razy ludzie urządzają się bardzo pięknie, bardzo potężnie i wygodnie, i powiedzą sobie: «Dosyć pracy, oto już tu nam teraz dobrze.» Wtedy Bóg zsyła takie dopuszczenie, co wszystko zetrze i pomiesza, aby ludzie znów musieli zaczynać, a zawsze na lepsze. I myśmy się już nadto rozmiłowali w naszych kamiennych świątyniach, w naszych wygodnych klasztorach, pysznych grodach i kwiecistych polach, przyjdzie burza co wszystko zmiecie, i zostawi nam ledwie kij pielgrzymi, abyśmy sobie przypomnieli że jesteśmy tylko podróźnemi, a dom Ojca dopiéro w końcu drogi.

Wielkie milczenie zapanowało w sali.

Tylko Braciszek Benedykt wybiegł, rzucił się Ojcu Jackowi na szyję, i zawołał:

— Proroku, weź mię z sobą, i prowadź do tego domu Ojca!

W téj chwili weszło na próg sali dwudziestu czterech młodzieńców, odzianych z węgierska. Wszyscy nieśli świece zapalone, ogromne jakby najcięższe gromnice, wysokie jakby włócznie, i jak włócznia spowinięte kraśnemi wstęgami. Wszedłszy po dwóch, po dwóch, uszykowali się pod ścianami, dla oświecenia komnaty, którą zmrok wieczorny już ogarniał.

Prawdę mówiąc, byliby mogli dać pokój tym światłom; w sali świeciło tyle niebieskich nimbusów! Ale zwykli ludzie jeszcze ich nie widzieli.

Jacek Odrowąż, skończywszy sprawy dworskie, wziął pod rękę Braciszka Benedykta, co już także przed chwilą rozmówił się z królem, i obaj cichutko wyszli. W sali się nieco zaciemniło,.... dwie święte aureole znikły.

Zwycięztwo gołębic.

Za święcami wniesiono podwieczorek. Już też był i pożądaný; królestwo jedli obiad o dwunastej, wielu z obecnych jadło go jeszcze wcześniej, o dziewiątej z rana, niejednemu głód się dawał uczuć.

Na tacy, zagłębionej okrągło jakby srebrna balja, stały postne przysmaki: tłusciuchne zagraniczne śledzie, minogi zwożone z wód krajowych, i różne inne rybki. Ale o zgrozo! Obok rybek, leżały na rożenkach i ptaszki. Kazuiści trzynastego wieku dowodzili, że «ponieważ ptaki zostały stworzone w tym samym dniu co i ryby,» więc należą do jednej-że rodziny. I tak, za ich pozwoleniem, najpobożniejsi ludzie, we dnie postne ogryzali sobie różne ptastwo, zwłaszcza wodne, bez najmniejszego wyrzutu sumienia.

Na drugiej tacy, z brzegiem wyrobionym w kształcie murku z blankami i basztami, stały

dzbany, czerwieniejące marcowém, przedziwném piwem, a między niemi flaszka w kształcie gołębia, pełna hipokrasu; było to wino Greckie, przepalane z korzeniami i listkami róży; podawano je tylko przy lekkich przekąskach, jak nasze likwory, i pito zazwyczaj w srebrnych filiżaneczkach. Za tym napojem wszyscy przepadali, damy nawet go się nie wzdragały, gdyż był różowawy i słodki.

W końcu wniesiono trzy srebrne koszyki. Na jednym piętrzyły się grube opłatki, podobne do wafli, zwane *Supplikacjami*, bo podczas Wielkiego Postu, po prześpiewaniu Supplikacji, rozdawano je darmo ludowi w kościołach. — Na drugim pstrzyły się pierniki, które dają dziś jeszcze dobre wyobrażenie o ciastach ówczesnych, zaprawianych przeważnie korzeniami i miodem. — Trzeci kosz kraśniał od jabłek, pęczatych i czerwonych jak buzia chłopskiego dziecka.

Król troszkę się skrzywił na ich widok.

— Po cóż — zapytał, — dajecie te brzydkie jabłczyska? Gdzież są Daporty? One przecie sto razy lepsze?

Królowa zmieszała się, i spuszcżając oczy, odrzekła:

— Już ich niema.

— Jakto niema? Jeszcze niedawniusieńko pełna ich była komora?

Panna Agnieszka mrugnęła na króla, wtrącając półgłosem:

— Rozeszły się na miasto..... dla chorych.

— A! To jeszcze lepiej, my nie chorzy, dla nas wszystko smakowite. — Odrzekł król dobrotliwie, i zaczął gryźć wesoło owoc jełki jak rzepa.

W tój chwili Prandota przystąpił do królowej.

— Udadzą się Jasełka. — Mówił. — Figury jak ulane. Ale nie dopatruję bydlątek, wołu, osła? A przecie i to potrzebne.

— O!—Zawołała królowa.—Ucieszo mi, że i na tak ostry dowcip jak wasz Xiężę Biskupie, znalazła się łapka. A ktoby strugał z drzewa, czego pełne obory? W naszym Żłobku nie będzie innego bydełka, jeno żywe, żywiusieńkie jak tam w Betleem.

— Będzie nawet jeszcze coś trefniejszego.....—
Dodał król znacząco.

— Ach, nie gadajcie..... nie gadajcie..... przecież to są misteria dla całego Krakowa? — Przerwała przestraszona Xiężna, kładąc na ustach paluszek, wysmukły i blady jak pąk nierozwiniętej lilji.

— Misteria..... misteria..... — Powtarzał Bolesław z przekąsem. — Ja dla mego Pyladesa nie mogę mieć misteriów. Moja złota króloweczko,—mówił do żony, składając pokornie ręce, — pozwól powiedzieć, on--szyję dam za to—nikomu nie wygada. Otóż słuchaj dobrodzieju, — dodał zwracając się do Biskupa, — w orszaku Trzech

Króli będzie..... no, zgaduj co? Aha, nie zgadniesz i za sto lat. Będzie..... wielbłąd! Wiész, ten wielbłąd, którego Daniel Halicki przysłał nam w podarunku.

— Wiem że przysłał, ale mi ciężko wyrozumieć, zkąd on sam do niego przyszedł?

— Zkąd przyszedł? A, to bardzo ciekawa historia, to zdobycz po Tatarach, pierwsza, i kto wie czy nie jedyna dotąd zdobycz, bo u nich niema człowieka co zabić, chyba to co drugim pokradli. A już co wielbłąd to ich własny, tego u nas nie znaleźć. Odbieżeli go na poboju między trupami, bo taki był porąbany, że już ledwiuteńko co dychał. Ale naszym okrutnie się to monstrum podobało, jak zaczęli nacierać a owiązywać, po końsku i po człowieczemu lekarować, tak się i wylizał biedaczysko, a ten poczciwy Daniel niemał nic pilniejszego, jak nam się pochwalić z tym podarkiem.

— A to będzie przednie! — Zawołał Biskup ucieszony.

— Nietylko przednie, — ciągnął dalej Bolesław, — ale i w samo sedno trafione, bo tylko uważ: to zupełnie tak się złoży, jakby jeden z owych Trzech Króli prosto z pustyni na onym cudaku przycwałował.

— Prawda, prawda.—Potakiwał Prandota.— Mnie się widzi że od Mieczysława Pierwszego nikt u nas nie chował wielbłąda, bo że Mieczys-

sław chował, to stoi w starych skryptach. Sam czytałem.

— Tak? Już wtedy? Więc my nie będziemy pierwsi? Szkoda! — Podjął król nieco zmartwiony.

— E! Już o tamtym wszyscy zapomnieli.—
Pocieszała królowa.

A Biskup jój pomagał mówiąc:

-- Nikomu nie piśniemy o Mieczysławie, to jakby i nie było.

Podczas kiedy tutaj zwierzenia szły półgłosem, po drugiej stronie stołu, Grzymisława pytała Xięcia Henryka, siedzącego przy niej na tronie pod ścianą:

— Cóżście tedy uradzili?

— Co my uradzili? Bolesł na wiosnę zwoła Sejm do Kaliny, a ja, prócz moich Szlązaków, chcę wziąć do pomocy i Xiążąt sąsiadów, przed wszystkim zaś Wielkiego Mistrza Krzyżackiego. Cóż u licha? Jeżeli ci zamorczycy przyszli aby nas bronić od pogan, to kiedyż tedy lepsza pora do posłużenia Bogu i ludziom, jak teraz przeciw onym Tatarom? Wszystko to może nie będzie potrzebne, ale uładzić nie zaszkodzi. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tymczasem w innej części sali toczyła się

zacięta rozprawa. Chodziło jeszcze o wyrazy wyrzeczone przez posąg do Ojca Jacka Odrowąża. Xiądz Maciej, otoczony kilku «realistami», twierdził że głos wyszedł z samego kamienia. Bakałarz Erazm, ostry «nominalista», z mnóstwem zwolenników utrzymywał, że głos odezwał się tylko w duszy Jacka.

Młody król posłuchał ich przez chwilę, potem ręką machnął, i wrócił do xiążęcego stołu, przy którym go czekało czwarte krzesło. Ale wołał gdzieindziej usiąść; kazał sobie podać Genueński kobierczyk,—o!śniewające dzieło, złotem i srebrem wyszywane,—i rozłożywszy go na ziemi, siadł przy stopach królowej, a całując jęj wążką rękę, mówił:

— Już mię nudzą ci wszyscy mądrale. Najlepsza filozofja miłować się w Bogu, nieprawdaż?

Królowa zarumieniła się, i po chwili odrzekła:

— Tak,—byle w Bogu.

Powiedziawszy to, Kinga zaczęła się zlekka oglądać, jakby szukała przedmiotu coby zdołał odwrócić drażliwą rozmowę, i nagle, rada że go znalazła, zerwała się, wołając:

— Ach, że ja też zapominam! Panno Ludmiło, chodź-no tu moje dziecko, niechże cię przedstawię twemu opiekunowi i ojcu.

Bolesław powstał, pocałował Ludmiłę w czoło, według praw opiekuna i króla.

— A i owszem, — odezwał się, — będziemy

sierotce ojcowali, byle i nasza małżonka chciała także pilniej matkować.

Wtedy Krystyn z Niedźwiedzia, który dla swoich synalków szukał wiecznie bogatęj dziewczki, przystąpił i rzekł badawczo:

— Zdaje mi się, Miłościwy Panie, że niedługo będziecie ojcowali, bo jak słyszałem od rodzonych jęj stryjców, ta panna już po zrękowinach.

— Toście źle słyszeli.—Odrzekł król z urazą.—Co bezemnie radzono, to nie idzie w rachunek. Gdzie król opiekunem, tam tylko z ręki królewskiej mogą być zrękowiny, i—dodał, grożąc figlarnie—zobaczymy czy dziewuchna równie usłuchana jak gładka?

Elżbieta i Ludmiła zamieniły nieznacznie radosne spojrzenie, i podniosły wdzięczne oczy ku Xieźnie, która także spojrzała na nie ukradkiem, z uśmiechem niewinnego tryumfu co zdawał się mówić:

— A co? Wszak dobrze męża usposobiłam?

Ale nie wszystkich słowa królewskie tak uradowały. Stryjcowie usłyszawszy je, zbledli, zzielenieli. Tyle zabiegów na nic! Zyndram ich zabije! A co powie Sulisław? Zresztą wszystko fraszka, ale dług? Ach ten nieszczęsny dług!

Tymczasem Bolesław zbliżył się do Elżbiety, i dziwnie łaskawie z nią rozmawiał. Chciał jęj zapewne osłodzić tę odmowę, bolesną — jak sądził—dla rodziny Zyndrama. Ucieszył się gdy

zmiarkował że nie zbyt jest zasmucona, i w przystępie wesołej myśli, a może też chcąc jeszcze pochlebić Elżbiecie w osobie jej brata, zawołał wielkim głosem na Xiędza Macieja:

— Héj kochany Xiężulu, dość téj gry na słowa, siadłbyś lepiej ze mną do szachów.

Nadbiegł rozpromieniony prałat, szachownicę postawiono przed kominem, rozmowy w sali stały się mniej głośnie.

Michał Przedwojowic, przystąpiwszy do Ludmiły, zapytał:

— Czy bardzo zmartwiły słowa króla?

— Ach, — odrzekła — niech tak w raju nie będę, jak słowa królewskie mnie zmartwiły.

— A! To co innego. — Odparł rozjaśniony. — A więc zacna panna pozwala, abym na Turnieju walczył pod jej godłem?

Zapłoniona, skinęła głową.

— Dobrze, a teraz, jakież godło dostanę?

Ludmiła obejrzała się po swoim ubraniu, z którego wypadało oddać jakąś część na «godło».

Noszono wtedy ruchome rękawki, a raczej manele, które między dłonią a łokciem, kładły się na pierwszy, zwykle suto namarszczony rękaw. Te manele stanowiły najwyszukańszą część ubioru; bywały, dziergane haftem, ułożone w pli-

ski, spięte na kosztowne guzy, a najczęściej sznurowane złotą, albo purpurową taśmą.

Ludmiła ściągnęła jedną ze swoich maneli, i oddała rycerzowi, który ją schował ze czcią, jakby relikwię, poczem opowiadał pięknej pannie dziwy wszystkich Turniejów, na których kruszył kopje.

Niedługo, przy kominie powstał okrzyk, pomieszany ze śmiechem. Xiądz Maciej dostał mata, czem jego dworackie serce bardzo się uradowało. Król, wesół z wygranej, powstał.

Na to hasło wszyscy się ruszyli, i z pokłonami różnej głębokości, zaczęli opuszczać salę.

Wtedy Ludmiła,—nauczona przez Elżbietę—zatrzymawszy przy sobie stryjów, ostatnia stanęła przed królem, i do kolan mu się skłoniwszy, prosiła aby jęj pozwoił rozporządzić jedną ze swoich włości, (i to jedną z większych,) na rzecz «ukochanych stryjców».

— Podług starych zwyczajów, — dodała — mieli prawo do całej ojcowizny, ale uczcili wolę mego rodzica. Niechże za tę cześć, i za trudy opiekuństwa, raczą wziąć choć ową małą częśćkę, i niech im ona będzie pamiątką moich pokornych dzięków.

Podobała się królowi ofiara wdzięcznej pannenki, przyczem téż rad był, że jęj wspaniałością, może stryjcom okrasić swoją suchą odpra-

wę. Przystał chętnie, i wszyscy wyszli upojeni radością.

W sieniach, stryjowie tylko co nie ucałowali rąk własnej synowicy. Prosto z Zamku poszli do gospody, gdzie jeszcze o świcie pili za jej zdrowie, drwiąc sobie ze wszystkich długów i Zyndramów.

Tak to Elżbieta, nikomu nie szkodząc, niczem się nie chlubiąc, odniosła zwycięstwo ciche a potężne. Podobny widok nie rzadkim był wówczas. Wszak niedawno, przed kilku laty, kiedy Konrad Mazowiecki uwięził Henryka Szlązkiego, i za żadne okupy nie chciał go uwolnić, Święta Jadwiga, sama, bez wojsk ani złota, wybrała się do niego jak poseł miłości, i jednogodzinną wymową tak zmiękczyła mu serce, że tyran puścił jej męża, i nawet podobno łyzy miał w oczach?

Tak, — za owych czasów, które zwykliśmy nazywać panowaniem kruków i sępów, częściej niż byśmy sądzili, zjawia się w dziejach zwycięstwo gołębic.

Świąteczne dni.

Odtąd wszystko szło jak z płatka. Nawet jedyny smutek co jeszcze zagrażał Ludmile, wyjazd jęj kochanęj Elżbiety, został z powodu Świąt o tydzień odroczonym, a po Świątach znowu kilka dni zyskano, bo sam król Bolesław, ciągle pracujący nad naprawieniem owęj mniemanęj obrazy, poprosił Elżbietę aby swoją obecnością uświetniła Turniej. Ludmile ta zwłoka wydała się częms niewyczerpaném. Nic już nie obliczając, niczego się nie lękając, zaczęła pełną pierśią używać obecnęj chwili.

Obie panie zostały zaproszone do Zamku na wieczerzę Wigiljową, przy której paręset osób zasiadło. W sianie zaścielającym stoły, goście poznajdowali upominki. Ryby szły nieskończoną koleją, na wety pojawiły się powszechnie požądane kluski z makiem, poczem goście długo jeszcze siedzieli, przegryzając orzechy, i skraca-

jąc godziny budująca, prawdziwie Postną pogawędką.

Nakoniec, na sławném Horologium, uderzyła dwudziesta trzecia godzina, ostatnia przed północą. Całe zgromadzenie z wielkim szumem powstało, i szykując się w pary, z Xiążętami na czele, przeszło do Katedry, gdzie Biskupi i kler niezliczony, odprawiali Pasterkę.

Świątynia gorzała od świateł, kłębiła się od kadzideł, a rozwieszone w Presbiterium tajemnicze zasłony, podniecały ciekawość tysięcznych pałających oczu.

Ledwie ostatnie słowo kapłanów ucichło, wszystkie piersi wybuchnęły wykrzykiem *Kolędy*, najradośniejszej podobno muzyki, jaką ludzie kiedykolwiek stworzyli. Jest w rytmie, stylu i zakroju *Kolędy*, jakaś tryumfalność a przytém jakaś niewinność, których osobliwsze połączenie było pierwój nieznanie, i nigdy już potém się nie odnalazło. Rzekłbyś, piosenka podsłuchana ze światów nietylko szczęśliwszych, ale i pocziwszych.

Tymczasem zasłony spadły, ukazała się cudowna Stajenka, z Gwiazdą gorejącą wśród obłoków różowo malowanych, piętrzących się aż pod sklepienia, i zatłoczonych całemi hufcami aniołów.

Przy muzyce fletów i piszczałek, zaczęli przeciągać Pasterze, potém przy ogłuszającym biciu w kotły, wystąpili Trzej Królowie z orszakami, a nakoniec pojawił się wielbłąd.

Na jego widok, powstał okrzyk niesłychanego podziwu, który o mało co nie sprawił po płochu. Przed nieznaną «bestyą» wszyscy się usuwali, nawet odważna Ludmiła odsunęła się mimowolnie.

Jeden tylko Braciszek Benedykt, zamiast ustępować, wyskoczył z pomiędzy tłumu, przystąpił do wielbłąda, i śmiało głaszcząc go, zawołał:

— A! Jak się masz? Nie wiedziałem że mam i takiego braciszka między stworzeniami boskimi?

A kiedy zwierz nieco spłoszony, zaczął się cofać i szyją wykręcać, odważny Brat Benedykt wyrwał uzdę z ręki małego Greczyna co prowadził wielbłąda, i gwałtem pociągnął go do Żłobka, krzycząc:

— Wio! Wio! A pójdź-że do twego Stworzyciela mój garbusku, patrz jeno co tam już bydłał pcha się do Stajenki. Czego masz być gorszy od tych wszystkich osłów na czterech i dwóch nogach? Naprzykład odemnie?

Śmiechy, klaskania, wesołość, przeszły w istny szal. Tłumy wtargnęły do Presbiterium, zalały stopnie tronów biskupich i xiążęcych, — ludzie wisieli na filarach i rzeźbach, — mówiono że kamienna posadzka zakłęsa się w kilku miejscach, — słowem, królewskie Jasełka zrobiły wrażenie tak wielkie, jakiego «najstarsi ludzie nie pamiętali», tak wielkie, że Xiężna Kinga zaczę-

ła je sobie wyrzucać, bo inne kościoły Krakowskie stały téj nocy pustkami, podczas kiedy w Katedrze się zabijano.

Dla wynadgrozienia téj krzywdy, nazajutrz od rana Królestwo oboje, otoczeni Dworem, zeszli z Wawelu na miasto; przez całe trzy dni świąteczne, odwiedzali kościoły, bawiąc się między ludkiem, i chwając wszystkie inne Jasełka. Bo téż wszędzie było coś do podziwiania: tu ptaszki wypuszczano z klatek, tam ciastka rzucono z ambon, ówdzie «Rzeź niewiniątek» odgrywana przez mieszczki, dziatwę i żołdaków, zaczynała się lamentem, a kończyła niezmiernym śmiechem, kiedy dzieci srodze pozabijane, zaczęły zmartwychwstawać i żołnierzom płać psikusy. Wszystko to, przy nieustannem biciu w kilkadziesiąt dzwonów, przy brzękliwej muzyce, a nadewszystko przy jedzeniu i picciu, które się rozkładało wszędzie, na progach domów, na małych placykach, nawet — na stopniach ołtarzy.

Dopiero nasz wiek wykrochmalony, zaczął się gorszyć niesłychaną poufałością dawnych ludzi z ołtarzem. Ach, daj mu Boże podobne zgorszenia, byle z podobną gorącością ducha! To prawda, że przepatrzywszy całe dzieje, nie spotykamy nigdzie władzy równie wyrozumiałej na ludzką wesołość, a nawet na ludzkie słabostki, jak duchowieństwo Średnich wieków. Dla

wyraźnych odstępców, miało ono srogie pokuty i bicze, ale dla wiernych, mądrych czy szaleńców, miało macierzyńskie ustępstwa.

Tak, była to matka, co dzieciom wiele, może nieraz nawet za wiele pozwala, ale czemu? Bo czuje że ją szczerze kochają. Więc obsiadły jej kolana, ciągną ją za włosy, czépek jej zdarły i same go na bakier kładą, a matka się śmieje, sama z nimi figluje, czasem niby troszkę połaje, ale króciuchno, bo dzieci zaraz potrafią jej zamknąć usta — pocałunkiem.

Tak, poważne Koncylja półgłosem łajały, a niższe duchowieństwo patrzyło przez szpary, dobrze rozumiejąc

Że radość i wiara,
Nierozłączna para —

przytém:

Że kto ma nadzieję,
Ten i w łzach się śmieje —

a nakoniec:

Że niema miłości,
Bez poufałości.

Ale nie ze wszystkimi dziećmi tak można figlować.

Jeśli matka zobaczy że dzieciaki hardzieją, że jej własne żarciki przeciw niej obracają, że

coraz mniej całują, a coraz więcej o wszystko się targują, przestaje pieścić, zaczyna rozkazywać,—i smutnieje.

Taki chłód ceremonialny zapanował w rodzinie Chrześcijańskiej około szesnastego wieku, razem z tak zwanym «Odrodzeniem», które istotnie stworzyło wiele pięknych i nowych rzeczy, jeszcze więcej starych zgrabnie odegrzało, ale też i zatraciło wiele skarbów cudownych, na przykład ową *świętą naiwność*, co jest panińskim rumieńcem pokoleń.

Duchowieństwo, obrzucone krwawemi zarzutami za swoje pobłażanie, stało się surowszym dla siebie i dla drugich.

Świat nagle spowaźniał.

I wkrótce, zaczęła się pojawiać w duszach jakaś nowa choroba, gorsza od wszelkich znanych w świecie chorób,—nudy.

Najprzód nastąpiły nudy protestanckie, — potem przyszły nudy ministerjalno-dyplomatyczne, — dziś przybyły nudy parlamentarne,—i nakoniec, grożące papierowym potopem, nudy gazetarskie.

Wprawdzie bywały już i dawniej epoki, w których ta choroba grasowała, na przykład na Dworze Cezarów Rzymskich. Kto wie także, czy nie była znana u władców Assyryjskich?

(Jakoś te porównania wypadają nie bardzo po-
chlebnie dla naszego czasu.)

Ale w Średnich wiekach nie słychać wcale
o nudach. Ani Kroniki, ani poematy, nie wspo-
minają o żadnych „spleenach“, o żadnych nie-
określonych melancholjach. Jeśli się kto mar-
twił, to dobrze wiedział czém; jeśli się cieszył, to
całą duszą; zjawisko tém dziwniejsze dla nas, że
wtedy połowa Europy żyła w zakonach, gdzieby
się dzisiejsi ludzie na śmierć zawędzili. Jakoś
wtedy nikt nie miał czasu się nudzić, wszyscy
mieli tyle do roboty! Dzień zawsze za krótki
dla tych co pracują na nieśmiertelne jutro; że-
gluga, choćby najburzliwsza, nie przykrzy się
tym co są pewni że wiosłują do portu ojczyste-
go, — ale jeśli kto o tym porcie wątpi, jeśli po-
wie sobie: „Płynę do wielkiego *nigdzie*“ — ach,
możnaż się dziwić że wiosło go nuży, a bezcelo-
wa podróż nudzi?

Nasz wiek wymyślił wprawdzie na tę cho-
robę rozmaite lekarstwa, różne rodzaje śmiechu;
i tak, jest śmiech żółty czyli gorzki, śmiech zie-
lony czyli złośliwy, śmiech krwawy czyli ironi-
czny, śmiech czarny czyli rozpaczliwy, są wszyst-
kie, oprócz szczerego śmiechu różowego, które-
go recepta zaginęła razem z ogniem greckim,
i kilkoma innymi sekretami przeszłości.

Co poradzić na tę «anemię ducha?» Ach,
byłyby środki..... możnaby wiele poradzić

i odradzić..... Ale spostrzegam na czas, że nie jestem Ojcem Dominikanem, abym sobie miała przywłaszczać prawo kaznodziejstwa, — a przytém..... lękam się czy wam jeszcze nie przymnożę téjże saméj choroby, na którą w téj chwili utyskuję? Więc żegnam was, kochani czytelnicy, do zobaczenia na Turnieju.

Przysięga na pawia.

Przy pogawędce o nudach, spóźniliśmy się na Turniej.

Heroldowie, po raz ostatni już wzywają walczących.

Szranki otwarte. Michał Przedwojowic, w posrebrzystej zbroi, na białym koniu, z manelą Ludmiły zatkniętą nad hełmem, czeka na jakiego nowego przeciwnika.

Ale żaden nie ma już ochoty z nim się mierzyć: dosyć ich nawyrzucał ze strzemion, o czem wymownie świadczą obrywki piór i ubrań, a zwłaszcza odłamy kopji, zaścielające piasek.

Jemu przypadło największe szczęście w dzisiejszym Turnieju. Wprawdzie jest i kilku innych zwycięzców, ale on poodnosił najwyższe nagrody, i zdaje się, że zdobędzie także ostatnią, tak zwaną *Białogłowską*, bo już zwałił dwóch śmiałków co mu ją chciało wydrzeć,

a więcej żaden się nie zjawia. Napróżno giermek przyniósł mu świeżą kopję z błękitnym proporczykiem, napróżno młodzian coraz mocniej odchyła zawiaski od malutkich, kratkowanych drzwiczek, otwierających się w przyłbicy dla oczów, i badawczym wzrokiem w koło toczy, — nikt nie wyjeżdża. Milczącym tém uznaniem, wszyscy mu już widocznie ustępują ostatniego zaszczytu.

A zatem, trębacze wydęli karmazynowe policzki, i uderzyli w trąby, a cała publiczność wybuchnęła oklaskiem i uniesieniem, które dzisiaj trudno sobie wyobrazić, bo — prawdę mówiąc — tętniła w nich nuta dzikości, dla nas — dzięki Bogu — już niezrozumiała.

Trzeba przyznać, że ogólny kolor umysłów, od kilku wieków niesłychanie złagodniał, serca bardzo zmiękły. Dziś już, namiętność musi chyba poruszyć najgłębsze polityczne sprężyny, albo jakąś wyjątkową zawziętość osobistej zemsty, ażeby ludzi do smaku krwi zaprawić; w życiu codziennym, wystarczają nam złudne wrażenia teatru, udawane zabójstwa i zwycięstwa.

Średnie wieki, jedną ręką sięgające do naszych dni ugłaskanych, drugą ręką jeszcze się trzymały czasów starożytnych. Turniej mocno jeszcze przypominał Cyrk Rzymski. Wprawdzie,

miała to być tylko zabawa, tylko pozór walki; miecze były ztępione, kopje opatrzone gałkami, a zbroja, w której człowiek siedział jakby w żelaznym pokoiku, zdawała się usuwać wszelkie niebezpieczeństwo. Istniało ono jednak zawsze; samo spadnięcie z konia w takich blachach, mogło pogruchotać kości. Rzadki też był Turniej, co by się zakończył bez wypadku śmierci, a przynajmniej bez gęstego połamania członków, i rozlew krwi, której widok jeszcze bardziej rozłakomiał te serca nieokiełznane.

Ktoby dzisiaj chciał mieć pojęcie o podobnych wrażeniach, musiałby chyba jechać do Hiszpanji, gdzie przy *Walkach byków*, odnajdują się wybuchy starzej natury człowieka. Mężczyźni dostają gorączki bitewnej, damy drobnemi dłońmi oklaskują zwycięzcę, i rozplomienionem, suchem okiem, śledzą straszliwe drgania konających. Naoczni świadkowie tych Madryckich zapasów, mówili mi nieraz otwarcie, że z początku nie mogli patrzeć, odwracali oczy z oburzeniem, powoli jednak ogarniał ich ogólny poryw, i nagle wpadali w jakiś rodzaj szaleństwa, z którego nazajutrz, wytrzeźwieni i zawstydzeni, sami nie mogli sobie zdać sprawy.

Jeżeli dziś jeszcze gdzie-niegdzie tak się dzieje, cóż musiało dziać się przed sześciuset laty, w szrankach, gdzie ludzie walczyli nie ze zwierzętami, ale jedni z drugimi, i to nie najjemnicy, ale pierwsi w narodzie?

Napróżno duchowieństwo niezmordowanie piorunowało na tę pogańską zabawę, napróżno ludzie pobożni i ludzie postępowi, przyganiali jęj zgodnemi głosami, ogólny prąd umysłów pędził swoją drogą, pomijając klątwy i rozumowania.

W tój sprzeczności zdań, kaźden Turniej bywał niejako wyproszony i wytargowany, długo naprzód musiano toczyć o niego spory, i ten oto Krakowski, jeźli doszedł do skutku, to dopiero po wielu a wielu zabiegach, bo i Biskup Prandota sprzeciwiał się gwałtownie podobnym igrzyskom, i królowa Kinga, i Grzymisława, gorąco dzieliły jego zdanie. Przez całą jesień, rycerze i damy napróżno dopraszali się o pozwolenie, Bolesław zbywał ich niejasnemi odpowiedziami, bo chociaż sam nie potępiał ogólnego zapału, chociaż owszem, jako zawołany miłośnik myślistwa i wszelkich niebezpiecznych rozrywek, podzielał go w głębi duszy,—przecież, zdanie przyjaciela i żony, a zwłaszcza matki, zamykało mu usta.

Henryk Szlązki rozstrzygnął wątpliwości. Wprawdzie później, swoją męczeńską śmiercią, mąż ten zasłużył na przydomek *Pobożnego*, jednak przedewszystkiem był rycerzem; wielce się też lubował w obyczajach zachodnich; zaczął tak gorąco poparł prośbę dam i rycerstwa, że Królestwo zgodzili się na Turniej.

Był on z mniejszych, czysto dworskich. Nie odbywał się na otwartém polu, ale w dziedzińcu zamkowym, gdzie tylko kwiat publiczności został przypuszczony.

Lękano się bardzo, aby ostrość pory zimowej nie popsuła zabawy, ale niebo okazało się łaskawe, mroźnik zelżał trochę, w samą miarę, ziemia sucho dzwoniła, a wszystkim było ciepło, ba! nawet gorąco, zapaśnikom od walki, widzom od przeróżnych wzruszeń.

I jedni i drudzy wyglądali bardzo malowniczo, piękniej niż w wielkich Turniejach otwartych dla spóółstwa, bo tu wszystko się odbywało prawdziwie po królewsku.

Nie potrzebowano stawiać z desek ladajakich trybun, sam gmach zamkowy ich dostarczył w krążgankach otaczających dziedziniec. Pustawiano w nich szeregami ławy, na poręczach porozwieszano jaskrawe kobierce, u filarów zatknięto chorągwie, i już najpiękniejsze trybuny gotowe.

Na jednej z dłuższych połaci krążganku, zasiadły monarchinie i damy, wszystkie mocno różowe od przymrozku i wrażeń, wszystkie okryte kosztownymi futrami; Elżbieta cała w białych puszkach, Ludmiła w swoich pysznych sobolach, Kinga jak zawsze w gronostajach, ale bogaciej przybrana niż zwykle; miała na głowie swoją sławną koronę, z Węgier przywiezioną, wysa-

dzaną perłami i drogiemi kamieniami wysokiej wartości; na piersiach jej wisiał alszbant, czyli szeroki naszyjnik, w kształcie złotych gotyckich wieżyczek, połączonych filigranowemi bronami; w maleńkich okienkach tych wieżyczek, zamiast szyb kolorowych, świeciły rubiny, szafiry i szmaragdy.

Naprzeciw niewiast siedzieli Xiążęta, otoczeni tłumem dostojników i panów.

Na bocznych, węższych połączeniach krużganku, z jednéj strony zasiedli najstarsi rycerze, Sędziowie Turnieju, mający—jak się zdaje—wysokie rozumienie o ważności swego zadania, bo twarze ich najęzały się namysłem i powagą, jakby chodziło tu o przyznanie zbawienia wiecznego.

Naprzeciw nich stali muzykańci, których trąby, daleko wysunięte po-za balustradę, żółto świeciły szerokimi lejkami, i powiewały mnóstwem purpurowych fartuszków.

Całe to wspaniałe zgromadzenie, odróżniało się od innych zupełnym brakiem Duchownych. Biskup Krakowski był nieubłagany w tym względzie. Wprawdzie kilku ciekawych Xiężulków, a między niemi i Xiądz Maciej, patrzyło przez wążiuchne okienko, wychodzące gdzieś z poddaszy zamkowych, ale okno pierwéj zasunęli ciemną derką, i tylko przez szparę zaziérali.

Niżéj, pod krużgankami, stała pośledniejsza publiczność, a przytém cała młodzież, tłocząca

się w koło płotków szrankowych, które były zgrabnie uplecione z badylków, malowanych różnobarwnie, i upstrzonych młodą choinką.

Za te szranki niewolno było wchodzić nikomu, tylko walczącym, giermkom, i heroldom. Stali oni wszyscy między pierwszym a drugim płotkiem, był bowiem i drugi, i ten dopiero ogradzał właściwe pole walki.

Z pomiędzy zapaśników, jedni już nosili na sobie zdobyte nagrody, łańcuchy, ostrogi, spiniki; inni, z długą miną, tłumaczyli w długich także a krętych okresach, przyczyny swoich niepowodzeń, bo niestety, gdziekolwiek są zwycięzcy, tam być muszą i zwyciężeni.

Wszyscy ci rycerze mieli dziś na tarczach, nietylko już godła rodowe, ale napisy i allegoryczne malunki. I tak, u któregoś błyszczał *Ul zlocisty*, z wyrazem jednym ale groźnym: „Wara!“ — U drugiego była *Gwiazda*, ze słowami: „Święta Maryja zbożnemu sprzyja.“ — Inny jeszcze miał *Puszczyka z różą w dzióbie*, nad czém wszyscy sobie mocno a napróżno łamali głowę; zagadka tém ciemniejsza, że tu nawet napisu nie było; jednak po smutnej postawie rycerza, odgadywano że godło musi oznaczać nieszczęśliwą miłość.

A cóż dopiero działo się na hełmach, na tak zwanych «grzebieniach» co zdobiły ich szczyty! Co tam rękawiczek, welonów, szarf, bransoletek! Bo wiadomo, że dama poproszona przez

rycerza, musiała koniecznie coś oddać ze swego ubrania, a gdy przeciwnik zrzucił mu z hełmu albo rozdarł to godło, rycerz przybiegał co prędzej do swojej damy, po nowe; podobny podatek powtarzał się czasem wielokrotnie, tak, że panie, pozbawione już nietylko piór, klejnotów i wstążek, ale kołnierzy i podwijek, musiały sobie nakoniec oddzierać rękawy i całe poły sukien. Widziano Turnieje, w których zostały tak ze szczętem odarte, że ledwie mogły do końca zachować przyzwoite okrycie.

Za drugim płotkiem, we właściwych «szrankach», Przedwojowic stał już sam jeden, a kiedy Sędziowie uznali, i heroldowie przy dźwięku trąb ogłosili, że damska nagroda jemu się należy, zeskoczył z konia dosyć lekko, czém wzbudził ogólny poklask, bo zeskoczyć w zbroi było nie małą sztuką.

Rycerze starsi lub otylsi, używali zwykle pomocy giermków kiedy mieli zsiadać lub wsiadać na konia, i nikt nie myślał im przyganiać, bo wiadano jakie to ciężkie dzieło, témbardziej że trzeba się było wydobywać ze strzemion niezmiernie głęboko spuszczonech; jeździec, dla twardości rynsztunku, niemógł zwijać kolan, i umieszczał się na siodle w postawie prawie stojącej, całym ciężarem zwisły na strzemionach,

co musiało dziwnie ubez władniać zarówno konia jak rycerza.

Przedwojowic zeskokczywszy ze szczękiem, postął przez dobrą chwilę, i naciągał ramiona, aby niejako związać rozebrane członki; wyprostowawszy się, oddał kopję giermkowi, przyłbicę podniósł i zaczepił na haczyki wiszące u hełmu, poczem już rażno wbiegł na schodki, zbudowane tymczasowo przed krużgankiem damskim, pokryte czerwonym suknem, a wiodące prosto do krzesła Xiężny Kingi.

Ta, pomimo swoich dawniejszych niechęci, była dziś w złotym humorze, bo Turniej poszedł wedle jej życzenia; wprawdzie nie obył się bez wielu razów i odrapań, ale dzięki Bogu, nie przyniósł żadnego wypadku śmierci, ani nawet żadnej cięższej rany.

To téż promieniejąca najwdzięczniejszym uśmiechem, wzięła ze szkarłatnej poduszki nagrodę «białogłowską».

Wszystkie inne były niezapreczenie kosztowniejsze, a jednak ta budziła najwięcej pożądania, bo została rzeczywiście wykonana przez damskie rączki. Była to chustka, długa jak ręcznik, biała jedwabna, przy obu końcach cieniuchno srebrem haftowana. Chustka taka stanowiła wówczas, najwyszukańszy i najbardziej charakterystyczny szczegół polskiego stroju. W zwykłych okolicznościach, noszono płócienną lub wełnianą, od wielkiego dzwona, jedwabną. Le-

genda opowiada, że Stolica Apostolska nakazała Polakom te chusty, jednocześnie ze stryżeniem włosów, jako pokutę za złamane śluby Kazimierza Mnicha. Bądź co bądź, nic nowego pod słońcem; eleganci Dyrektoriatu, zostali o pięćset lat wyprzedzeni w odkryciu halsztuchów «à l'incroyable», bo i te chustki nosiły się grubo, szeroko spowinięte w koło szyi, tylko zamiast kokardy na przodzie, miały prosty węzeł zadziergnięty po prawej stronie, a dwa końce w górę podniesione, wywijały się za uchem, jakby ogromny biały motyl.

Kiedy Przedwojowic dobiegł do balustrady, zatrzymał się na ostatnim stopniu, i wdzięcznym ruchem przykląkł. Wtedy królowa podniosła się, chustkę złożyła wedle przepisanych kształtów, i własnymi rękami mu ją zawiązała.

Po krużgankach rozległ się nowy oklask, chociaż tą razą mniej gorący, bo żaden z młodych nie uderzył w dłonie. Owszem, spojrzeli na szczęśliwca wzrokiem kolącym od zawiści. Za to wszystkie damy goniły go wzrokiem rozmiękłym od czułości.

Całe zgromadzenie ruszyło się z wielkim szumem. Rycerze wychodzili, aby zdejmować uzbrojenie, a przywdziéwać stroje świąteczne. Trębaczom dawano co prędzej całe konwie piwa,

i misy opierścienione kiełbasami, bo czekała ich jeszcze wielka praca; po Turnieju miała nastąpić uczta, a po uczcie tańce.

Bolesław Krakowski, długo poniewierany przez potężniejszych Piastowiczów, nałykał się w pierwszej młodości wielu upokorzeń, nawet od opiekunów Szlązkich, którzy z łaski swojej, ledwie mu przed rokiem ustąpili ojcowskiego Wawelu. Doszedłszy nakoniec do niezależności, a co więcej, pojąwszy w małżeństwo córkę jednego z najbogatszych i najpotężniejszych monarchów, która mu przyniosła w posagu ogromną sumę czterdziestu tysięcy grzywien, młodziuchny Xiążę chciał po raz pierwszy użyć w pełni wszystkich rozkoszy królewskości, chciał popisać się przed rycerstwem, a zwłaszcza przed bratankiem Szlązkim, z nowemi bogactwami i świetnością swój władzy. Korzystał więc z przyjazdu Henryka, aby w jego ugoszczeniu wystąpić z przepychem; nic nie szczędzono dla ozdoby Turnieju, a témbardziej dla wspaniałości uczty.

W największej sali ciągnęły się liczne stoły, z których jeden stał na pomoście, okrytym czerwonym sukniem, cały ocieniony długim, zło-

cistym baldachinem. Przy tym stole miały zasiąść głowy koronne, i kilku najwyższych dostojników. Na środku tego stołu świeciły trzy półmiski złote, których osobliwsza zwierzyna, prześlicznymi kształtami zarysowywała się w powietrzu; z dwóch bocznych, wystrzelały dwa łabędzie, tak sztucznie upieczone, że wdzięczny kształt ich szyi utrzymywał się za pomocą jakichś krętych rożenek. Z piór je odarto, ale za to były całe pośrebrzane. Ze środkowego półmiska, jeszcze wyżej od łabędzi, podnosił się pyszny paw. Temu, dziwnym kunsztem kucharskim przywrócono pióra; siedział, z ogonem roztoczonym jak tarcza nabita klejnotami, z migoczącym trzęsieniem nad misterną główką.

W koło półmisków, stały niskie, bizantyńskie lichtarze, z iglicą, na której zatknięte były żółte świece, stożkowato kręcone, coraz cieńsze u wierzchu, wydające do koła zapach czystego wosku.

Po brzegach stołu świeciły różne misy, jedne srebrne, drugie miedziane pozłociste. U innych stołów były cynowe, a nawet i gliniane, dosyć grube, jednak przyjemne dla oka krasiwością malunków, i zawieszistym połyskiem polewy.

Do picia stały czarki, także wyglądające na miski, tylko mniejsze, jakby trochę ściśnięte. Były i kubki szklane, wprawdzie porządnie zielonawe, ale z ozdobami ładnie wyrzniętymi,

jak na owym nieocenionym kubku Świętej Jadwigi, co do dziś dnia przechował się w Krakowie. Był nakoniec na każdym stole jeden kosztowny roztruchan o dwóch uchach, którym przy końcu uczy spełniano uroczyste Zdrowia.

Na stołach leżały zawsze dwa obrusy; jeden, zahaftowany różnobarwnie, najczęściej w kratki lub krzyżyki. (Gdyż od czasu wypraw Krzyżowych, wszystko wyszywano we wzory krzyżowe.) Ten obrus był nieruchomy, po bokach namarszczony w kunsztowne upięcia. Na nim dopiero kładziono mniejszy, biały, który nawet za każdym daniem odmieniano, bo ówcześni biesiadnicy byli mniej porządni od dzisiejszych.

Niższym stołom także nie brakowało skrzydlatych przystrojeń; i tam rozsiadały się na półmiskach ptaki, przybrane po upieczeniu w swoje pióra i czuby, no, ale jakie ptaki, to dziś trudno uwierzyć. Były tam czaple, bociany, a nawet jastrzębie! I wszystko to nietylko służyło do ozdoby, ale miało na prawdę służyć do jedzenia. Smakosze ówcześni, posiadali jakieś odmienne od naszego podniebienie; żadnym stworzeniem boskiem nie gardzili. Wszystko przechodziło gładko pod metamorfozami niesłychanych przypraw, bo téż cała kuchnia tamtowieczna stała na przyprawach, i nie pojmowano, aby można spożywać jakie mięso, bez bajecznej ilości najdziwaczniejszych sosów.

Niełatwo było wieczór oświecić salę dużą, i gęsto gośćmi napełnioną. Owe stożkowate świece, dawały płomień gruby ale smutny, podobny do światła gromnic; zresztą, jako przedmiot kosztowny, i dużo zabierający miejsca, były dosyć rzadka rozstawione. Szczęściem, posiadano jeszcze inne sposoby; od sklepień zwieszały się łańcuchy, z pokrzyżowanemi deszczkami, na których każdym ramieniu płonął pękaty kaganiec; woń tłuszczu, choć szeroko rozpostarta po sali, nie była dzisiaj nieprzyjemną, bo na tak wielkie uroczystości, olej zaprawiano pachnidłami. Nakoniec, weszły i ruchome świeczniki, pochodnie trzymane przez tłum dworskich pacholąt, i w sali zrobiło się prawdziwie jasno.

Damy, pozrucawszy futrzane szuby i płaszcze, weszły do jadalni, gdzie odnaleźli się i Duchowni; jedni, pomartwieni że nie mogli być na Turnieju, z żalem wypytywali się o jego szczegóły,— drudzy, urażeni że odbył się mimo ich oporu, milczeli z brwiami zmarszczonemi.

Ale niedługo, wszystkie brwi się porozmarszczały wśród srebrzystego śmiechu panieńskiego, zwłaszcza, kiedy jeszcze drugimi drzwiami weszli rycerze, przestrojeni do niepoznania, w miękkie bławaty, złotości i wstęgi.

Na czele młodzieży, szedł tryumfator Przedwojowic, zwracający oczy swoją szyją, grubą od

chustki jak u gołębia gardlacza, i swoją szatą, zawsze białą, ale inaczej wyszywaną niż pierwsza; zamiast złotych skrzydełek, miała po sobie złote klatki, symbol niezmiernie wymowny; tylko nikt jeszcze niewiedziało, czyje to wdzięki, uwięziły wolnego dotąd ptaszka?

Zauważono jednak w jego ubiorze pewną niewłaściwość, zadziwiającą ze strony panicza, co zwykle służył za wzór dobrego smaku; u boku miał zawieszoną, bardzo dużą i grubą kaletę, która brzęczała, jakby nadziana piędzmi. Dobra do noszenia w podróży, razila przy stroju dworskim.

Pewien rycerz, któremu się mocno niedarzyło w szrankach, ruszył ramionami, i rzekł napół głośno:

— Któż przychodzi do królów z workiem pełnym, jakby do żebraków?

— Może chce grać w kości? — Zauważył z przekąsem inny.

— O! To się grubo złapie. Kosterstwo nie kwitnie teraz na Dworze. Król gra tylko w szachy, i to zawsze darmo; Xiądz Biskup nie dałby mu i jednej sztuki złota stawić.

Tak zazdrośnicy pocieszali się obmówiskiem, kiedy u drzwi przeciwległych, wielki okrzyk powstał i wszystko zagłuszył; starsi mężowie dopiero teraz wtargnęli na salę, i spostrzegłszy nakrycie głównego stołu, wołali rozradowani:

— Wieczera z pawiem! Wieczera z pawiem!
Będziem się mogli zaprzysięgać!

Co znaczyła «przysięga na pawia», ważniejsza nawet niżeli przysięga na wszelkie świętości? Ważniejsza przynajmniej ze stanowiska doczesnego, bo jeśli złamanie przysięg religijnych, mogło zgubić duszę po śmierci, złamanie tamtęj hańbiło na całe życie.

Zkąd przyszła Średnim wiekom, owa cześć dla pawia?

O! Moznaby całą książkę napisać o dziejach symbolicznych tego ptaka, chociaż źródła do niej są rzadkie i zamacone, był to bowiem jeden z odwiecznych symbolów nauki *ezotyrecznój*, tajemniczój.

Wielkość jego już pojawia się w religjach środkowej Azji, gdzie zwykle przy najwyższej bogini, siedzi paw' stu - oki. Z Indji, cześć jego przechodzi przez łańcuch różnych ludów, raz jaśniejsza, drugi raz mniej pochwytna, — aż w Grecji go znów odnajdujemy z pierwotnym jego blaskiem; dwa ptaki królują na szczycie Olimpu: orzeł u stóp Jowisza, paw' u stóp Junony, — jeden wszystko - mogący, drugi wszystko - widzący. Dla tłumu, dla gawiedzi, orzeł jest królem ptaków; ale dla wybrańców, przypuszczonych do tajemnic Eleuzy i Trofoniusza, prawdziwym kró-

lem nieba jest paw' zapatrzony, paw' «kontemplacyjny», — podczas kiedy drapieżny orzeł, to tylko jego hetman. Wtajemniczeni wiedzą, że *siła* powinna ulegać *mądrości*. Ale to sekret, niebezpieczny do szerzenia w świecie, gdzie ostatecznie siła jeszcze rządzi. Mędracy czczą pawia między sobą, jako symbol swego przyszłego zwycięstwa, a tymczasem, aby lepiej tłum oszukać, pomawiają pawia o pychę i miałość] rozumu. Rzeczywiście, mądrość nad-światowa, jest bardzo nie-radna w zabiegach i przebiegach tego świata.

Z Eleuzy, cześć pawia przeciąga się przez łańcuch niezliczonych «stowarzyszeń tajemnych», aż do dni naszych, w których jeszcze nie zagięła.

Tak, i dziś jeszcze, dla prawdziwych adeptów tej stu-ramiennéj nauki co goni za «nadprzyrodzonym», paw' oznacza dar *jasnowidzenia*, czyli wglądania w przestrzeń, — dar *prorokowania*, czyli wglądania w przyszłość, — *dar cudów*, czyli dopatrywania piérwszéj przyczyny przyczyn, — słowem wszelką *wizję*, wszystko co można wyobrazić przez *oczy*.

Symbol wielki! Sięgający aż do Cherubinów, — bo i Cherubinom, tym Duchom arcy-mądrości, księgi święte nadają postać nasianą «oczami».

Rycerstwo średniowieczne, które także było tajemnym stowarzyszeniem, związanym w rytuał,

inicjacje i cele, niedosyć jeszcze do dziś dnia wyjaśnione, przechowało wiekową cześć dla pawia, i już nawet uchyliło nieco zasłon tajemnicy, kiedy w niektórych okolicznościach, jak naprzykład przy owęj przysiedze, przyznawało się jawnie do téj cześci, nie troszcząc się bynajmniej o dziwowisko i śmieszne powiastki pospólstwa. Wyższe duchowieństwo, jako wtajemniczone, nie wzbrañało symbolu mającego najwyższe duchowe znaczenie, i tak, stoły biesiadne stawały się rodzajem świeckich ołtarzy, na których ludzie pięści, ludzie krwi i siły, czcili władzę duszy, co zwycięża jednem spojrzeniem, — duszy, tak spojonej zawsze z tym symbolem, że i Psyche, na motylach skrzydłach miała pawie oczy.

Wielkie pytanie, czy *wszyscy* rycerze rozumieli dokładnie te eteryczne allegorje? W każdym razie, szli za drugimi, i mrugając znacząco, cieśzyli się do ptaka, co był niejako herbem całego rycerstwa.

Baczność! Trąby znowu się odezwały.

Przeze-drzwi szeroko roztwarte, jedna za drugą wchodzą panny służebne, dziewczki ładne, rumiane, z włosom chędogo zaplecionym w kilka wiszących warkoczy, z pysznemi fartuchami w kwiaty, i biczem koralu na szyi. Każda niesie

dymiącą się misę, — przed każdą stąpa dwóch trębaczy.

Na pierwsze danie, jest rosół z gałkami korzennymi, barszcz z uszkami, zupa mleczna zaprawiona migdałami, i polówka winna z cynamonem. Nie wiedzieć doprawdy, którą wyborność wybrać? Większą część gości, je w kolój wszystkie cztery.

Potém, zjawiają się na deskach wklęsłych, podobnych do czółenek, szczupaki w sosie białym z chrzanem, karpie w sosie brunatnym z miodownikiem, i Wiślane łososie z przyprawą «po królewsku», to jest z sosem żółtym szafranowym. (Rzecz naówczas niezmiernie droga).

Dalój, na półmiskach, idą łapy niedźwiedzie, ubrane jakby ręka ludzka, w pierścionki i bransolety z pozłacanego ciasta, — prosięta z głową pośrebrzaną, — kury i kaczki w sosie zielonym ogórkowym, — pieczenie wołowe i baranie w sosie karmazynowym z ćwikły, — combry sarnie i dzicze w sosie czarnym pieprznym, — nakoniec, na rodzaju tarczy, wjeżdża żubr pieczony, z pozłacanemi rogami.

Później nastąpiły dania innego rodzaju; rozmaite piérogie, z kapustą, grzybami, powidłami, — kaszki sypkie i zapiekane, — sławne krakowskie małdryki z sérem, — nakoniec wety, czyli różnokształtne ciastka i owoce, smażone w miodzie, a co więcéj, posrebrzane i złocone, konieczny wówczas warunek kuchni prawdziwie wykwin-tnej.

Było więc wspaniale, nawet może nadto wspaniale, na małe Xiążątko władające dwoma Województwami, ale odpowiedzialność za ten zbytek, spadała tą razą na Xieźnę Grzymisławę, która zapragnęła choć raz jeden, ujrzyć syna gospodarzącego za stołem prawdziwie królewskim, a trochę i na Kingę, przywykłą w domu rodzicielskim, do niekłamanych bogactw i do starych tradycji Bizanckiego przepychu.

Przyszłość też pokazała, na przekór prawemu rozsądkowi, że dobrze robili, używając darów bożych póki można. Ach, dość mieli się napościć później! To szczęście, że Henryk Szlązki był poczciwy z kośćcami. Zamiast się trucć zardością, pomyślał tylko sobie:

— Oho! Trzeba też będzie Bolka zaprosić kiedyś do Wrocławia, i wyprawić wieczerzę jeszcze sutszą, choćby przyszło na cały rok wysyłać się ze wszystkiego.

Królowa jadła swoim sławnym sztućcem. I dla gości były, nietylko łyżki i noże, gęsto po stołach rozsypane, ale gdzie-nie-gdzie nawet i widelki. Mały jednak ciągniono z nich użytek, bo dla owęj obfitości sosów, a zwłaszcza tłuszczów, każda prawie potrawa zmieniała się w rodzaj zupy. Załatwiano się z poprzekrawaniem głównych kawałków strawy, poczem biesiadnicy spożywali

ją zwykle łyżką, pomagając sobie nieustannie długimi kromkami chleba, które lubili maczać i tarzać w misie, aż do jej zupełnego wysuszenia.

To też ogromną ilość chleba spotrzebowywali ówcześni goście; a bywał on w rozmaitych gatunkach. Tu, przy stołach królewskich, podawano przeważnie wyborny chleb Prądnicki, który właśnie w tych czasach zaczął słynąć, od chwili kiedy Biskup Iwo Odrowąż zaprowadził we włościach Prądnickich swoje piękne, xięże gospodarstwo.

Wieczera przeciągnęła się niezmiernie długo. Dzisiejszych ludzi znużyła-by do niewytrzymania; ale wtedy, wielkie zjazdy i uczyty były rzadkie, spraszano się i przygotowywano przez całe miesiące, nic dziwnego że goście chcieli użyć wszystkich rozkoszy aż do syta; jedli powoli, obmywali ręce kilkokrotnie, opowiadali długo, i mogli pić dużo.

W napojach był wielki wybór. Złociły się w czarach kwaskowate wina Reńskie, które przedziwnie smakowały Szlązakom, ale Krakowianom wykrzywiały usta. Czerwieniły się wina Francuzkie, wielkim kosztem sprowadzane przez Biskupa Prandotę, wykwentne jak jego rozmowa. Pachniały wina Greckie; tych jednak widziano mniej niż kiedykolwiek, odkąd oplakane zajęcie Kijowa przez Mongołów, utrudniło dla handlu tak zwaną *grecką drogę*. Za to, pojawiły się, i bardzo spo-

dobały, wina Węgierskie, mało jeszcze znane, a które teraz właśnie, z przybyciem Węgierskiej królowny, zaczynały wchodzić w długotrwałą modę. Słodki Maślacz zasmakował damom, i niejednej rozwiązał usteczka.

Bardzo to roztropnie, że go nie zawiele kosztowała Ludmiła, i tak już upojona czarami Dworu, a zwłaszcza hołdów jakie jej składano. Pierwsza trwożliwość prędko ją odbiegła, powodzenie daje odwagę. Dla niej, biesiada nie wydała się zanadto długą; miłe sąsiedztwo ją skracало; Przedwojowic siadł obok Ludmiły, i prosił o podzielenie się misą; wtedy bowiem, naczynia stołowe były kosztowne ale w małej liczbie; jedną miskę dawano czasem na cztery, a już co najmniej na dwie osoby, i do obiadu, pary dobierały się jak do tańca.

Po wypróbowaniu jednak win przerozmaitych, większa część biesiadników, zwłaszcza starszych, wróciła do pocziwego miodu, który już wtedy zwał się *staropolskim*, a dla prawnuków Piasta, był nie tylko rodzimym, ale i rodzinnym napojem.

Bolesław, kazawszy napełnić roztruchan, wniósł zdrowie gościa, Xięcia Henryka, «najmilszego nam brata i przyjaciela».

Gość wniósł nawzajem zdrowie «Gospodarstwa» i «szanownej matki», — trąby huknęły, czary się podniosły.

Wtedy Krajczowie przystąpili z nożami do pawia i do łabędzi. Ale ich wstrzymano.

Pierwszy ich wstrzymał Przedwojowic. Otworzył kaletę, i wyjął, nie pieniądze — ale długi, pozłacany łańcuszek, z dwiema obręczami, zamkniętymi na kłódki, wszystko ślicznie i lekko wyrobione; ówczesna ślusarszczyzna liczyła się nieledwie do sztuk pięknych.

Jedną z tych obrączek, założył sobie na prawą nogę, koło kostki, — drugą włożył na lewą rękę, — środek łańcuszka zaczepił haftką u piersi, — i złoty kluczyk podając Ludmile, prosił aby zamknęła obie kłódki, a kluczyk u siebie zatrzymała. Poczém, przystąpiwszy do głównego stołu, z ręką wyciągniętą wyrzekł:

— Ślubuję na tego tu oto pawia, że nie zdejmę tych kajdan, dopóki nie spełnię jakiego czynu, co będzie taki chwalebny, że sama ta zacna panna ulituje się mojej niewoli, i otworzy moje okowy.

Całe zgromadzenie zwróciło się z oklaskiem do Ludmiły, płonącej od zmieszania i chluby. Istotnie, było się czém pochlubić, taki głośny hołd znamienitego rycerza, przynosił kobiecie wielki zaszczyt. Był on wprawdzie czczy, i nie obiecujący szczęścia, nie dowodził wcale prawdziwej miłości, owszem, prawie zawsze ją wykluczał. Dobry ton ówczesny, nie pozwalał ry-

cerzowi żenić się z «panią swoich myśli». Najczęściej, on się żenił z inną, ona szła za innego, a nadpowietrzna ich miłość, górowała nad wszystkimi obowiązkami ich życia, krążąc w jakiejś mglistej, źle określonej dziedzinie, ach, i aż nadto często spadając ku ziemi. Trudno zaprzeczyć, że moralność głęboko cierpiała na tém niejasném rozgraniczeniu uczuć, ale któryż wiek uzna się dość niewinnym, aby tamtemu rzucić pierwszy kamień? Może nasz?

Ludmiła nie zastanawiała się nad temi odzieniami uczuć, połała sie tylko tryumfem. Ależ bo i w jój sercu, jakież drgało uczucie? Byłaż to już prawdziwa miłość? Czy tylko poryw turniejowo-biesiadny? Któż zgadnie doniosłość takiego pierwszego porywu? Może się przerodzi w trwałą płomień, a może zgaśnie jutro, jak te ognie sztuczne, co na chwilę wszystko zabarwią swoim jarzącem światłem, a potem zostawią jeszcze głębsze ciemności, w których najmniejsza lampka, blada ale wiernie gorejąca, staje się droższą od przelotnych blasków?

Za Przedwojowicem, przystąpił do pawia inny rycerz; ten przysiągł, że trzech pogan Prusaków, spętanych stawi przed królem. i to w przeciągu roku.

Inny, ślubował pielgrzymkę aż do Kompostelli.

Jeszcze inny wybudowanie kilku nowych cel «ogrzewanych», przy Szpitalu Ś-go Ducha nad Prądnikiem.

Nakoniec powstał Xiążę Henryk, wyciągnął rękę nad ptakiem, i zawołał:

— A ja, ślubuję Bogu w Trójcy jedynemu, że jeżeli Tatarzy do nas przyjdą, nie poddam karku pod jarzmo, ani ucieknę za góry, ale ich wypędzę, albo dam się zabić. Aby zaś mieć zawsze w pamięci to moje ślubowanie, od dziś dnia obieram pawie pióra, za godło do hełmu.

Xiążę Bolesław, porwany jego przykładem, już wstawał, i chciał zapewne wystąpić z podobną-że przysięgą, kiedy Xiężna położyła dłoń na jego rękę, i szepnęła.

— Ach, nie wiąż naszój przyszłości ślubami..... Każdy dzień ma dosyć swojej troski.....

Małżonek uczuł w jój głosie słodycz, jaką rzadko kiedy kładła w swoje słowa; od razu podbity, zaniechał przysięgi, a chcąc usprawiedliwić swoje naprózne wstanie z krzesła, pochylił się nad stołem, wyjął z półmiska ogon pawi, który był tylko zlekka na drucie zatknięty, i podał go Xięciu Henrykowi, mówiąc:

— Niech służy do hełmu.

Henryk przyjął mile kosztowny podarek, i odtąd rzeczywiście nosił już zawsze ów potworny grzebień, z którym do dziś dnia możemy go

widzieć, na współczesnych, miniaturowych obrazkach.

Takimi to ślubami wsławił się ów serdeczny bankiet.

Upamiętnił go jeszcze inny szczegół, mało wtedy zauważony, ale który później, żywo stanął w pamięci narodu.

Było to przy wetach, kiedy podawano złoczone owoce. Któryś z gości zrobił uwagę:

— Jakby to było dobrze, gdyby złote, prawdziwie złote śliwki albo jabłka, same tak rosły na drzewach!

I wnet każdy zaczął sobie łamać głowę, co by zrobił, gdyby znalazł takie drzewo? Albo kurę o złotych jajach? Albo chociaż skarb zakopany?

Mistrz Gaudenty zapytał się królowej, czy to prawda że za panowania jej dziada, króla Andrzeja, słyszano gdzieś w górach jakiś głos cudowny, obiecujący wielkie skarby, w nagrodę za cnoty króla? I że na temże samém miejscu, znaleziono kopalnię złota, nieprzebraną, jak nigdzie na świecie?

— Tak, to było w jednej z gór Kremnickich. — Odparła królowa. — Że złoto się tam znalazło obficie niż w innych górach, to prawda. I to także prawda, że mój dziadek użył go cno-

tliwie; od owego czasu, coraz więcej budował kościołów i rozdawał jałmużny. A zkaąd był ów głos cudowny, to Bogu jednemu wiadomo. Dużo o tém gadano po całym królestwie i na Dworze, nasłuchiłam się i ja od kolébki. Ale ile razy, my dzieci, chciałyśmy coś wyciągnąć od samego dziadunia, uśmięchał się tylko nabożnie i kładł palec na ustach.

— Oj! — Przerwał Xiąże Bolesław. — I nam by się przydały takie głosy. Naprzykład w Karpatach, — albo nie..... jeszcze bliżej, gdzieś tu, koło Krakowa, maluchna kopalnia złota zdałaby się, nieprawdaż?

— Co do mnie, — odrzekła Kinga, — gdybym już miała prosić Boga o jaki skarb ziemski, to w każdym razie nie o złoto.

— A więc o co? — Spytało kilka głosów.

— O coś takiego, coby mogło się przydać nietylko dla bogatych, ale i dla ubogich.

— Gdzież znaleźć taki skarb osobliwszy? — Spytał drwiąco Bakałarz Erazm.

Królowa zamyśliła się, i wzrokiem pytającym powiodła do koła. Oczy jęj, przebiegając stół biesiadny, zatrzymały się na srebrnej, kunsztownej solniczce. Uśmięchnęła się, i rzekła:

— No, naprzykład sól.

Gdy wymawiała te słowa, powstawano właśnie od stołu. Orszak, rozjaśniony pokrzepieniem

i rozweseleniem, płynął gwarnie ku sali tanecznej, a przodem szli trębacze, do których przyłączyli się skrzypkowie, harfiarze i cymbaliści.

Rozpoczęto tłumne, hałaśliwe tańce, zasadzające się głównie na wiązaniu i rozwiązywaniu kół, splatanych do nieskończoności, przyczém, sami tancerze i tancerki, przyśpiéwywali i przytupywali sobie, na rytm i melodję różnych znanych piosenek.

Bolesław usilnie prosił żonę, ażeby z nim poszła w taniec, ale wymówiła się wielkiém «boieniem głowy», które ją napadło w huku Turniejowym. Król, dotknięty, puścił się w płasy z innymi białogłowami, wywijał głośno i ze śmiechem, ale to była wesołość udawana, która téż prędko prysła jak bańka na wodzie. Ledwie Kinga wysunęła się za Grzymisławą, — niby dla wypoczynku, a w rzeczy samej dla nieominięcia pacierzy wieczornych, — król osmutniał, przestał tańcować, i siadł w bocznej komnacie, gdzie rozrywał się rozmową ze swoim «najpocziwszym» Biskupem.

Na sali owszem, dopiero z odejściem Królestwa, nastąpiła wesołość rzeczywista, niczém nie krępowana. Bawiono się cudownie, jak wtedy umiano, z pustotą, nietylko młodzieńczą, ale — że tak rzeknę — podlotkową.

Bo téż cała Polska była jeszcze wówczas młodziuteńkiém dziewczęciem, biorącém życie

z jego strony różowój. Wprawdzie już i wtedy, przychodziły na nią godziny zmartwień, zawodów i swarów, ale te wszystkie przeciwności, choć żywo odczute, bywały i żywo zapomniane, a grunt serca pozostawał swobodnym i pełnym otuchy na przyszłość, bo dotąd nie była jeszcze poniosła żadnej straty niepowetowanej, nie doświadczyła żadnego prawdziwego nieszczęścia, — *ach! jeszcze nie znała Tatarów!*

Cudnie się więc bawiono, a najcudniiej dzień ten się wyrył w pamięci i sercu Ludmiły. Ona miała najliczniejszych tancerzy, najwięcej zbierała ognistych półsłówek i strzelistych spojrzeń, i jeśli Kinga zawsze była na Wawelu królową narodu, Ludmiła tam owego wieczora, uczuła się królową zabawy.

Rozstanie.

Jaka szkoda że godzin tryumfu i wesela, nie można przedłużyć do nieskończoności! Że po każdym dniu słonecznym, nadchodzi jakieś nazajutrz chmurne i posepne, tém posepniejsze, im światłość mocniej nas olśniła!

I dla Ludmiły nastąpiło takie nazajutrz.

Wnet po skończonym Turnieju, Michał Przedwojowic opuścił stolicę, wioząc rozkazy Wojewody Klemensa do stanowisk wojennych, gdzie młodzież wprawiała się w rycerskie dzieła.

Wyjechał ze wschodem słońca, i królowa Turnieju nie mogła już nawet odebrać odeń pożegnane spojrzenia. Ale to rozstanie było opromienione jutrzemką różowej przyszłości. Ludmiła, widząc się cudownie ocaloną od przeszłego niebezpieczeństwa, zaczęła wierzyć w spełnienie i przyszłych marzeń. To też wiadomość o wyjeździe rycerza nie bardzo ją zastraszyła. Uśmiechnęła się w duszy, i powiedziała sobie:

— Szkoda że pojechał... ale przecież wróci? Oho! Musi wrócić... Któżby mu otworzył okowy?

Nierównie boleśnieszem było rozstanie z Elżbietą, z tą pocieszycielką, z tą wybawicielką. do której zwolna, jako bluszcz do drzewa, przyrosła tysiąciami gałązkami duszy, słodkiem zaufaniem, wspólną zamianą myśli, czcią dla jej cnót cichych, a nakoniec najgłębszą, dozgonną wdzięcznością.

I Elżbiecie było smutno opuszczać Ludmiłę, bo jeśli mocno przywiązujemy się do naszych dobroczyńców, to może jeszcze mocniej miłujemy tych, którym potrafiliśmy wyświadczyć jaką wielką przysługę, tych zwłaszcza, dla których wycierpieliśmy wiele. Chyba doznanie jakiejś wielkiej, czarnej niewdzięczności, może zwrócić nas, a raczej zepchnąć, z tej serdecznej drogi. Zazwyczaj, chcemy w oczach świata, a nawet i we własnych, usprawiedliwić niejako nasze przeszłe ofiary, wynajdując w osobie co była ich przedmiotem, coraz nowe zalety i nowe zasługi. Tak jedno poświęcenie wciąga w dalsze. Prześlicznie to Bóg urządził.

Żal więc było Elżbiecie porzucić miłą towarzyszkę, i to właśnie w chwili, w której dusze ich bliżej się porozumiały. A jednak musiała co prędzej odjeżdżać, już nie było żadnej wymówki; w kilka dni po Turnieju odjechał Xiążę Szlązki, a z nim i Xiądz Maciej, pozorny powód jej pobytu w Krakowie. Po spełnionym obowiązku

względem sieroty, wielkimi głosami wołały na nią, stokroć bliższe, obowiązki żony, matki, i pani domu.

A co najsmutniejsze było w tém rozstaniu, to że nad niem nie świtał] żaden promień przyszłości. Może jeszcze kiedy się spotkają, ale to chyba tylko na chwilę, w przelocie. O życiu wspólnem, o tych zwierzeniach każdéj chwili, już ani myśleć, ani marzyć. Losy ich rozchodziły się, jak dwie, na chwilę skrzyżowane drogi.

Już konie dzwonią podkowami przed sienią. Już Rupert zagląda z powtórnyem ostrzeżeniem, że wszystko do podróży gotowe. Ludmiła raz jeszcze objęła odjeżdżającą w serdecznym uścisku, i rzewnie płacząc mówi:

— Najmilsza Elżbieto! Nigdy nie zapomnę tego co dla mnie uczyniłaś. Ach, tyś cudów dokazała, tyś naraziła się dla mnie na tyle umartwień, a ja niczem nie mogę ci się odsłużyć, niczem!

Tu z wrodzoną sobie gorącością, padła na kolana, i podnosząc obie ręce, zawołała:

— Boże dobry! Daj, abym kiedyś mogła jęj się odwdzięczyć!

Prośba wyszła z samej głębi jęj duszy, i Bóg ją usłyszał.

Filuterność panieńska.

Niema Elżbiety, — odjechała. Ludmiła mieszka na Zamku przy królowej. Koronna pani wielce na nią łaskawa. Panna Agnieszka, dzieląca wszystkie uczucia Kunegundy, wyszczególnia nowo-przybyłą wyjątkowemi względami. Inne panienki dworskie, widząc ją w wysokich łaskach, nadskakują i schlebiają na wyścigi. Król rozmawia z nią jak z siostrzyczką, na żarty jej rai swoich najstarszych i najnudniejszych dostojników, a na prawdę, snuje dla niej zamiary wielkiego wyniesienia; przemyśliwa, czyby jej ręką nie obdarzyć którego ze swoich zubożałych xiążących krewniaków?

Mięsopustna wesołość szaleje w Krakowie. Po ulicach uwijają się maskary, w koło miasta dzwonią kuligi z pochodniami, w Zamku śmieszki, widowiska i pląsy.

Zdawałoby się, że młoda panienka, lubiąca taniec i stroje, kiedy mieszka na monarszym Dwo-

rze, kiedy ma do syta zabawy i hołdów, powinna być zupełnie szczęśliwą? Prawda, życie tu świetne, jaskrawe jakby czarodziejska powieść, a jednak, Ludmiła znów się czuje sierotą. Cóż po wszystkim, kiedy Miłość i Przyjaźń rozbiegły się na dwie strony?

A przytém, nowe, nieprzewidziane troski załęgły jój umysł. Królowa coraz poufalej z nią rozmawia, ale — któż mógł to przewidzieć? W owych rozmowach, usiłuje widocznie nakłonić ją do życia zakonnego. Ludmiła zaczyna rozumieć, że jeśli świątobliwa pani podjęła się jój obrony, to tylko w nadziei uzyskania nowój duszy dla nieba. A niełatwo z Xiężną się spierać; najprzód, uszanowanie zamyka usta, — powtóre, Kinga nie wiedzieć zkąd bierze jakieś takie przekonywające słowa, że słuchając jój, człowiek się tylko dziwi, dla czego jeszcze wszyscy ludzie nie pozamykali się w klasztorach? Zbawienie tam prawie pewne, — z Oblubieńcem Niebieskim jarmo lżejsze niż z małżonkiem ziemskim, — nikt nie fuka, do koła same siostry, — a co kadzideł, muzyki, a te zachwycenia w modlitwie, które już naprzód pokazują niebo! Życie nie wiedzieć gdzie się podzieje, i z takiego życia prościutko między archanielskie chóry! A mój Boże, któżby się wahał?

Wszystko to prawda, Ludmiła nie miałyby ani słówka zarzutu, gdyby..... gdyby i na ziemi nie było archaniołów.

Z drugiej strony, znowu inna groźba: z różnych dziwnych półsłówek, Ludmiła zmiarkowała że król ją chce swatać, a z królem cięższa sprawa niżeli z Sulisławem, takiemu opiekunowi ani się wywinać.

Ależ moja Ludmiło, trudna z ciebie dziewczyna.

— Chcesz korony niebieskiej? — Nie.

— Chcesz korony xiążęcój? — Nie.

Czegóż tedy chcesz?

Ach, ta nieszczęsna manela spętała jej wole, ów złoty łańcuszek poplątał jej przyszłość! I żebyż przynajmniej ta przyszłość miała się na czém oprzeć? Ale wszystko wątpliwe, sama Ludmiła już zaczyna wątpić, bo pan Michał nie wraca ani myśli wracać.

Słyszała jak dworzanie mówili między sobą że pojechał z poselstwem do Xięcia Halickiego Daniela, a później ma jechać z wyprawą na Prusaków. Aż okropność pomyśleć jak to długo potrwa! I jeszcze to była jedyna okoliczność, przy której dało się słyszeć jego imię. Zresztą głucho zupełnie o Przedwojowicu; prócz Ludmiły, wszyscy już o nim zapomnieli. U Dworu codzień nowy gość, nowe sitko na kołek; w Turniejach nowi zwycięzcy zbierają oklaski. Niema nawet z kim pomówić o tém co w sercu gada.

Charaktery obdarzone stanowczością. umieją nadawać swemu życiu niespodziane zwroty.

W ciągu pewnej rozmowy z królową, Ludmiła wyznała jej, że pragnie wypróbować swoje powołanie, że w tym celu chciałaby opuścić dworskie pokusy i marności, i na pewien czas osiąść w jakim klasztorze, jeszcze nie dla ostatecznych ślubów, ale dla bliższego przyjrzenia się życiu zakonnemu.

— Gdyby — dodała w końcu — pozwolono mi wybierać między klasztorami, wybrałabym najochotniej Panny Norbertanki w Witowie. Tyle tam zostawiłam łaskawczyń, i tyle słodkich wypominków!

Kinga słuchając aż się zarumieniła z uciechy, przygarnęła sierotę do łona, i na] czole jej złożyła pocałunek.

Ach, Ludmiła nie wiedziała, że to był pocałunek przyszłej Świętej Pańskiej..... nie знаła jeszcze całej jego wartości, a jednak zawstydzila się w głębi duszy, bo poczuła że nie był zasłużony, że go niejako wykradła słowami, które pokrywały myśl zupełnie odmienną.

W swoim panińskim rozumku, od kilku dni usnuła planik dość przewrotny.

Już pobyt w Żegnańcu ją nauczył, jak wiele znaczy zyskanie na czasie. I teraz więc chciała wszystko przewlec, królowi zejść z oczu, królowę uspokoić, — a przytém..... wiadomo kto był Xienią w Witowie.

Przedwojowic niema dostatków ani starego imienia. Osobistemi dopięro zasługami wywalcza sobie stanowisko. Łatwo przewidzieć, jak się przywiązana ciotunia ucieszy, gdy zmiarkuje że jēj siostrzanek może podnieść oczy do wysoko urodzoněj bogaczki. A przytém, Xieni ma wielki mir u królowěj, Ludmiła liczy na jēj orędownictwo.

— Zresztą — myśli sobie' — byle zacząć, a potém już jakoś pójdzie. Tak będzie, tak być musi, bo ja tak chcę.

Zwykłe rozumowanie młodości!

Bolesław skrzywił się na wiadomość o wyjeździe Ludmiły. Gdy mu zaręczono że to na krótko, tylko na Postne rekolekcje, zezwolił, ale z wyraźném zastrzeżeniem, aby wróciła na wielkie Święcone u Dworu. Oświadczył że się nie tknie żadnego mazurka, dopóki śliczna pupilka własną ręką mu go nie ukroi.

Zapusty wrzały w najlepsze, kiedy Ludmiła, bez żalu, owszem z pełną ochotą, opuszczała stolicę, przeprowadzana przez podżyłą ochmistrynię, i kilku dworzan dodanych sobie od królowěj.

Dziwna rzecz, jak przedmioty zmieniają nam się w oczach, wedle koloru naszych myśli. Tenże

sam klasztor, co przed rokiem wydawał się Ludmile grobem, teraz jęj zabłysnął jak latarnia morska, co miała całą jęj przyszłość rozświecić.

Ile wspomnień w tym prześlicznym dziedzińcu klasztornym, obdzierganym siecią kruźganów, gdzie z rówienniczkami] gonila się tyle razy! Wprawdzie teraz, pora zimowa nie pozwalała biegać po jego murawach, ani zrywać jego sławnych kwiatów, ale za to w głębi gmachu wabił ciepły refektarz, wabiły długie korytarze, gdzie z dziecinną uciechą poznawała, wązkie, wyblakłe oblicza obrazów i krucyfixów.

Z niemniejszym wzruszeniem powitała znajome sobie twarze mniszek, zwłaszcza sędziwą Xienię, która teraz była dla nięj przyobleczona w urok nieledwie macierzyński.

W pierwszym dniu, ciche to życie wydało jęj się słodsze niż zabawy Krakowskie. Tu mogła śmiało się rozpytywać o siostrzeńca Xieni, a pytania te nikogo nie dziwiły, wzięto je za dworską uprzejmość. Rozpowiedziano jęj tęż ze szczegółami, gdzie przebywa, gdzie się wybięra, unoszono się nad jego walecznością i sławą, Ludmile serce rosło.

Wkrótce jednak poznała, jak na tym świecie wszystko idzie z kamienia. Po piérwszych wybuchach powitań i wynurzeń, zakonnice wróciły

do rozmów nabożnych, lub dotyczących się gospodarstwa klasztornego, a ciocia Pana Michała była zadziwiająco niedomyślną. Królowa napisała do niej, polecając jej gorąco przyszłe powołanie Ludmiły. Pocziwa Xieni uwierzyła w ten list najdobroduszniej, poczytywała już Ludmiłę za wspaniałą zdobycz dla swego Nowicjatu. Cały klasztor pysznił się takim nabytkiem.

Sierotę zdjął nowy postrach. Zwierzenia które miała przelać w serce Przełożonej, które zdaleka zdawały jej się tak łatwe, teraz żadnym sposobem nie chciały jej przejść przez usta. Trzeba przyznać na pochwałę Ludmiły, że jeśli w życiu czynnym była rzadkiej odwagi, za to w rzeczach dotyczących serca, miała prawdziwie panięską strachliwość. To też mijały dni za dniami, a nie śmiała zaprzeczyć ogólnemu głosowi, nie śmiała przed Xienią się wywnętrzyć. Bo też to tak trudno za sobą samą mówić, siebie samą niejako swatać! Na własnym ręku nikt węzła dobrze nie zadzierzgnie, trzeba na to jakiejś ręki obcej, a biegłej w sztuce «przywiązywania».

Ludmiła nieraz westchnęła:

— Mój Boże, czemuż tu niema Elżbiety? Ona - by wszystko za mnie powiedziała, ona - by wszystko ułożyła. Niema jednak na świecie skarbu nad szczerą przyjaciółką, zwłaszcza dla sieroty!

Parabaza.

Wszak czytaliście Arystofanesa?

No, może się trafić że go kto i nie czytał, niema w tém grzechu, ale jest wielka strata, bo kto Arystofanesa wertuje, ten może być pewien że się do łez uśmieje, a co więcéj, zdobędzie świadomość czém była «Parabaza», bez której Grecka komedja rzadko się mogła obejść.

W chwili najżywszego zawikłania, wśród najpustszych wybuchów śmiechu, nastawała nagle chwila ciszy, po której Chór występował, już nie ze słowami przestrogi albo współczucia dla grających, ale z rodzajem przemowy od autora do publiczności.

Były w téj przemowie historjoficzne poglądy, były przystosowania do bieżących wypadków, była nauka z przeszłości dla obecności, słowem było wszystko czego autor niemógł przyzwoicie umieścić w samej komedji, a co mu ciążyło na sercu.

Podobna przerwa opóźniała bieg sztuki, jednak była powszechnie pożądaną, wyczekiwaną od słuchaczy Ateńskich, zawsze chciwych szermierki umysłowej, a zwłaszcza owych palacych przystosowań do chwili obecnej.

Wprawdzie, co komedja to nie powieść. I mnie jednak bierze ochota, wsunąć tu rodzaj króciuchnej Parabazy, jako upust na kilka uwag, co się nie chciały zmieścić w toku opowiadania, a które ciężą mi na sercu.

I tak naprzykład, chciałabym skruszyć kopję za ten wiek trzynasty, co w naszym kraju został tak niesłusznie osławiony przez niewdzięczną potomność.

Wszyscy nasi dziejopisarze, badacze, myśliciele, jeden za drugim powtarzają to nieskończone *fugato*:

«Po nieszczęśliwym podziale Polski między synów Krzywoustego.....»

«Za nieszczęśliwych czasów rozerwania Polski między synów Krzywoustego.....»

— Dla czego ten czas ma być tak «nieszczęśliwym?» Czy dla tego, że wydał wieki Łokietków i Jagiellonów? Bo wydał je, o tém świadczy sama kolej wypadków. Czyżby mogło dojrzeć takie złote żniwo, gdyby pierwój kilka skrzętnych pokoleń, krwawo nad niem się nie napracowało?

Ale — spyta niejeden z doraźnych sędziów przeszłości — nie można było do tych samych celów dojść jakąś drogą łatwiejszą, mniej kosztującą rozdarcia i ofiar?

Widać że nie było drogi skuteczniejszej, kiedy zmysł narodu wybrał tę a nie inną. Bo i któż zmuszał żywioły narodowe, do rozpadania się na coraz mniejsze działy i poddziały? Wszak rozdrobieni xiążęta nieustannie pracowali nad przywróceniem dawnego jedynowładztwa? Ta myśl właśnie, rodziła wszystkie ich niezgody i zabiegi, ale długo niemogła odkwitnąć, bo nie znajdowała dostatecznego poparcia w ludnościach.

Krzywousty nie był ani takim tyranem, ani takim genjuszem, aby miał samowolnie narzucać przyszłości jój kierunek. Był to prawdziwy syn swojej ziemi i swojej epoki. Po długich, pracowitych rządach, wyrozumiał, a raczej wymacał potrzeby wieku, i spostrzegł że już nie można tamować jego dążeń. A dążenia te były gwałtownie *odśrodkowe*.

Inne wieki miéwają skłonność odwrotną, przeważnie *dośrodkową*. I niemożna powiedzieć, aby jedna z tych skłonności miała być wyłącznie złą lub dobrą, ani nawet, aby jedna z nich była lepszą niż druga; obie są potrzebne, obie zwykle pędząc namiętnie aż do krańcowości, wzajem się wywołują, ściérają, i ostatecznie — równoważą.

Dzieje są szeregiem prawd, które Opatrzność wypowiada. Ale nie wypowiada całych zdań od razu. Postawiwszy prostą, niczém jeszcze nie udowodnioną tezę, pozwala, a nawet żąda, aby ludzie poddali ją wyczerpującej analizie, aby doświadczeniem obrobili ją na wszystkie strony, rozłamali ją na połowy i ćwiartki antytez, i aby dopiero własną pracą, własną zasługą, doszli do rozumnej syntezy.

Takiem w naszych dziejach pierwotnym założeniem zdania, są czasy Bolesławów, czasy wspaniałe prostotą i pozorną jednością. Ale to była spójnia przymusowa, czysto — że tak rzeknę — mechaniczna. Pierwiastki narodu trzymały się jak gałązki w różdze, związane twardą opaską. To też wszystko szło jak pod różgą.

Podobny stan rzeczy, zanadto przedłużony, sprowadza Assyryjską nieruchomość. Polska idąc ciągle takim torem, byłaby się niezaprzeczenie stała potężniejszą, ale jakże zacofaną, jakże azjatycką! Czyż godzi się utyskiwać nad przerwą, jaka w tym kierunku nastąpiła? To jakby kto utyskiwał, czemu Grecja nie poszła wspaniałym torem Persji, ale rozbiła się na krocie kłótliwych, zazdrosnych państewek, bez widocznego węzła, bez jawnej myśli przewodniej? Persja niezaprzeczenie, na pierwszy rzut oka, wydaje się mocniejsza, bo jest jednolita, bo wszystko w niej idzie równo jak

w zégarze. A jednak, z całym swoim porządkiem, zastygła, i niewielki spadek zostawiła dziejom, — podczas kiedy owi swarliwi, nigdy nieuspokojeni Grecy, zostawili ludzkości nieśmiertelny testament. A czemu? Bo prawdziwie żyli, szukali ciągle nowych kształtów społecznych, gardzili każdym stopniem już przebytym, aby piąć się na wyższy. I pięli się, i spychali, i znów pięli, a zawsze w górę. Wiele krwi popłynęło, wiele usiłowań zmarniało, ale ogólny poziom umysłów podniósł się o tyle, że mógł z siebie wydać złoty wiek Peryklesa.

I u nas, dzięki Bogu, opaski same z siebie prysły. Z początku mogło się zdawać że wszystko stracone; gałązki roztrzęsły się na różne strony, kilka z nich nawet rzeczywiście uschło i zmarniało, ale największa liczba padła na grunt właściwy, gdzie mogła puścić korzenie i naciągać soki żywotne. Powoli, wszystko to zaczęło kiełkować i rozrastać się, już nie w martwą, sztucznie związaną różgę, ale w całość żywą, niby w krzak rozłożysty, pełen razem kolców i kwiatów. Na pozór państwo znikło, ale naród się zbudził, doszedł do samopoznania, i zaczął próbować, czego mu potrzeba? Wiele krwi popłynęło, wiele serc się rozdarło, zanim poprzymierzał różne kształty bytu które go kusiły, zanim wymiarkował, co mu idzie na zdrowie, a co szkodzi? Była to dla niego epoka wewnętrznej analizy, krwawe «studium» nad samym sobą, ale też kiedy raz

już rozumiał że jest, i dla czego jest, znalazł swoją syntezę dziejową, i nagle z niepozornego krzaka, wybijał w życiodajne drzewo Kaźmierzów i Zygmunów.

Przestańmy więc już wyléwać niepotrzebne łyzy, nad nieszczęśliwością czasów, co pracowały na tyle błogosławieństw, przestańmy złorzeczyć nieborakowi Krzywoustemu, którego przedśmierne rozporządzenie, tyloma klątwy obarczane, nie było — szczerze mówiąc — żadnym samodzielnym pomysłem, ale ustępstwem dla wszechwładnego ducha czasu.

Bo takim był duch czasu nietylko u nas, ale i w całej Europie, w całym świecie zachodnim. Pod gryzą . . . jakimś fermentem, wszystko szło w rozkład, rozpadało się na coraz drobniejsze cząstki, szukając nowych połączeń, kształtniejszych krystalizacji.

Fantastyczne zaprawdę widowisko:

Rzeczpospolite Włoskie, próbujące wszelkich gatunków rządu, wszelkich niejako twarzy politycznych, istna maskarada społeczna —

Anglja, rozdarta przepaścią świeżego podboju, nad którym zaczyna już nawiązywać misterny most przyszłych swobód —

Francja, ze swoim tronem chwiejącym się na glinianych nogach «komun» —

Cesarstwo Niemieckie, rozpięte w łańcuch feudalny, którego pierścienie tłuką się o siebie, miażdżąc ręce i nogi skutych —

Ocean Słowiańszczyzny, rozbałwaniony w koło archipelagu xięstewek, co chwila zalęwanym i odsłanianym na przemian —

A w dali, Wschód, grożący czarno-płomienią nawałnicą pogaństwa —

Wszystko to po dziejowej pochyłości, toczy się i sypie rozbryzgliwym kłębem.

Jedna tylko idea wielka, ogólnó-ludzka, otacza ten chaos lekką jak mgła siatką, i usiłuje go ująć w jakąś całość, pod symboliczną nazwą: *Respubliki Chrześcijańskiej*.

Idea to dziwnie wielka, tak wielka, że ani wówczas, ani nawet dziś jeszcze, nie mogła stać się wykonalną. Ale cześć wiekom, co próbowały ją wykonać!

Tyle sławny później, federacyjny plan Henryka IV-go. nasze dziś humanitarne porywy i zamiary, to tylko są słabe echa owej pysznej «symfonji przyszłości», którą Rzym ówczesny chciał natychmiast wprowadzić w życie. Utyskują potomni nad jego dawniejszym despotyzmem? Trzeba może raczej żałować, że więcej go nie rozwinął, i nie urzeczywistnił od razu ideału «jednej owczarni».

Ale w historii niczego żałować nie można. Jeśli myśl jaka jest niewykonalna, to pewny znak że przedwczesna. Rozpaczać niema nad czém. W dziejach ludów, równie jak w życiu pojedynczych ludzi, «co się odwlecze, to nie uciecze»; najczęściej nawet, dla tego tylko się odwlecze, ażeby lepiej mogło dojrzeć. Szkic raz narysowany, nie ginie w tece pokoleń; znajdzie się kiedyś wiek mistrzowski, co go przetworzy w obraz. Może w nim wiele szczegółów pozmienia, może nada mu koloryt inny, nieprzewidziany, ale zarys pierwotny zostawi nietkniętym. A my tym czasem uderzmy się w piersi, i powiedzmy: Oj! Nie wszystko jest do pogardzenia w owych wiekach «ciemnoty» i «barbarzyństwa», kiedy umiały wydać myśli tak wielkie, że i myśmy jeszcze do nich nie dorosli!

W każdym razie, jeżeli komu niewolno sarkać na Średnie wieki, ach to nam kobietom. Żadna inna epoka dziejów nie przyniosła równie wielkiego przewrotu w naszym przeznaczeniu, żadna, nie wyłączając nawet wieku dziewiętnastego, który przecież tak silnie dzwoni na wszelkie «postępy».

Nasz wiek niezaprzeczenie rozszerzył krąg wiedzy i działalności niewieściej. Wszystko to

jednak jest ślimaczym chodem, w porównaniu do gwałtownego zwrotu, jaki wtedy przerzucił niewiastę, — z poddanki w panią.

Od stworzenia świata, zawsze widzimy kobietę w postawie czci i postrachu przed mężczyzną, — czy jako Indyjską Sakontalę, co truchleje przed królem Duszmantą, — czy jako Wschodnią Estere, mdlejącą przed Assuerusem, — czy jako Grecką Bryzeis, przepędzaną od namiotu Achilla do namiotu Agamemnona, — czy jako Rzymską Matronę, co z prawa drży przed mężem, ojcem, bratem, a w końcu i własnym synem, — czy nawet jeszcze jako żonę Bolesława Chrobrego, co pada na kolana, ile razy ma go prosić o łaskawe słowo.

Dopiero w dwunastym i trzynastym wieku, role się nagle przemieniają.

Po raz pierwszy, mężczyzna padł na kolana przed kobietą, a ruch ten jest już nietylko modlitwą namiętności, ale modlitwą serca.

Z pastwy, z towaru, z bawidełka, jakimi dotąd była, kobieta staje się poezją w życiu mężczyzny. Wyszlachetnia on ją we własnej wyobraźni, wyprzezrocza aż do religijności, a wszystkie jego marzenia, przybierają symboliczną postać we czci dla Najświętszej Panny, czci, która właśnie w owych wiekach, objawia się pod najpięściwszemi kształtami, różańców, szkaplerzy, litanji, najrozmaitszych nabożeństw i hołdów. Odblask tej cześci spada poniekąd na wszystkie ko-

bięty, bo celem jęj ostatecznym, jest postawienie kobięcości między człowieczeństwem a bóstwem.

Jakże musieli być wielcy mężczyźni, co pięrsi zapragnęli w kobięcie ideału! Jakże musiały być wielkimi kobięty, co pięrsze natchnęły takie myśli!

Rządzą one dwiema władzami, przeciągają dwoma orszakami.

Jeden orszak idzie po ziemi. Wszystkie w nim strojne i śmiejące, ubrane w złotogłów, uwieńczone różami. W orszaku paziów i «truverów», rozdają dank na Turniejach, sądzą na «Dworach miłości», obłaskawiają dzikie serca, piszą na jedwabiu kodex uobyczajenia, wiotki i czczy z pozoru, a jednakże tak cywilizujący, jak niegdyś pieśni Orfeusza.

Ale nie trzeba się za blisko przyglądać tym prawodawczyniom smaku i wytworności. Pod ich różowym płaszczem nieraz bije skażone serce. Ludziom się już one zdawały aniołami, ale aniołowie nieraz od nich musieli odwracać oblicze.

Drugi orszak płynie nad ziemią. Dość blisko aby ziemię widzieć, dość wysoko aby jęj nie dotknąć.

Tu wszystkie niewiasty, zamiast złotogłowu, mają suknie szare i chwiejne jak obłok, — zamiast wieńców kwiecistych, aureole.

Przez niezmierne lazury samotności, przez dżdżyste chmury umartwień, płyną, modląc się za tych co się nie modlą, cierpiąc za tych co niechcą cierpieć, wyrzekając się uciech, nawet pozwolonych, dla zrównoważenia tyłu wzbronnych, — i tak za życia powoli umierając, stopniami wiążą ziemię z niebem.

A nie są same na duchowym błękanie. Po drugiej stronie, płynie szereg cudownych mężów, nie uboższych w zasługi, nie bledszych w światłości.

Póki blisko ziemi, póki blisko pokus, póty dwa szeregi wlatują z osobna, ale u bramy niebios, łączą się w jeden tryumf.

Nigdy może nad padołem płaczu, nie zaświecił gwiazdzistszy firmament świętości.

Nawet wedle kalendarzowych obliczeń, żaden wiek nie wydał tyłu imion czczonych na ołtarzu, ile ich wydał wiek trzynasty.

I czemuż tedy — zapytają sceptycy dzisiejsi — właśnie w owych wiekach, kiedy się tyle dusz podźwignęło ku niebu, kiedy ich umartwienia i cnoty, powinny były wymodlić największe łaski dla świata, czemuż właśnie wtedy, niebo spuściło na ziemię najokropniejsze klęski?

A! Czemu? Właśnie dla tego, że Opatrzność uznała owe pokolenia za dość silne i wypróbo-

wane, aby przez ich ręce przeprowadzić swoje najtrudniejsze przedsięwzięcia. Tylko wybornemu robotnikowi, mistrz powierza wyborowe dzieło. Próżniakom i pyszałkom, daje łatwiejszą robotę. Cieszą się oni z tej łatwości, przypisując ją własnemu uzdolnieniu. Ale wieczorem, kiedy przyjdzie do rozrachunku i zapłaty, pytanie, który z robotników będzie sobie więcej wieszował?

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

K. J. SAHNYKOWSKI

R. J. BARZYKOWSKI

PRZYPISY.

PRZYPISY

do Piérwszego tomu Branek w Jassyrze.

Epigraf. O! Bo lepiej pójsć na mary,
Niż w niewolę na Tatary.

Dwa te wiersze stanowią zakończenie piosenki ludowej pod nazwą «Braniec tatarski», śpiewanej na Mazowszu, którą można czytać w *Pieśniach ludu* zebranych przez K. Wł. Wojcickiego. — Warsz. — 1836. T. I. Str. 109.

PROLOG.

Str. 17. A wiedział że ludzie jego czasów,
dla zdobycia relikwi na wiele się ważyli.

«On se partagea les saints ossements..... avec une avidité tenant plus du fanatisme que de la dévotion. Quelques — uns même, soit par malice, soit par ignorance, supposèrent des reliques et des saints; d'autres s'en procurèrent par la fraude ou la violence; il semblait, au dire d'un écrivain, vers l'an 1000, qu'il arrivât une résurrection; on detérrait, on volait, on fabriquait des reliques. Siscard, duc de Bénévent, obligea les Napolitains à lui céder Saint

Janvier; il fit la guerre à Amalfi uniquement pour avoir les restes de sainte Triphonène, et déroba ceux de saint Barthélemy aux îles de Lipari. Les reliques de ce dernier excitèrent le désir d'Othon III, et les Bénéventins, n'osant lui répondre par un refus, lui envoyèrent les ossements de saint Paulin; mais il s'aperçut de la substitution et marcha contre Bénévent, qu'il assiegea. Théodore, évêque de Metz, qui combattait en Italie avec Othon le Grand, son cousin, cherchait à s'en procurer *quocumque modo potuit*. Se trouvant à Rome au moment où le pontife bénissait un convulsionnaire avec la chaîne de saint Pierre, il la saisit, et jura qu'il ne l'abandonnerait jamais, à moins qu'on ne lui coupât les mains; on finit, non sans peine, par obtenir qu'il se contentât d'un anneau.» *Histoire Universelle* par CESAR CANTU — trad. par AROUX. — Paris. — 1867. — T. X. P. 2 et suiv.

Str. 26. Pielgrzym siedząc, nogi na krzyż
założył.....

«Gdzieindziej, jakiś stary rycerz, siedzący z zakrzyżowanemi nogami, szanownym dla wszystkich znakiem, iż odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej.» *Jadwiga i Jagiełło* K. SZAJNOCHY. — Lwów. — 1855. — T. II. Str. 300.

Krzyżowcy zachowywali nawet po śmierci
ten przywilej.

«Les chevaliers croisés étaient ensevelis avec leurs armes, les jambes en croix, et c'est ainsi qu'on les représentait sur leurs tombeaux.» *Hist. Univ.* p. C. CANTU. — T. X. P. 85.

Str. 39. Daléj opowiadał o straszliwéj sekcie
Assasynów.....

«*Assasyni* albo *Izmaelici Wschodni*..... Tajemnicza nauka Izmaelitów objaśniała przepisy Koranu w duchu allegorycznym, zaprzeczając istnienia religji, przeciwnie zaś, zalecając zupełną obojętność na wszystkie zasady moralności..... Mistrz najwyższy Szeikal-Djehal, zwany powszechnie *Starzec* albo *Xiqzq z gór*, sprawował władzę nieograniczoną..... Pod nim trzej dalbekiry..... Do pro-

fanów należeli najprzód Fedarici (poświęcający się) młodzieńcy, gotowi bez najmniejszego wahania się wykonywać najkrwawsze wyroki *Starca z Gór*. Przed wysłaniem na wyprawę odurzano ich Haszyszem. Ztąd nazwa Haszyszynów, która przechodząc przez różne narzecza zachodnie, przemieniła się w Assasynów, synonim morderców.» *Encyklopedia Powsz.* ORGELBRANDA. — Warsz. — T. II. Str. 289.

Str. 40. Podobno już się nawet zakradli do krajów Chrześcijańskich, i we Francji ludzi sprzątają.

«Le nom du *Vieux de la Montagne* devint..... formidable, et la renommée en fit un être surnaturel. Il ne périssait pas un personnage illustre, qu'on n'imputât sa mort au fer ou au poison des Assassins..... Philippe-Auguste n'osait plus se montrer qu'entouré de gardes, par crainte de ces hommes, dont les coups portaient jus-qu'au fond de l'Europe.» *Hist. Univ.* par CANTU. — Paris. — 1867. T. X. P. 60.

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

Rozdział: Kolce pod różami.

Str. 64. Prawa spadkowe tamtych wieków, jeszcze nie były z ostateczną jasnością określone....

«Ze spadkiem łączy się posag..... dawany był w gotowych pieniądzech, ziemię brali synowie jako do obrony kraju sposobni..... jeżeli braci *respective* synów niema tylko córki, dobra ojczyste na córki spadną, ale bracia stryjeczni mogą je w ciągu roku skupić.» *Polskie prawo w Enc. Powsz.* ORGELBRANDA. — T. XXI. Str. 230.

Tenże sam przedmiot szerzej rozwinięty czytaj w *Historji Prawodawstw Słowiańskich* W. A. MACIEJOWSKIEGO. — Wyd. 2-gie. — 1859. — T. III. — Dział III. — Rozd. V. *O testamentowym i beztestamentowym spadku.* Str. 58. Oraz do-datek 4-ty *Staropolskie.... spadkobranie.* Str. 319.

Rozdział: Zamurowany.

Str. 106. Paweł pokutnik, Paweł prorok, cały Kraków go zna i słowa jego powtarza.

Występujący tu Ojciec Paweł, zamurowany pokutnik, nie jest postacią urojoną. Wspomina o nim *Długosz* w Tomie VII na str. 686.

Patrz w *Trzeciej Części* niniejszej powieści, w Przypisach do Rozdziału *Przy Ognisku* Przypis 3-ci, a w Przypisach do Rozdziału *Na Wschód!* Przypis 7-my.

Rozdział: Cień świętej.

Str. 120. I na uspokojenie, pocałowała ją w samiuteńkie usta.

«Trąd całowała..... Czém się inne panie i panny brzydząc, śmiać się z pani swojej poczęły, i towarzystwa się z nią zarzekały; a ona nic na to nie dbając, białejgłowie także trędowatej też posługę uczyniła, i gdy ją całowała, wnet jej usta spuchły. Mniemały drugie, aby już od niej zarażona była, ale gdy drugi raz to uczyniła, wszystka ona puchlina odeszła.» *Żywoty Świętych X. PIOTRA SKARGI.* — Petersburg. — 1862. — T. II. *Żywot S. Kunegundy.* — Str. 451.

Rozdział: Nie od razu Kraków zbudowano:

Str. 131. Przed każdym wielkim wypadkiem w kraju, u jej wejścia pokazywał się — jak mówiono — cień Chrobrego.

«Górale co z wysokich hal swoich odwiedzali często Kraków, uderzeni wspaniałością zamku, w podaniu odwiecznym zachowali, że w głębokościach góry Wawelu jest drugi taki sam zamek..... jeno..... jasny, wspaniały, od złota błyszczący, z koralowym dachem oświetlony zawsze jasnem słońkiem..... W tym podziemnym gmachu jest ogromna sala, jakby kościół jaki, po ścianach wisi wiele

zbroi: to tarcze, szable i chorągwie. Na środku stoi stół, a w około siedzą wszyscy królowie nasi, w szatach koronacyjnych. Raz w rok, słyszą ludzie huk i rżenie koni, odgłos tręb i wrzawę wojenną: wtedy powstaje od stołu król Bolesław Chrobry; miecz co dostał od anioła święci mu dziwną jasnością na ramieniu, wychodzi z podziemnego grodu o samej północy, wolnym krokiem przebywa zamkowe podwórza, a chrzęści i brzęczy żelazna na nim zbroja. Jeżeli kto z ludzi śmiertelnych się z nim spotka, a jest-to *dobry* człowiek, to zobaczy króla w całej wspaniałej postaci, i robi mu się w sercu lekko, radosno; lecz gdy jaki *zły*, — nie ujrzy go wcale, ale uczuje trwogę, żal straszny, zakręci mu w mózgu i bezprzytomny upadnie..... Lud krakowski dotąd utrzymuje, że gdy jakie wielkie nieszczęście ma kraj cały dotknąć, słyhać w podziemiach zamku i katedry jakby nabożne pienia, pełne rzewności, a człowiek który je usłyszy, od płaczu nie może się wstrzymać.»

Wycieczka do Krakowa przez K. Wł. WÓJCICKIEGO w *Piśmie Zbiorowém* JOZAFATA OHRYZKI, wydaniem w Petersburgu w roku 1859. Str. 94.

Str. 133. Arabsko-sycylijski jeograf Edrisi..... zaświadcza..... że «Kraków posiada piękne gmachy i t. d.»

Patrz JOACHIMA LELEWELA *Polska wieków średnich.* — T. II. Str. 351 i nast.

Str. 137. Jechał wóz ogromny, obciążony materjałami do murów Panny Marji..... U wozu nie było koni ani wołów, ale sami ludzie.

«Un des caractères qui plaisent encore dans les cathédrales gothiques, c'est qu'elles furent édifiées non par l'ordre et aux frais d'un prince, mais par le concours du peuple entier, au moyen d'aumônes et de corvées volontaires..... le tronc placé près de l'édifice commencé se remplissait; une taxe était parfois imposée à ceux qui désiraient obtenir une dispense pour certains aliments en temps de carême..... On appelle encore *tour de Beurre* celle qui flanque au

midi le portail de la cathédrale de Rouen. On fit de même à Beauvais..... «Beaucoup d'habitants de Chartres» dit l'archevêque de Rouen», concoururent à la construction de leur église en transportant des matériaux, et Dieu récompensa leur zèle par des miracles, qui excitèrent les Normands à imiter la piété de leurs voisins. Par suite, les fidèles de notre diocèse et des diocèses voisins ont formé dans le même but des associations, où ils n'admettent que ceux qui se sont confessés, et qui, ayant renoncé aux animosités et aux vengeances, se sont réconciliés avec leurs ennemis. Cela fait, ils élisent un chef, sous la conduite duquel ils tirent les chariots en silence et avec humilité.» *Histoire Univ.* par CANTU — trad. Aroux. — Paris. — 1867. — T. XI. P. 558.

Str. 142. Zdziwił mię też sposób w jaki ona i jej panie układają sobie włosy; oddzielają z nich pas osobny nad czołem, i tak dziwnie jakoś zaczesują..... Nazywa się to *Alagref*, czy coś podobnego.

«Au treizième siècle..... les femmes partagèrent leurs cheveux au milieu du front, et formèrent une raie nommée «grève». *Histoire de la Mode* par AUGUSTIN CHALLAMEL. — Paris. — Bibliothèque du Magasin des Demoiselles. — Rue Lafitte. — 1875. P. 27.

Rozdział: Dwór Królowej Kingi.

Str. 144. Słoma wyjęta, szła na sienniki dla chorych do Szpitala Św. Ducha.

«Quant au sol, généralement il était de pierre; on avait soin de le joncher d'herbes odoriférentes pendant l'été, et de paille pendant l'hiver; on changeait cette paille tous les jours dans le château royal; Philippe-Auguste fit présent à l'Hôtel-Dieu de Paris de celle que l'on retirait de son palais.» *Le Moyen-âge et la Renaissance.* — Paris. — 1850 — T. III. *Vie privée des châteaux.* Fol. XIV.

Str. 158. Pod zegarem stały półki piętrzące się jakby schodki, sprzęt wówczas nieodzowny w każdym domu gdzie miano się czém pochwalić.

«*Dressoirs.* Ce meuble, dont l'usage paraît remonter au douzième siècle, était une espèce de buffet ouvert, taillé en gradin sur lequel on plaçait..... la vaisselle, les coffrets et d'autres petits objets précieux. Chez les souverains et les grands feudataires, les dressoirs étaient de métal, et quelquefois du même métal que la vaisselle qu'ils portaient, c'est-à-dire d'argent, d'argent doré ou même d'or. Chez les personnages moins élevés en dignité, ou moins riches, ils étaient de bois, et alors on les recouvrait d'étoffes brochées et de tapisseries précieuses. Les simples bourgeois s'en servaient comme les rois et les nobles..... C'était là, du reste, un meuble de parade, tandis que dans des proportions moins grandes, l'abace et la crédence étaient, avant tout, d'une utilité quotidienne». *Tamże.* — T. IV. *Ameublement.* Fol. III.

Str. 158. Albo te cudne szachy..... podobno są Arabskiej roboty, jedna połowa z czarnego onixu, druga z białego kryształu.

«A ces divertissemens il faut encore ajouter..... les jeux de hasard ou d'adresse, qui s'étaient beaucoup multipliés et ne consistaient pas seulement dans les coups de dé, qui passionnaient si vivement les guerriers francs. Les échecs surtout étaient le divertissement favori des chevaliers du Moyen Age, et bon nombre d'entre eux y consacraient tous leurs loisirs. En résumé, plus on étudie avec attention la Vie privée des châteaux, plus on trouve, même au douzième siècle, les éléments de notre civilisation moderne.» *Tamże.* — T. III. *Vie privée des châteaux* — Fol. XI. — «Depuis la fin du treizième siècle la même progression se fit sentir dans l'ameublement des châteaux..... Voici quel était à cette époque, celui du château de Hesdin, demeure habituelle des comtes d'Artois; on y trouvait..... «entre autres choses:» un échiquier de jaspe et de cassidoine, bordé en argent, dont les pièces étaient les unes de jaspe, les autres de cristal.» *Tamże.*—Fol. XIII.

Str. 159. A jeszcze ciekawsze to zwierciadło okrągłe..... to pamiątka po téj niezrównanej Elżbiecie Landgrafowej Turyngskiej.....

«Alors Louis (le Landgrave) se leva..... il fouilla dans son aumônière et en tira un petit miroir à double fond, monté en argent, où se trouvait au dessous de la glace une image de N.-S. crucifié..... Elisabeth se mit à sourire avec une grande joie..... puis elle ouvrit le miroir, et ayant vu l'image de Jesus-Christ, elle le baisa avec amour et le pressa contre son coeur.» *Histoire de S-te Elisabeth de Hongrie* par LE C-TE DE MONTALEMBERT. — Bruxelles. — 1838. — T. I. P. 225 — 226.

W przypisku, autor jeszcze dodaje:

«Les miroirs de cette sorte ont été usités en Allemagne jusque dans les derniers temps. Selon Raumer, *Hist. des Hohenstaufen*, t. V, ce miroir était monté en ivoire et venait d'Orient.»

Str. 160. Filut Landgraf, przecież wszystkim wiadomo że miał twarz zadziwiająco podobną do twarzy Chrystusowej, więc umieszczając ten święty wizerunek, umieszczał trochę i własny.

«Sa mâle beauté était célèbre parmi ses contemporains..... Plusieurs croyaient voir en lui une ressemblance frappante avec le portrait que la tradition avait conservé du Fils de Dieu fait homme.» *Tamże.* — T. I. PP. 230 — 231.

Str. 160. Był to także dar ślubny..... I my razem z Ludmiłą, możemy na własne oczy podziwiać ten podarek, bo do dziś dnia leży on przechowany w Sądeckim klasztorze; jest-to sztuciec stołowy.

Ci nawet co nie byli w Starym Sądczu, jeszcze mogą przyrzec się jak najdokładniej téj pamiątce, która została przesłanicznie

wychromolitografowaną we *Wzorach Sztuki Średniowiecznej*. PRZEZD. i RAST. Serya druga. — Tabl. 5.

Str. 161. Owo cudowne pozdrowienie dziecięce, owe słowa: «Witaj Marjo, Matko Króla anielskiego!» które — na podziw światu — małeńka Kinga miała jeszcze w kolébce wymówić.

«Gdy pewien biskup trzymał na rękach ś. Kunegundę do Chrztu świętego.... niemowlęciami usty powitała Najświętszą Maryę Pannę temi słowy: «Witaj Królowo Niebios, Matko Króla Aniołów». *Święta Kunegunda i siostry jej* przez Xiędza ALEX. POPŁAWSKIEGO. — Kraków. — 1881. — Str. 35.

Str. 162. Ona im daje — święce!

W nieoszacowanej *Legendzie Ś-tej Jadwigi (Legende der heyligen Hedvigis)* jest obrazek przedstawiający chwilę, kiedy Święta Jadwiga schodzi do lochu, i podaje święce dwóm więźniom, którzy tam siedzą straszliwie pozakuwani w dyby i łańcuchy. Pomimo pierwotności rysunku, znać wyraźnie radość malującą się na ich twarzy.

Str. 163. Złożyła mi się piosenka o *Rycerzu i Mniszce*.... wysnułem ją według powieści starego Krzyżowca, którego przed laty spotkałem w Bolonji.

W pierwotnej włoskiej legendzie, bohaterka nie nazywa się Reginą lecz Łucją. Mistrz Gaudenty zmienił jej imię, dla przystosowania pieśni do swoich własnych uczuć.

CEZAR CANTU przytacza tę legendę, w *Jedenastym Tomie* swojej *Historji Powszechnej*, na str. 387.

«Un Bolonais s'était épris d'une religieuse nommée Lucie, du couvent de Sainte-Catherine, dans sa ville natale, chaque jour il venait la contempler à la tribune d'où elle entendait la messe, et la recluse, pour éviter ses regards, ne parut à l'église que derrière une jalousie. L'amant désolé jure de se consacrer à Dieu

comme celle qu'il adore, se rend en Palestine, et s'aventure dans les combats; fait prisonnier et livré à d'affreux tourments par les infidèles, qui voulaient le contraindre à renier sa foi, il s'écrie: *Sainte vierge, chaste Lucie, si tu vis encore, soutiens par tes prières celui qui t'aima tant! Si tu es bienheureuse dans le ciel, rends moi le Seigneur propice!* A peine a-t-il prononcé ces mots, qu'il s'endort d'un profond sommeil; en se réveillant, il se trouve chargé de chaînes, mais dans sa patrie et près du monastère de l'objet de son amour; elle-même se tenait debout à côté de lui toute rayonnante de beauté et de splendeur. *Serais-tu encore vivante, o Lucie?* s'ecrie-t-il. — *Vivante, oui,* répond-elle, *mais de la véritable vie. Va, et dépose tes fers sur mon tombeau en remerciant le Seigneur.* — La chaste fille était morte le jour qu'il avait quitté l'Europe.» *Ghirardacci.*—STORIA DI BOLOGNA. — Lit. IV.

Rozdział: **Xiążęta ziemscy i niebiescy.**

Str. 174. Ubięra się król w szare sukno, puka do klasztoru, i każe powiedzieć że «pielgrzym nieznamy prosi o słówko rozmowy z Bratem Egidjuszem».

Legenda ta, znajduje się w uroczych «*Fioretti di San Francesco*». Rozd. 34.

Str. 180. Czy znacie..... śliczne słowo króla Francuzkiego o tychże Tatarach?

«Matthieu Paris rapporte que la reine Blanche effrayée, s'en entretenait avec saint Louis: *Que ferons — nous?* lui disait — elle; *quels bruits sinistres se sont répandus sur nos frontières? L'irruption des Tartares semble nous menacer d'une ruine totale, nous et notre sainte Eglise.* Et Louis d'une voix attendrie, lui répondait: *Ayons confiance dans l'aide du ciel; si ces Tartares viennent, nous les repousserons dans le Tartare d'où ils sont sortis, ou ils nous feront monter au ciel pour y jour*

de la félicité promise aux élus.» Hist. Univ. par CANTU. — T. XI. P. 337.

Ten dowcip musiał mieć ogromne powodzenie w Europie, bo go kilkakrotnie później odnajdujemy, naprzykład w liście Cesarza Fryderyka II-go pisanym do króla Angielskiego, z dnia 3 Lipca 1241 roku: «Nous espérons..... que ceux - ci, qui se sont élancés des régions tartares, déposeront leur orgueil, et que les Tartares seront précipités dans le Tartare.» *Histoire des Mongols* par LE BAR. C. D'OHSSON. — Amsterdam. — Chez Muller. — 1852. — T. II. P. 168.

Str. 181. Podobno przy wzięciu miasta Kozelska, tyle krwi popłynęło, że mały Xiążę Bazyli po prostu we krwi utonął.

«Młody Xiążę Bazyli niewiadomo jak zginął: powiadają iż we krwi utonął.» *Historja Państwa Rossyjskiego* przez M. KARAMZINA. — Przekł. G. Buczyńskiego. — Warsz.—1824.— T. III. Str. 265.

Str. 181. Mam ja w klatkach różne pieszczone ptasiątka.....

«Słyszano..... jak szczygły świergocąc ostrzegały o napadzie Tatarów.» *Polska i Ruś* przez W. A. MACIEJOWSKIEGO. — Warsz. u Sennewalda. — 1842. — T. I. Str. 204.

Str. 184. Wezwali..... Ojca Jacka Odrowąza, który najlepiej może ich objaśnić, bo..... był w Kijowie podczas oblężenia.....

Cały ten opis tryumfalnego wyjścia Ś-go Jacka z pomiędzy pogan, i jego podróży z Posągiem do Halicza, można czytać w różnych jego *Żywotach*, a najbardziej szczegółowy znajduje się w dziele p. t. *Les petits Bollandistes* par M-R PAUL GUÉRIN, dix-sept volumes — à Paris — chez Bloud et Barral. — 1882. Patrz tam *Vie de S-t Hyacinthe de Pologne.* — T. IX. P. 606.

Str. 186. Albo nad Wisłą?... w Czerwińsku.....

«W tój podróży przybywszy pod Wyszogrodem nad Wisłę, chcąc przeprowić się na drugą stronę, nie znalazł na brzegu ani przewoźnika ani łodzi. Ufny w obietnicę Przenajświętszój Maryi Panny, pomodlił się do Niój, i rzekł do swoich towarzyszy, Floryana, Gaudyna i Benedykta: «W imię Chrystusa idźcie za mną, i ufajcie potędze Wszzechmocnego Boga, któremu posłuszne są niebo, ziemia, morze i rzeki.» I to rzekłszy przeżegnał Wisłę, wstąpił w nią i poszedł jakby po ziemi. Lecz jego towarzysze, chociaż patrzali na cud ten, wahali się iść za nim. Wrócił więc ku nim, i rozpostarł na wodzie swój czarny płaszcz Dominikański, i na nim wraz z Braćmi na drugą stronę rzeki jak na łodzi przepłynął.» *Żywoty Świętych Pańskich* przez O. PROKOPA. — Str. 691.

Str. 188. Xiążę Henryk..... nosił tunikę brunatną, ze złotą obręczą w pasie, i płaszcz ciemnoczerwony, przypięty na ramionach dwiema osobliwszemi klamrami, w kształcie serduszek..... trzecia taka tarcza, nieco większa, wisiała na rękojeści jego miecza.....

W *Legendzie Ś-tój Jadwigi*, Henryk Brodaty, ojciec Pobożnego, występuje na kilku obrazkach w takim właśnie stroju. Na swoich pomnikach grobowych, obaj są także podobnie ubrani.

Str. 188. Xiążę Bolesław miał tunikę popielatą..... Rysy młodzieńca..... uderzały smętnym uśmiechem.....

»Był zaś Bolesław mężem dobroci pełnym..... Trzeźwy i łagodnego oblicza..... dobrych obyczajów, prosty i szczery, nie miał w sobie żadnej obłud.» *Dzieje Polski* JANA DŁUGOSZA. — Kraków. — 1868. — T. II. Str. 438.

Rozdział: Zwycięstwo gołębic.

Str. 196. Gdzież są Daporty?

«Rosły w ogrodach xiążących wyborne jabłka, które bogobojne panie same roznosiły po szpitalach. Nowy gatunek jabłek, Daportami dla tego zwanych, że je z miasta Porta nad Salą przyniósł na Szlązk i upowszechnił je tamże, Lubiążkiego klasztoru Opat Floryan, r. 1175, bardzo się udał w Polsce.» *Polska i Ruś pod względem obyczajów* przez W. A. MACIEJOWSKIEGO. — Warsz. — 1842. — T. I. Str. 92.

Str. 198. Od Mieczysława Pierwszego nikt u nas nie chował wielbłąda, bo że Mieczysław chował, to stoi w starych skryptach.

Dytmar donosi, jako w r. 985, nasz Mieczysław (Miseco) nawiedzając w Kwedlimburgu Cesarza, «przywiódł mu w darze wielbłąda.» *Kronika Dytmara*, w przekł. ZYGM. KOMARNICKIEGO. — Żytomierz. — 1862. — Str. 101.

Str. 202. Noszono wtedy ruchome rękawki a raczej manele.

«Les dimanches et les fêtes, elle (S-te Elisabeth) laissait de côté quelque partie de ses ornements.... elle ne mettait pas de gants, ni de manchettes lacées comme on en portait alors, si ce n'était après la fin de la messe.» *Vie de Sainte Elisabeth* par le COMTE DE MONTALEMBERT. — T. I. P. 207.

Rozdział: Przysięga na pawia.

Str. 221. Była to chustka..... biała jedwabna..... Legenda opowiada, że Stolica Apostolska nakazała Polakom te chusty, jednocześnie ze stryżeniem włosów, jako pokutę za złamane śluby Kazimierza Mnicha.

W *Legendzie Ś-tój Jadwigi*, można widzieć podobne

chusty u panów Polskich którzy tworzą orszak Henryka Brodatego, zwłaszcza na obrazku przedstawiającym ślub tego Xięcia ze Ś-tą Jadwigą.

Str. 228. Wieczera z pawiem! Będziem się mogli zaprzysięgać!

«On sait le rôle important que le paon joua dans les solennités du Moyen-âge. Nos vieux romanciers, qui le qualifient de *noble oiseau*, disent que sa chair est la *nourriture des amants* et la *viande des preux.*» *Le Moyen-âge et la Renaissance.* — T. I. NOURRITURE ET CUISINE. — Fol. XIV.

«Les voeux les plus solennels étaient ceux qui se faisaient sur le paon ou le faisan, oiseaux particulièrement estimés par les paladins; aussi les voyait-on brodés sur leurs manteaux..... Ces oiseaux paraissaient sur la table du banquet revêtus, quoique rôtis, de leur riche plumage, et se plaçaient (à titre de grand honneur) devant le chevalier en renom, pour qu'il les decoupât après que chaque chevalier avait proféré sur eux son serment.» *Histoire Univ. DE CANTU.* — T. X. P. 86.

«Rycerski ślub na upieczonym pawiu zaprzysiężony, uchodził za ślub najświętszy.» *Jadwiga i Jagiełło.* K. SZAJNOCHY, Lwów. — 1855. — T. II. Str. 268.

Str. 228. Zkąd..... owa cześć dla pawia?.... Był to..... jeden z odwiecznych symbolów nauki ezoterycznej, tajemniczej.

«Tout le monde oublia Cagliostro..... Cet adepte n'est cependant pas sans importance dans l'histoire de la magie; son sceau est aussi important que celui de Salomon, et atteste son initiation aux secrets les plus relevés de la science. Ce sceau..... exprime les principaux caractères du «grand arcane» et du «grand-oeuvre». C'est un serpent percé d'une flèche, figurant la lettre aleph..... Ce pentacle se reproduit sous diverses formes dans les talismans de l'ancienne magie, mais..... le serpent est remplacé par le paon de Junon, le paon à la tête royale, à la queue multicolore»

re, l'emblème de la lumière analysée, l'oiseau du «grand-oeuvre», dont le plumage est tout ruisselant d'or.» *Histoire de la Magie* par ELIPHAS LEVI. — Paris. — Chez Baillière. — 1860. — P. 429.

Str. 235. Jedną z tych obrączek założył sobie na prawą nogę koło kostki, drugą włożył na lewą rękę..... i złoty kluczyk podając Ludmile, prosił aby zamknęła obie kłódki.

Pamięć o podobnym ślubie, i to uczynionym przez Polaka, przechowała się w Europie między Średniowiecznymi wspomnieniami.

«Indépendamment de leurs devoirs généraux, les chevaliers s'obligeaient souvent par des vœux particuliers, par exemple à visiter les sanctuaires célèbres..... ou à s'imposer telle autre pénitence. Ces vœux consistaient encore en exploits guerriers..... C'étaient parfois des engagements bizarres de ne plus porter de casque ou de bouclier, tant qu'on n'en aurait pas enlevé un à l'ennemi; de ne regarder que de l'oeil droit, de ne manger que du côté gauche, tant qu'on n'aurait pas accompli certaine entreprise..... Un Polonais, seigneur de Loisenlech (?), s'était attaché au bras et au cou-de-pied deux cercles d'or avec une chaîne de même métal allant de l'un à l'autre, qu'il devait porter jusqu'à ce qu'il eut trouvé, pour l'en délivrer, un chevalier ou un écuyer de nom et d'armes sans tache.» *Histoire Univ.* DE C. CANTU.— Trad. Aroux. — Paris. — 1867. — T. X. P. 86.

Str. 237. Henryk przyjął mile kosztowny podarek, i odtąd rzeczywiście nosił już zawsze ów potworny grzebień, z którym do dziś dnia możemy go widzieć na współczesnych miniaturowych obrazkach.

Tak on występuje na obu obrazkach przedstawiających bitwę pod Lignicą w *Legendzie Świętej Jadwigi*, a chociaż

z początku niełatwo jest co zrozumieć z chaosu tych wielce powikłanych rysunków, jednak po dłuższém wpatrzeniu się, można dokładnie dojrzyć, że nad hełmem Henryka Pobożnego tkwi orzeł Piastowski, obramowany olbrzymim półkręgiem z piór pawich.

Str. 238. Za panowania..... króla Andrzeja, słyszano gdzieś w górach jakiś głos cudowny, obiecujący wielkie skarby w nagrodę za cnoty króla.

«Or, la Hongrie était alors gouvernée par le roi André II, dont le règne était aussi agréable à Dieu qu'à ses peuples. Illustre par ses guerres contre les nations païennes qui entouraient les frontières de son royaume, il l'était plus encore par sa profonde piété et par sa générosité envers l'Eglise et les pauvres. Quelques-unes de ces vastes mines d'or qui enrichissent encore aujourd'hui la Hongrie, furent découvertes sous son règne, et le peuple fidèle ne manqua pas d'y voir une récompense accordée par Dieu à ses vertus. Ses mineurs vinrent lui raconter un jour qu'en fouillant les flancs d'une montagne, ils avaient entendu une voix leur crier de prendre courage, parceque ce roc renfermait une masse d'or inépuisable que Dieu destinait au roi André, pour le récompenser de sa piété et de sa charité. Le roi se réjouit grandement de la faveur divine, et profita de sa nouvelle richesse pour fonder des églises et des couvents, et pour augmenter ses aumônes.» *Histoire de S-te Elisabeth de Hongrie* par le C-te DE MONTALEMBERT. — Bruxelles. — 1838. — T. I. P. 189.

Str. 239. Co do mnie — odparła Kinga — gdybym już miała prosić Boga..... to o coś takiego, coby mogło przydać się nietylko dla bogatych ale i dla ubogich.

Słowa te są nawpół historyczne, Xiężna Kinga musiała je kiedyś wypowiedzieć, bo istnieje prześliczne podanie, które je kładzie w usta naszej Świętej.

«Powszechnie jest gminu mniemanie, że Ś. Kunegunda czy-

li Kinga córka Beli króla Węgierskiego, a żona Bolesława nazwanego *Pudicus*, była cudowną sprawczynią soli Wielickiej. Adam Szretter Szlązak, piękny poeta Łaciński, który w r. 1564 napisał wiersz pod tyt. *Salinarum Wielicensium descriptio*..... opisie to cudowne zjawienie soli..... Szretter zdarty ciekawością widzenia Wieliczki powiada, że go Albert Kościela celnik zaprosiwszy na obiad, całą mu rzecz..... z podania i powieści przełożył. Treść bajki taka. Bolesław Wstydlawy zaręczył sobie przez posłów Kunegundę w Węgrzech; ta oblubienica nie chcąc u oycy brać żadnego posagu w złocie i srebrze, prosiła go tylko na wyieździe, *aby ię to darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło*. Zezwolił ociec, a Kunegunda poiechawszy do żup Węgierskich, ślubną tam obrączkę swoją wrzuciła. Zawieziona potem do Krakowa, kazała się wieść po niejakim czasie do Wieliczki, gdzie gdy za ię wołą poczęto ziemię kopać, znaleziono sól, i w pierwszej sztuce królewską obrączkę.» *Historya Narodu Polskiego*. AD. NARUSZEWICZA. — Ed. Most. — 1803. T. IV. Str. 398.



SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w Tomie Pierwszym.

	<i>Str.</i>
Ofiarowanie	5
Prolog	9

Część Pierwsza.

Kolce pod różami	55
Anielska dyplomacja	93
Zamurowany	103
Cień Świętej	114
Nie od razu Kraków zbudowano	124
Dwór Królowej Kingi	144
Xiążęta ziemscy i niebiescy	168
Zwycięztwo gołębic.	195
Świąteczne dni	205
Przysięga na pawia.	213
Rozstanie	242
Filuterność panieńska	245
Parabaza	252
Przypisy do Części Pierwszej	267
Spis Przedmiotów	285

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174100

Biblioteka WSP Kielce



0121711